

## Od Wydawcy

Na wydanie książki J.W. Anderson zdecydowaliśmy się po bardzo ciepłym przyjęciu przez naszych czytelników pozycji P. O'Sullivan OP: Wszystko o aniołach. Uświadomiło nam to, że nauka jaką głosi Kościół o tych cudownych duchach stała się dziedziną trochę zapomnianą. A przecież jest ona tak oczywista, że nie podważa jej żadna z chrześcijańskich religii. Ba, nawet muzułmanie wierzą w anioły.

Bóg w swej łaskawości i dobroci, pełen niezmiernych sprawiedliwości, dał każdemu z nas anioła stróża. Św. Tomasz pouczał, że anioł stróż towarzyszy każdemu: katolikom, protestantom i poganom. Jest to dowód na to, że wszyscy otrzymujemy w chwili narodzin taką samą szansę i od nas zależy jak ją wykorzystamy.

Te autentyczne opowieści, pracowicie zebrane przez autorkę, uzmysławiają nam, że anioły mogą być wszędzie. Pomagają nam i otaczają opieką. Może i Wam, drodzy czytelnicy zdarzyło się spotkać anioła, tylko nie mieliście odwagi się do tego przyznać? Może udało się Wam kiedyś, w niezwykle sposób, uniknąć niebezpieczeństwa? Może spotkaliście kogoś, kto pojawił się z pomocą i zniknął później bez śladu z Waszego życia? A jeśli nie, to przecież świadomość faktu, że w każdej chwili zwrócić się możecie o pomoc, na pewno pozwoli żyć z większą ufnością i nadzieją.

"Mało wiemy o tych błogosławionych duchach, rzadko modlimy się do nich. A co najgorsze, nie zdajemy sobie sprawy z ich obecności. Nie pokładamy w nich ufności i nie zwracamy się do nich w chwilach trudnych i niebezpiecznych.

W efekcie tracimy tysiące błogosławieństw, którymi z łatwością moglibyśmy się cieszyć. Padamy ofiarą tysięcy wypadków, których z łatwością moglibyśmy uniknąć" - pisał ojciec P. O'Sullivan.

A nam, jako wydawcy, pozostaje na koniec przypomnieć radę wielkiego papieża, św. Leona: Zaprzyjżnij się z aniołami.

Gdańsk, 29 sierpnia 1994

## Podziękowania

Większość książek nie zostałyby napisane bez pomocy i zachęty pewnych wspaniałych ludzi. Jestem wdzięczna za profesjonalne rady i pomoc bibliotekarzy, w szczególności Marilyn Uselmann z Arlington Heights Memorial Library, Thad Voss z Wheaton College, Theresa Bohm z Wycliffe Bible Translators, Danowi Sharon z Asher Library w Spertus College i Harriet Leonard z Duke University Divinity Library. Chcę też podziękować za pomoc w badaniach Christian Broadcasting Network, the Assemblies of God General Council Headquarters i magazynowi Guideposts. Nie sposób nie wymienić tu Wielebnego Johna H. Hampsch, C.M.F., Henrietty DePae-pe, Pauline Cusack oraz pisarzy Charlesa i Frances Hunter, którzy dostarczyli mi cennych materiałów. Szczególne podziękowania kieruję też do duchownych: Wielebnego Johna Lane SI, z kościoła Świętej Rodziny w Chicago; dr. Timothy Warnera, z Ewangelickiej Szkoły Trójcy Świętej w Deerfield, w stanie Illinois; pastora LaVerne Tuckera z Red-lands, w stanie Kalifornia i rabiego Gedalia Shwartz z Rady Rabinackiej w Chicago.

Szczególnie pomocne były mi też osoby z Kaplicy Loretto w Santa Fe, Nowy Meksyk; the 777 Precinct w Dayton, New Jersey; the Write to Publish Conference z Moody Bible Institute; Swedenborg Foundation i National Centre for Padre Pio, a także z Frań White of the Guardian Angels.

Specjalną rolę odegrała ponadto moja siostra, Susan Fichter, która jako pierwsza dojrzała we wszystkich tych listach możliwość napisania książki.

Wdzięczna pozostaję również wydawcom gazet, które wydrukowały moje ogłoszenia, szczególnie Liguorian, Our Sunday Visitor, Annals of St. Anę i Sonlight/Sun jak też sponsorom moich odczytów, którzy pozwolili mi wypytywać publiczność o przeżycia z uczestnictwem aniołów.

Pod koniec chciałabym podziękować memu cudownemu mężowi, rodzinie i przyjaciołom, w szczególności członkom grupy modlitewnej św. Teresy, Hickory Nuts i klasie Św. Scholastyki.

## 1. Początek..

Anioł stróż nad jego życiem czuwający. Mnożący łaski i troski dzielący.  
SAMUEL ROGERS: HUMANLIFE

Było tuż po północy, 24 grudnia 1983 roku. Środkowy Zachód drżał w uściskach rekordowego mrozu, któremu towarzyszyły sztormowe wiatry oraz zamrożone wodociągi. I choć nasz położony na peryferiach Chicago dom wypełniały odgłosy wypoczywającej rodziny, to osobiście nie potrafiłam w nich uczestniczyć - czekałam aż na podjeździe usłyszę samochód Tima. Właśnie w tej chwili Tim, wraz z dwoma współlokatorami, jechał spędzić w domu święta Bożego Narodzenia. Miał to być ich pierwszy pobyt w domu od chwili, gdy w maju poprzedniego roku wyruszyli na Wschód.

- Nie martw się mamo - zapewniał mnie Tim przez telefon poprzedniego wieczora. - Wyruszymy jutro przed świtem i pojedziemy prosto do domu. Wszystko będzie dobrze!

Dzieciaki. One potrafią czynić rzeczy szalone. W normalnych okolicznościach, obliczałam sobie, droga z Connecticut do Illinois zabrałaby osiemnaście godzin. Jednak pogoda pogorszyła się tak niebezpiecznie, że komunikaty radiowe ostrzegały przed opuszczaniem domów. Co więcej, nie mieliśmy od chłopców żadnej wiadomości. Zdenerwowana, wyobrażałam ich sobie na wyludnionej drodze. Co się stanie, jeśli zabłądzą albo będą mieli kłopoty z samochodem? A nawet gdyby mieliby się spóźnić, to dlaczego Tim nie zadzwonił? Chodziłam pełna niepokoju i modliłam się w najprostszy, znany wszystkim matkom sposób: Boże, ześlij im kogoś z pomocą.

Do tego momentu, jak się później dowiedziałam, zatrzymali się na chwilę w Fort Wayne, w Indianie, gdzie mieszkał jeden z nich - Don. Zdrowy rozsądek nakazywał, by Tim i Jim pozostali tam na noc i podjęli podróż następnego dnia. Ale od kiedy to zdrowy rozsądek ma jakieś znaczenie dla upartych prawie-dorosłych? Dzielili ich od domu czterogodzinna podróż. Jednak pomimo, że była to najmroźniejsza noc w historii Środkowego Zachodu, a autostrady były wyludnione i pokryte śniegiem, dwaj młodzieńcy zdecydowali się wyruszyć w dalszą drogę.

Ujechawszy zaledwie kilkanaście mil rzadko uczęszczaną drogą prowadzącą do płatnej autostrady w kierunku Indiany, zauważyli, że silnik zaczyna pracować jakby coraz bardziej ospale, zwalniając do dwudziestu, trzydziestu mil na godzinę. Tim spojrzął na Jima pełen niepokoju.

- Nie wolno wam - podkreślał spiker w radio - nie wolno, moi drodzy, opuszczać domów. Odnotowano rekordowy spadek temperatury, osiemdziesiąt stopni poniżej zera, co oznacza, że nie trzeba nawet minuty, by zamarzła wystawiona na działanie mrozu skóra.

Nagle samochód szarpnął, zakrzusił się i ponownie zwolnił.

- Tim - powiedział w ciemności Jim - chyba tu nie utkniemy?

-Nie możemy - odparł ponuro Tim i zaczął cisnąć pedał gazu. - Z pewnością by to nas zabiło.

Ale silnik nie nabrał obrotów. Zakrzusił się, zadyszał i samochód znów zwolnił. Dwa kilometry dalej, na szczycie małego wzgórza, auto na dobre zamarło.

Przeżeraeni chłopcy spojrzeli na siebie w ciemniejszym wnętrzu auta. Dookoła rozciąga się nieskazitelna biel pokrytych śniegiem pól i nigdzie nie było widać innego samochodu. Najmniejszy ruch nie zakłócał zamarłych w uściskach mrozu pól, na nieskazitelnej bieli nie widać też było żadnych migoczących świateł zwiastujących ukryte w oddali gospodarstwo. Znikąd ratunku. Jak gdyby wylądowali na obcej, pokrytej śniegiem planecie.

I to przeszywające, niewiarygodne zimno! Tim nigdy w życiu nie doświadczył czegoś tak intensywnego. Nie mogli udać się na poszukiwanie pomocy - tego był pewien. Byli z Jimem młodzi i silni, lecz nawet jeśli ratunek znajdował się całkiem blisko, to i tak nie przeżyliby tego mrozu. Temperatura zabiłaby ich w przeciągu kilku minut.

- Ktoś zaraz nadjedzie - wyszeptał Jim, rozglądając się na wszystkie strony.
- Nie sądzę - powiedział Tim. - Słyszałeś komunikat. Nikt na świecie nie wyszedł dziś z domu - oprócz nas.
- A więc, co zrobimy?
- Nie wiem.

Tim ponownie spróbował uruchomić silnik. W ciemności rozległ się beznadziejny zgrzyt rozrusznika. Przeszywający aż do kości mróz wtargnął do wnętrza samochodu i chłopcy zaczęli tracić czucie w stopach. Boże - modlił się Tim, niczym echo powtarzając moje wypowiedziane w oddali błaganie - teraz tylko Ty jeden możesz nam pomóc.

Wydawało się, że nie sposób już powstrzymać opadających powiek... I nagle, jakby we śnie, ujrzeli światła odbijające się w bocznym lusterku. Ale to przecież niemożliwe. Jeszcze przed chwilą nie widzieli żadnego pojazdu powoli zbliżającego się z oddali. Skąd zatem nadjechał ten samochód? Czy jeszcze żyli?

Żyli. Właśnie, w jakiś cudowny sposób ktoś pukał w okno od strony kierowcy.

- Czy trzeba was pociągnąć? - Słyszając te stłumione słowa, z trudnością wierzyli własnym uszom. Ich wybawcą był kierowca pomocy drogowej.

- Tak! O, tak, dziękujemy! - Kierowca szybko poszedł do przodu i przyczepił linę holowniczą. O tej porze wszystkie warsztaty były już zamknięte, a więc poprosili go, by odholował ich do domu Dona, gdzie mogliby prznocować.

Kierowca, okutany szalem i ukryty pod futrzanym kapturem, pokiwał tylko głową. Gdy wchodził do furgonetki, był -jak zauważyli - całkowicie spokojny, jakby zupełnie nie dotyczyły go te groźne dla życia warunki, w których się znaleźli. Dziwne, że nic nie chciał o nas wiedzieć - zastanawiał się Tim - nie wytłumaczył też, skąd nadjechał i w jaki sposób niepostrzeżenie zbliżył się do nas... Czy na drzwiach furgonetki znajdowały się jakieś oznakowania? Tim nic takiego nie zauważył. W taką noc z pewnością wystawi nam spory rachunek. Będę musiał pożyczyć pieniądze od Dona lub jego ojca... Ciężkie przeżycia wyczerpały Tima i stopniowo, zatopiony w siedzeniu, zaczął myśleć o czymś innym.

Minęli dwie zamknięte stacje serwisowe, zatrzymali się, by z automatu zadzwonić do Dona i wkrótce znajdowali się już w znajomym Fort Wayne. Domy tonały w ciszy, światła świąteczne dawno już pogaszono, lecz ulica Dona i tak wydawała się najbardziej gościnnym miejscem na świecie. Kierowca ostrożnie okrążył jednokierunkową ulicę i zatrzymał się przed domem. Jim i Tim, nieprzytomni z zimna, pobiegli do bocznych drzwi, w których oczekiwał ich Don. Wpadli do błogo ciepłej kuchni. Nareszcie byli bezpieczni.

Don zatrasnął drzwi walcząc z lodowatym wiatrem.

- Co się właściwie stało? - zaczął, ale przerwał mu Tim.

- Kierowca pomocy drogowej, muszę mu zapłacić. Muszę pożyczyć...

- Poczekaj - zmarszczył brwi Don, spoglądając przez okno -nie widzę tam żadnej furgonetki.

Tim i Jim odwrócili się. Na krawężniku stał tylko zaparkowany samochód Tima. W kryształowej nocnej ciszy nie było słycać żadnego odgłosu, żadnego trzasku drzwi, żadnego warkotu silnika.

Nie było też rachunku do zapłacenia czy kwitu do podpisania. Nikogo, komu można by podziękować lub życzyć wesołych świąt. Zszokowany Tim pognał na podjazd, lecz nigdzie nie dojrzał światła oddalającego się pojazdu, nie usłyszał też na tej cichej uliczce pracy silnika lub innych oznak obecności furgonetki. Po chwili w rozwiewanym przez wiatr śniegu Tim dojrzał ślady opon. Ale były to tylko ślady jednego pojazdu; ślady pozostawione przez ich samochód...

Gdy rozbrzmiewająkolędy i w świątecznym nastroju znikają wszystkie troski, wówczas ludzie wierzą w anioły. Trudniej jest zaakceptować fakt, że "liczne niebiańskie zastępy" obecne dawno temu w Betlejem występują też w naszym życiu, zgodnie z otrzymaną na wieczność Boską obietnicą, iż ześle On swym dzieciom anioły, by chroniły je i ratowały.

Dziś nie poświęcamy aniołom należytej uwagi. Jeśli w ogóle uznajemy świat duchowy, to zazwyczaj dotyczy to jego ciemnej strony, dziwacznych satanicznych kultów, siejących spustoszenie szczególnie wśród młodzieży. Jednak istnieją dowody na to, że dobre duchy, także na ziemi, wykonują swą pracę - zwalczając zło, przynosząc wiadomości, ostrzegając przed

niebezpieczeństwem, pocieszając w cierpieniu... a potem znikając, tak jak stało się to pierwszej nocy świąt Bożego Narodzenia.

Anioły nie podlegają testom papierka lakmusowego, nie dotyczą ich świadectwa złożone przed sądem ani mikroskopowe badania. Nie sposób „dowieść” ich istnienia stosując zwykłe ludzkie metody. Aby dostrzec któregoś z nich, trzeba odsunąć na bok wszystkie prawa fizyki i otworzyć się na możliwości, o których dotąd tylko marzyliśmy.

-Nie można ani zobaczyć, ani dotknąć tych pełnych dobroci i najpiękniejszych na świecie istot - powiedziała Helen Keller. -Trzeba je poznać sercem.

Czy to był anioł? Nasza rodzina nigdy nie będzie tego pewna.

Ale w tamtą Wigilię 1983 roku, gdy ów tajemniczy kierowca odpowiedział na niebiańskie wezwanie i bezpiecznie sprowadził do domu naszego syna, usłyszałam szelest skrzydeł.

## 2. Poszukując odpowiedzi

Żyjemy nie tylko wśród ludzi, ale istnieją też wzniosłe zastępy, Błogosławieni widzowie, sympatyczni obserwatorzy, którzy widzą, znają i oceniają nasze myśli, uczucia i czyny.

HENRY WARD BEECHER: ROYAL TRUTHS

Anioły. Cóż ja naprawdę wiem o tych niebiańskich istotach? Jako katoliczka jestem z pewnością świadoma ich istnienia. W dzieciństwie nauczono mnie modlitwy do anioła stróża, a w szkole średniej uczyłam się o anielskiej hierarchii - dziewięciu chórach, ich funkcjonowaniu i podziałach. Ale po dziwnym ocaleniu Tima zaczęłam z większym zainteresowaniem badać zagadnienia związane z aniołami.

Jednym z pierwszym faktów, które odkryłam, były badania Instytutu Gallupa stwierdzające, że ponad sześćdziesiąt procent Amerykanów całym sercem wierzy w anioły. I choć uczeni różnią się co do szczegółów, to istnienie aniołów potwierdzają wszystkie trzy wielkie religie - judaizm, chrześcijaństwo i islam. W Piśmie Świętym o aniołach mówi się ponad trzysta razy - działają pojedynczo lub w ogromnych grupach, wykonują Boskie rozkazy, tworzą niebiański sąd i - co istotne - przynoszą ludziom wiadomości i chronią nas. Odegrały one decydującą rolę w Starym Testamencie, żydowskiej Torze, a także często wymieniane są w islamskim Koranie. Również Sokrates często prosił o radę swego anioła stróża. Wielu znanych świętych oraz założyciel Armii Zbawienia, generał William Booth, twierdzili, że widzieli anioły, a Abraham Lincoln mówił, iż często odczuwa ich obecność. Te niebiańskie istoty pojawiają się w pracach Dantego, Milтона i Szekspira oraz w dziełach wielu współczesnych pisarzy.

Wraz z rozwojem cywilizacji ludzkie wyobrażenia o aniołach ulegały przemianom. U wczesnych pogan bogowie byli bądź gwiazdami i planetami, bądź innymi mieszkańcami nieba, a stąd wiodła już prosta droga, by uznać anioły - uskrzydłone duchy z łatwością podróżujące pomiędzy niebem a ziemią.

Z biegiem czasu zmieniały się poglądy na temat aniołów. Dawni Hebrajczycy utrzymywali, że kosmos jest hierarchią, z Bogiem na szczycie i innymi podlegającymi Mu istotami. Wierzyli, że anioły tworzą "niebiański sąd". W pismach mówili o "aniołach Boga" i bene Elohim, "Bożych synach".

Chrześcijanie wierzą, że Bóg stworzył anioły mniej więcej w tym samym czasie, co ludzi (św. Augustyn uważał, że te dwa akty stworzenia nastąpiły jednocześnie), lecz nieco wcześniej. Otrzymały one, tak jak my, umysł i wolę, lecz pozbawione były ciała. W pewnym momencie, według Apokalipsy, niektóre anioły zapragnęły zostać bogami. Wtedy w niebie rozegrała się straszna bitwa, po której pokonane anioły stały się złymi duchami, na czele z Szatanem i po dziś dzień przemierzają świat. Kongres Nicejski w 325 roku uznał wiarę w anioły za dogmat, lecz późniejszy synod potępił oddawanie czci aniołom.

Również muzułmanie uważają, że anioły zostały stworzone przed ludźmi. Według Koranu, w chwili gdy powstał człowiek, jako naczelné dzieło Boga, nakazano aniołom, by oddali im hołd, i ten właśnie rozkaz doprowadził potem do rebelii Lucyfera. Zanim Mahomet zjednoczył Arabów pod

wspólnym sztandarem islamu, czcili oni wielu bogów i boginie wśród których najwyraźniej znajdowali się też aniołowie. Mahomet, kiedy poznał pisma biblijne, włączył anioły do swej nowej religii. Mahomet został wybrany na proroka i wielokrotnie opowiadał o swej wizji, w której piękny Gabriel obiecał, że pokieruje jego krokami w nowej roli. Muzułmanie wierzą, że towarzyszące i zapamiętujące wszystko anioły towarzyszą ludziom podczas modlitwy w meczecie oraz w każdym innym miejscu, a w dniu Sądu Ostatecznego będą świadczyć za lub przeciw ludziom.

Badania wykazały, że niezależnie od ich genezy, anioły mają trzy podstawowe cele: wielbić Boga, służyć jako posłańcy pomiędzy Bogiem i ludźmi na ziemi oraz funkcjonować jako opiekunowie, nigdy jednak nie ingerujący w naszą wolną wolę. Św. Dionizy, św. Paweł, papież Grzegorz i inni dzielą anioły na dziewięć chórów, które wyszczególniam tu według wagi ich obowiązków: Serafini i Cherubini, którzy kochają i wielbią Boga; Trony i Panowania, które są odpowiedzialne za obowiązki aniołów; Zwierzchności, które czynią na ziemi cuda; Mocarstwa, które chronią nas przed demonami; Księstwa, Archanioły i Anioły, które są sługami i stróżami ludzi.

Najbardziej znani archaniołowie to: Rafał, Michał i Gabriel. Jedną z najstarszych świątyń w Turcji poświęcona jest Michałowi, uważanemu w tym kraju za wielkiego uzdrowiciela chorych. Choć moc aniołów jest ogromna, to są one oczywiście we wszystkim poddane Bogu. Religie różnią się w niektórych szczegółach dotyczących aniołów: na przykład katolicy wierzą, że w chwili narodzin każdy otrzymuje anioła stróża, przyjaciela życia szczególnie dopasowanego do osobowości każdego z nas. Dzieci katolickie uczą się krótkiej modlitwy, która "rozpoczyna" rozmowę z ich aniołkami, a 2 października obchodzone jest święto aniołów stróżów. Nauka o aniołach u starożytnych Żydów również zawierała ten osobisty akcent. W rzeczywistości Talmud mówi, że przy narodzeniu każdemu Żydowi przydzielane jest jedenaście tysięcy aniołów! Nauki protestanckie są rozbieżne w swych sądach, przy czym większość sprowadza się do tego, że nie powinniśmy modlić się do aniołów, lecz możemy prosić je o wstawiennictwo za nas.

Kiedy około czwartego wieku anioły pojawiły się w sztuce, artyści dali im skrzydła, dla odróżnienia od apostołów i innych świętych. Wyobrażamy ich też sobie jako cherubinki z dołeczkami w policzkach lub przyodziane w biel chóry, takie jak te, które pojawiły się podczas pierwszej nocy Bożego Narodzenia. Jednakże ci, którzy otarli się o śmierć, mówią o napotkanych w drodze „jasnych, świetlnych istotach” - co przypomina nam o tym, że światło, symbolizowane przez artystów za pomocą aureoli lub promieniującego ciała, jest znakiem nieba i być może tych, którzy w nim mieszkają.

Liczne anioły pojawiają się w Piśmie Świętym jako silni i nieustraszeni żołnierze. Ale istnieją również biblijne przypowieści o kobietach i mężczyznach, którzy napotkali anioły w ludzkiej postaci, wyglądające jak zwykli śmiertelnicy... właśnie tacy, jak anioł Tima. Dobrymi przykładami jest towarzysz podróży z Księgi Tobiasza czy nieznajomi, którzy w Księdze Rodzaju odwiedzają Lota. A czyż św. Paweł nie upomina Hebrajczyków -i wszystkich po nich - aby "okazywali gościnność, gdyż w ten sposób nie wiedząc o tym, podejmowali wielokrotnie anioły"?

Im więcej czytałam, tym bardziej nabierałam pewności, że anioły nie są gatunkiem wymarłym, lecz nadal przynależą do świata ludzi. Miasta, przedsiębiorstwa lotnicze i organizacje charytatywne nadal noszą imiona aniołów. Członkowie ulicznych patroli, zwanych Aniołami Stróżami, mają na koszulkach emblemat przedstawiający oko, skrzydła i tarczę, co według ich założyciela i szefa, Curtisa Śliwa symbolizuje: "anielskąochronę zaoferowaną każdemu, nawet tym, którzy nie chcą, byśmy ich osłaniali". W Ameryce istnieje Angel Collectors Club, narodowe zgromadzenie ludzi kochających anioły, z własną gazetką i corocznym zjazdem. W Tusco działa butik z rzeczami dla dzieci o nazwie Anielskie Nici. W Cleveland mamy żłobek Dnia Aniołów w Niebie. Dom mieszkającego w Toronto Tollera Cranstona pełen jest obrazów aniołów, misternych układanek i innej niebiańskiej sztuki; ten sześciokrotny kanadyjski mistrz w jeździe figurowej na lodzie lubi anioły, ponieważ "nie dotyczy ich siła grawitacji".

Nawet Hollywood przypomina sobie czasami o aniołach. Któż nie pamięta Clarence w Cudownym Życiu, kochającego anioła, który ukazuje samobójcy (James Steward) wartość jego życia oraz to, co mogłoby się zdarzyć, gdyby nie był wierny swym zasadom? Steward niezmiennie twierdził, że była to jego ulubiona rola. Pole marzeń (Field of Dreams), choć nie do końca była w nim mowa o aniele,

wywarł na widzach tak duże wrażenie, że po dziś pole baseballowe w Iowa, gdzie kręcono film, przyciąga każdego roku tysiące turystów.

Albo spójrzmy na popularny telewizyjny serial Autostrada do nieba (Highway to Heaven), wyprodukowany przez Jacka Landon. Landon zagrał rolę anioła, Jonathana Smitha, chcąc przekonać ludzi, aby sobie wzajemnie pomagali. Pomysł ten przyszedł Landonowi do głowy, gdy pewnego dnia utknął w korku ulicznym w Los Angeles, otoczony kierowcami, którzy ze złością krzyczeli na siebie i trąbili. Gdyby choć cząstka tej energii, zastanawiał się Landon, została zużytkowana na coś dobrego, to jakże mogłoby to zmienić świat! Wkrótce ta myśl rozwinęła się w serial oparty na idei, że wszystkie problemy rozwiązuje uprzejmość, nie złość. Centralną postacią jest tu anioł, który może popełniać błędy, ale także potrafi stać się katalizatorem dobra w życiu różnych ludzi.

Jednak Hollywood to fikcja. Czy anioły naprawdę są wokół nas, służąc nam za pośrednictwem dotyku, szeptu - lub w ludzkiej postaci? Skoro ten dramatyczny, cudowny ratunek, przydarzył się memu synowi, to czy mogłabym odnaleźć podobne historie w życiu innych ludzi? Wydawało się to logiczne; skoro wierzę, że Bóg kocha wszystkie dzieci równie intensywnie, to dlaczego nie miałby roztaczać nad każdym z nas takiej samej opieki jak nad Timem? A może tylko nieliczni spośród nas, gdy ta pomoc już nadeszła, rozpoznali ją. Może po prostu przeszliśmy obok takich zdarzeń uznając je za "łut szczęścia" czy "zbieg okoliczności". Postanowiłam szukać odpowiedzi znacznie głębiej.

Jednak czytać w samotności o aniołach to jedna rzecz, a całkiem co innego zapytać, nawet najbliższego przyjaciela: "Spotkałeś kiedyś anioła?" Myślę, że ludzie w różny sposób podchodzą do rzeczy nadprzyrodzonych. Wielu uważa, że pomysł, iż niebiańskie istoty chodzą wśród ludzi pomagając im, jest po prostu nie do pojęcia. Jesteśmy, mimo wszystko, wychowani na dwudziestowiecznej "teologii" naukowego dowodu. Inni zgadzają się, że spotkanie takie może mieć miejsce, gdyż żyjemy w świecie, w którym nie wszystko można wytłumaczyć zgodnie z zasadami logiki, lecz jednocześnie twierdzą, że prawdziwe cuda nie mogłyby się przydarzyć właśnie im. A więc, czy musimy być wyjątkowo pobożni, by zaliczyć się do grona wybrańców? A jeśli nawet dotrę do osób, które miały spotkanie podobne do przygody Tima, to czyż będą one chciały podzielić się ze mną swoimi przeżyciami?

Wzięłam głęboki wdech i udałam się na pocztę, gdzie wynajęłam skrytkę. Następnie napisałam do gazet, w których publikowałam i poprosiłam, by wydrukowano mój list: Szukam ludzi, którzy wierzą że widzieli anioła - napisałam. Nie mam na myśli ludzkich istot, które są tak dobre, że słusznie nazywamy je "aniołami". Mówią o duchach, ukazujących się w ludzkiej postaci, aby udzielić nam pomocy. Proszę, napiszcie do mnie pod następujący numer skrytki pocztowej...

Kilku wydawców odpisało, że nie publikują tego typu listów. Nie chcieli, aby szpałty ich gazet służyły przeprowadzaniu badań bądź, jak podejrzewam, uznali mą prośbę za zbyt dziwaczną. Od innych nie otrzymałam żadnych odpowiedzi. Jeśli nawet wysłuchają mej prośby - zastanawiałam się - to co z tego, skoro nikt mi nie odpowie. A jeżeli czytelnicy zaczną się śmiać lub, co gorsze, będą mówili do siebie: "Ta Joan Anderson była kiedyś miłą, normalną pisarką, a teraz wydaje się, że coś z nią jest nie tak? "

Czekałam, poszukując jednocześnie materiałów na temat aniołów, aż pewnego dnia ujrzałam mój list wydrukowany w gazecie. Kilka tygodni później poszłam na pocztę i włożyłam kluczyk do wynajętej skrytki. Była to najprawdopodobniej, jak mawiają ludzie, "chwila prawdy". Właśnie miałam się dowiedzieć, czy historia Tima była ewenementem - czy też jesteśmy członkami ogromnej, wspaniałej wspólnoty ludzi, których dotknęła niebiańska istota.

Zdobyłam się na odwagę i przekręciłam kluczyk - i zaskoczona cofnęłam się o krok. Skrzynka była pełna kopert.

### 3. Anioły są wśród nas

Nie opowiadałam o tym zbyt wielu osobom. Przypuszczam, że to sprawi, iż rodzina i przyjaciele wyśmieją mnie lub też pomyślą, że mam halucynacje...

Gdy próbuję zrozumieć, co zobaczyłam, czuję jak kieruje na mnie To Spojrzenie, jakby myślał, że potrzebuję pociechy...

" Wszystko to wydarzyło się tak szybko, że dopiero po kilku dniach zacząłem podejrzewać, że mogła to być interwencja anielska. Wtedy zacząłem składać te wszystkie fakty razem... "

Czytałam te listy z radością. W ciągu następnych miesięcy apel wydrukowały kolejne czasopisma, a także odważyłam

się opowiedzieć te historie publiczności zebranej na moich konferencjach. Dzięki temu liczni, nieznani mi ludzie, podzielili się ze mną tymi "specjalnymi wydarzeniami". Nawiązałam również korespondencję z kilkoma autorami książek o aniołach, prosząc ich o wskazówki oraz adresy osób, z którymi przeprowadzali wywiady. Ilość zebranych przeze mnie materiałów nieustannie rosła.

Zaskoczyło mnie to, że choć wydarzenia związane z interwencją aniołów mocno się różnią między sobą, to reakcja zamieszanych w nie osób była prawie zawsze taka sama. Miała ona dwojaki charakter: najpierw wahanie, czy należy podzielić się swymi przeżyciami; następnie, gdy zostało ono już przezwyciężone, strach, który nawet po latach budziło wspomnienie tych wydarzeń.

Łatwo zrozumieć niechęć przed publicznym wyznaniem tego rodzaju historii. Osoby, z którymi rozmawiałam, podobnie jak ci, którzy przeszli śmierć kliniczną, poczuli się często odepchnięci po uczynieniu próby podzielenia się z innymi swoimi przeżyciami. Stopniowo uczyli się rozważać to w milczeniu, tak aby wątpliwości innych nie umniejszały wagi ich doświadczeń. Nikt nie chciał utracić cennego przekonania, że został w szczególności sposób pobłogosławiony, że pozwolono mu - przez krótką chwilę - zajrzeć do świata, który zazwyczaj musimy zaakceptować poprzez wiarę. Reakcja emocjonalna również, jak się wydaje, miała charakter uniwersalny. Pewna kobieta w średnim wieku, odbyła ze mną rozmowę na klatce schodowej podczas przerwy w jednej z moich konferencji. Opisała pewną scenę z dzieciństwa. Urażona z jakiegoś nieistotnego powodu pobiegła wówczas do lasu, gdzie się natychmiast zgubiła. Błądziła aż do zmroku. Prerażona kręciła się w kółko, wciąż wracając w to samo miejsce. Nagle poczuła na czole delikatne dotknięcie i czuły głos powiedział jej, aby szła "prosto przed siebie". Bez namysłu posłuchała i nie przeszła nawet mili, gdy ujrzała na horyzoncie światła domu.

- Było to czterdzieści pięć lat temu, ale wciąż czuję tę dłoń i ten cudowny głos - mówiła, ciężko przelatykując ślinę, podczas gdy jej zamglony wzrok sięgał ponad moją głowę, aż ku temu odległemu miejscu, w którym nie mogłam jej towarzyszyć.

Inni zduszonym głosem usiłowali opowiedzieć mi przez telefon to, co kiedyś ujrzeli. Jednak nikt nie potrafił racjonalnie wyjaśnić swoich przeżyć, gdyż w ich obliczu wszystko wydawało się odmienione.

Gdy już uporządkowałam i posegregowałam nadesłane historie, zdałam sobie sprawę, że można je podzielić na kilka grup tematycznych. Tak jak w przypadku zdarzenia w lesie istnieją ludzie, którzy nie spotkali anioła w ludzkiej postaci, widzieli natomiast światło, słyszeli głos lub poczuli dotyk.

Inni uświadamiali sobie "obecność" aniołów w ważnych chwilach, tak jakby towarzyszyli im wówczas przyjaciele z okazji jakiejś podniosłej uroczystości.

- Odwiedziłem właśnie w szpitalu mego sąsiada - opowiadał mi ktoś. - Nagle poczułem towarzystwo aniołów wokół nas. "Och! Tu są anioły" - powiedziałem bez zastanowienia. Pacjent i jego siostra byli zdziwieni, ale z przyjemnością przyjęli moją uwagę. Następnego dnia sąsiad zmarł i, jak się później dowiedziałem się od jego siostry, świadomość obecności aniołów przyniosła mu ulgę. Było to czterdzieści lat temu i choć nigdy więcej nie doświadczyłem już niczego podobnego, wciąż pamiętam to nie dające się opisać uczucie.

W wielu listach przedstawiano chwilę śmierci. Osoby czuwające przy łóżku chorego widziały na twarzy umierającego światło lub słyszały, jak tuż przed zamknięciem na zawsze oczu rozmawiał z kimś nieznanym.

- Spójrz mamó, wszędzie wokół nas są anioły, a jeden z nich jest piękniejszy od pozostałych - powiedział umierający na zapalenie otrzewnej jedenastolatek.

-Nie widzę ich Joey - odpowiedziała matka. Pomyślała, że syn majaczy i usiłowała go uspokoić, lecz chłopiec uparcie obstawał przy swoim.

- Popatrz, one są tutaj, tak blisko, że mogę ich dotknąć -powtórzył. Pograżoną w smutku matkę uderzył spokój i głęboka radość synka. Było to pocieszeniem dla całej rodziny.

F. S. Smythe, który w 1933 próbował wspiąć się na Mount Everest, w sprawozdaniu z ekspedycji pisał o pewnej "przyjaznej obecności". "Ogarnęło mnie dziwne przecucie, że ktoś mi towarzyszy. W tym towarzystwie nie mogłem się czuć samotny ani też nic nie mogło mi się stać. To coś zawsze było ze mną, aby wspierać mnie w samotnej wspinaczce po pokrytych śniegiem zboczach. Kiedy wyjąłem z kieszeni i nadgryzłem kawałek miętowego ciasteczka, instynktownie podzieliłem je i odwróciłem się, by podać drugą połowę memu towarzyszowi".

Pewna kobieta opisała, jak w wieku siedemnastu lat przez kilka nocy z rzędu czuła, że ktoś stoi przy jej łóżku. "Tak naprawdę, to nic nie widziałam" - tłumaczyła. "Był to raczej rodzaj świadomości, że ktoś przygląda ci się w tłumie lub gdy czytasz, albo siedzisz plecami do drzwi". Czuła stojące u swojego boku, patrzące na nią dwa anioły. Wydaje się, że ich misją było upewnienie młodej dziewczyny, iż jest bezpieczna. Czuła ciepło i ogarniający ją spokój. Następne lata były pełne niepokoju. "Ale wiedziałam, że dwa anioły, które chroniły mnie podczas tamtych nocy - nadal prawdopodobnie są przy mnie - co powstrzymało mnie od zwątpienia w kochającego Boga". Teologowie utrzymują, że choć anioły mogą przyjmować ludzką postać, to taka manifestacja wcale nie jest konieczna dla ich obecności; Bóg i Jego posłańcy są równie blisko tych, którzy ich widzą jak i tych, którzy ich nie dostrzegają. Rzecz jasna, w wielu sytuacjach nie zdajemy sobie sprawy z obecności anioła. Czujemy lekkie trącenie łokciem, tajemniczy przymus postępowania wbrew sobie, lub też, dość niespodziewanie, ktoś się nami zaopiekuje. Być może nagły przeblysłk intuicji jest właśnie duchem, który za nami oręduje, abyśmy byli bezpieczni i zdrowi. "Anioł zstępuje i ofiarowuje nam niebiański uścisk, a my mówimy: Jaki piękny dzień!" - pisał jeden z wiernych.

Inna grupa osób nie zaobserwowała nikogo, kto nad nimi czuwał - ale widzieli ich za to inni ludzie. Poznałam, na przykład, dobrze udokumentowaną historię Alicji Z., która chodząc po domach sprzedawała książki w nieprzyjaznej dzielnicy na Filipinach. Alicja została kiedyś zaproszona do domu, w którym groźne psy obronne zdawały się być, ku zdziwieniu gospodarzy, nastawione do niej przyjaźnie. Poza tym przygotowano dla niej dwa krzesła zamiast jednego, a gospodyni stwierdziła lakonicznie, że "towarzyszowi" Alicji do twarzy w białym kolorze. Zetknęłam się też z innymi podobnymi przypadkami, w których ktoś nie był świadomy towarzystwa, a świadkowie - ludzie wiarygodni i normalni - upierali się, że widzieli przy nim inne osoby.

Większość tych, którzy do mnie napisali, spotkała anioły w ludzkiej postaci. Niektóre przyniosły wiadomość; inne uratowały ich przed pułapką lub innym niebezpieczeństwem. Najczęściej trudno było coś powiedzieć o tych gościach - wykonali swe zadanie i zniknęli. Rzadko się zdarzało, żeby wydarzenie było tak niezwykle, że człowiek natychmiast rozpoznawał ingerencję anioła.

Na przykład, kaznodzieja John Weaver wybrał się kiedyś wraz z przyjaciółmi zapolować na łosie w stanie Montana. John wspinając się po zboczu pagórka przebył mniej więcej dwie trzecie drogi, gdy ujrzał człowieka wychodzącego zza drzew na następnym wzgórzu. Obcy nie miał na sobie stroju myśliwego ani też strzelby i choć wydawało się, że idzie normalnym krokiem, to przebył dzielącą ich odległość zaskakująco szybko, jakby w kilka sekund. I nie zostawiał na śniegu żadnych śladów.

- Ów mężczyzna podszedł do mnie, uściśnął mi dłoń i zapytał, czy wiem, kim jest.

Weaver wiedział - dzięki oczom, które rozświetlała wiara. Był to ten sam człowiek, który pomógł mu dwadzieścia lat wcześniej, gdy zepsuł mu się samochód.

Usiedli na skale i przedyskutowali bieżące prace Johna oraz jego potrzeby - tak, jak dwaj przyjaciele - a potem anioł odszedł, zapewniając Weavera o Boskiej miłości i oddaniu.

W tym przypadku brak śladów na śniegu i natychmiastowe duchowe olśnienie sprawiły, że Weaver rozpoznał w swoim gościu anioła. Jednak dla większości ludzi te spotkania były na tyle normalne, że dopiero później zaczynali się nad nimi zastanawiać. Klasyczny komentarz brzmiał: "Wydawało się, że jest to zwykły zbieg okoliczności...", "Dopiero po jakimś czasie uzmysłowiłam sobie, jak dziwne było to wszystko..." Skoro "goście" przyszli w ludzkiej postaci, początkowo łatwo było sobie wytłumaczyć ich pomoc.

Odkryłam, że nie ma w tym nic nowego. Na przestrzeni dziejów anioły ukazywały się w postaci,



jaką danej osobie najłatwiej było zaakceptować - w skrzydlatej wersji dla dzieci lub jako życzliwy dziadek w przypadku załamanych kobiet. Napotkałam sprawozdania o aniołach mówiących różnymi dialektami lub przyjmującymi ten sam kolor skóry, co osoba, którą odwiedziły. "Anioły, i tylko anioły, są umysłami bez ciała" - zauważa filozof, Mortimer J. Adler w Anioły i Ady. "Jeśli przyoblekają się w ciało, to tylko wówczas, gdy mają pełnić służbę na ziemi".

Nie wydaje się istotne - przynajmniej w przypadku tych, którzy napisali do mnie - czy wiedzieli, że ich pomocnik jest aniołem; fakt rozpoznania, czy wiara, nie były warunkiem udzielenia im pomocy. Ale najwyraźniej istnieje jeden wspólny mianownik: pisarka i uczona zajmująca się aniołami Betry Malz zauważa, że anielska protekcja nigdy nie ma miejsca w przypadku, gdy ludzie rozmyślnie łamią prawa społeczeństwa lub natury - przykładowo ryzykując szybką jazdą na autostradzie, kradnąc lub wykorzystując innych ludzi. Postępowanie według własnej woli lub narażanie się na niebezpieczeństwo, a następnie czekanie na Boską pomoc, mówi Malz, najwidoczniej umieszcza nas poza "strefą bezpieczeństwa", w której działają anioły. Uważa ona jednak, podobnie jak inni, że wówczas mogą orędować za nami inni ludzie i przywołać duchową pomoc.

Liczne historie potwierdzają obserwacje Malz. Osoby towarzyszące poprosiły o wstawiennictwo i w jakiś sposób "dostroili się" do niebiańskiej sfery, więc pomoc nadeszła. Jeśli rozmyślnie wzywamy anioły o pomoc, mogą one pomóc nam tylko w ograniczony sposób.

W końcu, jedynie niewielka grupa ludzi twierdziła, że spotkała prawdziwego anioła, to znaczy istotę, która wyglądała na anioła, według naszych wyobrażeń.

- Skąd wiesz, że to nie są szaleńcy? - zapytała mnie fryzjerka, kiedy opowiedziałam jej o swojej nowej pasji. Oczywiście nie

Mortimer J. Adler: Angels and Us. Macmillan, Nowy Jork 1982.

mogłam być tego pewna. I bez wątplenia, aby zaakceptować te historie, potrzeba wiary ze strony każdego człowieka.

Jednak powtórzę raz jeszcze, tym ludziom było to obojętne, czy im uwierzymy czy nie. Ich przekonanie było potężne w swej prostocie.

- Wiem, co widziałam - powiedziała cicho pewna kobieta. -I to chyba wystarczy.

Zacząłam kolekcjonować te opowiadania z powodu tego, co przydarzyło się Timowi. Teraz zabierałam z sobą torby wypchane listami, które czytałam w kolejce u dentysty czy w pociągu. Te listy zasługiwały na szersze grono czytelników. Wybrałam kilka najbardziej intrygujących i zaczęłam pisać książkę.

Czego nauczyły mnie te poszukiwania? Dawniej myślałam, że anioły są w duchowym świecie mniej ważnymi pomocnikami, a zbytne poświęcanie im uwagi oddała nas od Boga. Teraz wierzę, że anioły pomagają naszym duszom dotrzeć do nieba, do Niego. Poprzez wszystkie czasy były one częścią Boskiego planu, a więc wydaje się, że Bóg chce, byśmy je znali i prosili o ochronę nas samych i naszych najbliższych. Zagadnienie aniołów wymaga wielkiej wnikliwości i szacunku. Nie wolno traktować ich jako kuriozum, lecz jako istoty od których możemy się wiele nauczyć i również wiele otrzymać. Krótko mówiąc, mogą one stać się naszymi drogimi, kochającymi towarzyszami... jeśli tylko zechcemy wpuścić je do naszego życia.

"Istnieje różnorodność anielskich postaci, które należy wielbić, ale istnieje też element zaskoczenia, o którym nie wolno zapomnieć - pisze G. Don Gilmore w Anioły, anioły wszędzie (An-gels, Angels Everywhere) - ale jeśli dorośli nie wskrzeszą w sobie dziecięcej ciekawości i wyobraźni, to być może nigdy nie doświadczą tych rzeczy".

Jezus przedstawił to w inny sposób: "Jeśli nie staniecie się niczym małe dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego". Opowiadał o zaufaniu, ciekawości, niewinnej akceptacji rzeczy, których nie sposób dowieść... opowiadał o wierze. "Błogosławieni ci, którzy nie widzieli, a uwierzyli".

Osoby, które podzieliły się w tej książce swymi doświadczeniami podejrzewają, że otarły się o tych samych duchowych posłańców, którzy zostali stworzeni na początku świata - różny tylko był czas i miejsce akcji. Gdy zostali sami, ogarnęło ich nieopisane zdziwienie i ciepła świadomość, że mimo ich wad, Bóg zawsze poda im swą Boską dłoń.

Ci, którzy chcą uwierzyć, nie potrzebują żadnego wytłumaczenia wydarzeń opisanych na stronach tej książki. Dla tych, którzy nie chcą uwierzyć, żadne wytłumaczenie nie jest możliwe.

Kim są anioły? Sami o rym zdecydujcie.

#### 4. Anioł w kokpicie

W czerwcu 1971 roku David Moore i jego żona Florence, dowiedzieli się, że matka Florence umiera na raka. Państwo Moore mieszkali w małej miejscowości Yoakum, w stanie Teksas, więc aby odwiedzać chorą matkę zaczęli odbywać częste podróże do Hendersonville, w Północnej Karolinie. Po jednej z takich eskapad David postanowił pozostawić samochód w Północnej Karolinie, by mogła korzystać z niego Florence. Sam wrócił do Teksasu autobusem.

- To był najgorszy pomysł, na jaki kiedykolwiek wpadłem - opowiadał, śmiejąc się. - Czterdziestoseściogodzinna podróż z wrzeszczącymi dziećmi! Z przyczyn finansowych nie było mnie stać na przelot samolotem i przysięgałem sobie, że następnym razem prędzej pójde na piechotę, niż wsiądę jeszcze raz do autobusu!

W następnym tygodniu David spakował się i już miał zamiar wyruszyć do Hendersonville autostopem, gdy zadzwonił telefon. Był to Henry Gardner, który dowiedziawszy się o kłopotach Davida zaproponował, aby polecili do Północnej Karoliny jego małym samolotem Cessna 180, co pozwoliłoby im dodatkowo podziwiać wspaniałe krajobrazy. David z wdzięcznością przyjął ofertę. Nigdy wcześniej nie latał takim samolotem, dlatego gdy następnego dnia przybył na pas startowy, był nieco podenerwowany. Jednak samolot z gracją wzniósł się w powietrze, a David przejął obowiązki nawigatora. Po około pół godzinie, gdy zbliżali się do Houston, pojawiła się mgła.

- To żaden problem - uspokajał zdenerwowanego Davida Henry. - Mamy mapy lotnicze - spójrz, już widać wyłaniające się z mgły wieże radiowe Houston. Musimy tylko je obserwować, a będziemy znali naszą pozycję.

Miał rację. Jednak mgła stawała się coraz gęstsza, aż w końcu za Jackson, w stanie Mississippi, zamilkło radio i wysiadły inne instrumenty. Mężczyźni nie widzieli, co się znajduje pod nimi, nie mogli też skontaktować się z wieżą kontrolną.

David był już bliski rozpaczy, gdy nagle mgła na moment ustąpiła i odsłoniła znajdujące się dokładnie pod nimi lotnisko. Henry delikatnie sprowadził maszynę na ziemię i w ciągu kilku chwil znaleźli mechanika. Z ulgą zjedli szybki lunch i wkrótce znów byli w górze, z naprawionym sprzętem i pełnymi bakami.

Przez pewien czas wszystko było w porządku. Wyszło słońce i napięcie Davida ustąpiło. Mógł wreszcie nacieszyć się lotem i obserwować z lotu ptaka roztaczające się pod nimi krajobrazy.

Lecieli na północ, mijając z prawej strony Atlantę.

- Byłem coraz bardziej podniecony - mówił David - wiedząc, że wkrótce znów zobaczą żonę i córkę. Ale gdy samolot minął Greenville, w Południowej Karolinie, występująca dotąd miejscami mgła znów zamieniła się w jednolitą, szarą masę. Widoczność była na tyle dobra, że Henry wyminął pierwsze pasmo górskie, jednak gdy spojrzeli w dal zobaczyli jedynie zbitą ścianę mgły i ich serca na moment zamarły. Henry przywołał przez radio lotnisko w Asheville prosząc o instrukcje. - Nasze lotnisko jest zamknięte z powodu mgły - odpowiedział kontroler lotów. - Nie ma tu możliwości lądowania. Wracajcie do Greenville.

- Ale nie możemy - zaprotestował Henry. - Kończy nam się paliwo - nie wystarczy, by wrócić do Greenville.

Zapanowała cisza.

- W porządku - rzucił ktoś przez radio. - Zbieramy obsługę naziemną. Przygotujcie się do lądowania awaryjnego.

David chwycił się siedzenia. Wydawało się, że lecą w gęstej, szarej chmurze i wieża kontrolna w Asheville najprawdopodobniej nie widziała ich. Jak więc mają wylądować?

- Możemy skorzystać z map, tak jak poprzednio - zapewniał Henry, rzucając okiem na papiery i usiłując sprowadzić maszynę "po omacku". Lotnisko powinno znajdować się dokładnie pod nimi - ale co będzie, jeśli tak nie jest?

Nagle z radia dobiegł głos:

- Ciągnij do góry! Do góry!

Henry natychmiast pociągnął za drążek. Zaraz potem mężczyźni poprzez szparę we mgle ujrzeli rozciągający się pod nimi widok i zadrżeli. Nie znajdowali się nad pasem startowym, lecz nad miejską drogą szybkiego ruchu! Gdyby tylko zeszli dwa, trzy metry niżej, uderzyliby w most i z pewnością by się roztrzaskali.

Spojrzeni na siebie. Kończyło się paliwo i otuleni tą szarą watą nie mieli pojęcia, gdzie się znajdują. Henry raz jeszcze spróbował zniżyć samolot i prawie uderzył o czubki wystających ponad mgłę drzew. Powtórnie szarpnął drążek do siebie. Sytuacja wydawała się bez wyjścia. Jakże mogli wylądować bez paliwa i bez żadnych wskazówek z wieży kontrolnej?

Nagle napiętą ciszę w kokpicie przerwał, ku ich ogromnej uldze, opanowany głos kontrolera:

- Jeśli mnie posłuchacie, pomogę wam zejść na dół.

- Zaczynaj - odpowiedział Henry. Kontroler zaczął udzielać instrukcji:

- Zejdź troszeczkę niżej - powiedział. - Teraz do góry, na prawo. Troszeczkę w dół...

David chwycił się siedzenia, modląc się żarliwie. Bogu dzięki, kontrolerowi udało się złapać ich na radar, choć lotnisko nie dysponowało koniecznym w tej sytuacji sprzętem. Ale czy zdążą?

Wydawało się, że jest to niemożliwe. Wskaźnik poziomu paliwa pokazywał poziom zerowy, a głos spokojnie nakazywał:

-Nie tak szybko. Spokojnie, spokojnie, teraz...

"Czy ten koszmar wreszcie się skończy? Czy ujrzę jeszcze kiedyś żonę i córkę?" - zastanawiał się David.

Henry posłusznie obniżał we mgle samolot, aż mężczyźni rozpoznali przed sobą początek pasa startowego ze światłami po obu stronach. Był to najbardziej upragniony widok, jaki kiedykolwiek oglądali. W przeciągu kilku minut dotknęli ziemi. Oczy Davida wypełniły łzy wdzięczności i ulgi, gdy na końcu pasa dojrzał Florence.

Samolot zatrzymał się i mężczyźni odmówili krótką, dziękczynną modlitwę. Henry ponownie włączył radio.

- Bardzo dziękuję - powiedział do kontrolera jeszcze drżącym z przejęcia głosem. -

Najprawdopodobniej uratował nam pan życie.

Ale odpowiedź kontrolera przytwierdziła ich do foteli:

- O czym wy mówicie? Łączność między nami już dawno zanikła; ujrzeliśmy was dopiero, gdy przebijaliście się przez chmury.

David i Henry spojrzeli na siebie. Któż więc kierował nimi poprzez mgłę aż do bezpiecznego lądowania? Nigdy nie będą tego pewni. Po dziś dzień, ilekroć David usłyszy warkot małego samolotu, natychmiast myśli o tamtym locie.

- Teraz wiem, że choć nie jestem nikim znaczącym na tym wielkim świecie, to jednak Bóg zawsze patrzy na mnie - mówi. -Wspiera mnie podczas burzy i we mgle.

## 5. Nocny przewodnik

Jesteśmy niczym dzieci potrzebujące mistrzów, aby oświecili nas i pokierowali nami; i Bóg zaspokaja tę naszą potrzebę, przydzielając nam anioły, które są naszymi nauczycielami i przewodnikami.

ŚW. TOMASZ Z AKWINU

William i Virginia Jackson pochodzący z Nowej Anglii, już od kilku lat mieszkali na Florydzie. Virginia często prosiła o pomoc anioły. Pewnego razu małżeństwo przejechało samochodem, w drodze z Las Vegas do El Paso, Dolinę Śmierci - dopiero później zorientowali się, że mieli pęknięty pasek klinowy. W jaki sposób udało im się przebyć tę niebezpieczną pustynię bez tego istotnego elementu wyposażenia silnika? Virginia wierzy, że ochroniły ich wówczas istoty duchowe.

Natomiast historia, w której interwencja anielska jest o wiele bardziej jednoznaczna, miała miejsce sześć lat później. Jacksonowie odwiedzili córkę w Hudson i tamtego niedzielnego wieczora znajdowali się w drodze do domu.

- Staraliśmy się nigdy tamtędy nie podróżować, gdyż są to tereny, gdzie wszystko jest pozamykane

i oddalone od siebie - mówi Virginia. - Jeśli popadniesz na drodze w tarapaty, nie masz nawet gdzie się udać po pomoc.

Przebyli niewielką odległość, gdy w ich aucie zgasły światła. Co robić? William wysiadł, podniósł maskę samochodu i z nadzieją spojrzął na drogę. Virginia zaczęła się modlić.

Niemal natychmiast nadjechał policjant.

- Czy zna pan jakiś otwarty o tej porze warsztat? - spytał William.

Policjant zastanowił się.

- Być może jest taki jeden. Pojedźcie za mną. Pojechali, lecz zakład był już zamknięty. Byli mieszkańcami innego rejonu i policjant nie mógł porzucić swych obowiązków, aby dalej ich eskortować. Podprowadził ich do drogi nr 41.

- Zaparkujcie tu przy poboczu - zasugerował. - Na pewno zaraz nadjedzie ktoś, kto poprowadzi was bliżej domu.

Policjant jeszcze nie skończył mówić, gdy nadjechało jakieś auto i obaj podeszli, by porozmawiać z kierowcą.

- Czyż nie mamy szczęścia? - powiedział William wróciwszy do samochodu. - Ten gość przed nami będzie przejeżdżał bezpośrednio przez nasze miasto. Podjedziemy za nim do drogi nr 44, a potem skęcimy. Co za szczęście, że znaleźliśmy kogoś, kto jedzie w naszą stronę.

Virginia nie była taka pewna, czy było to tylko szczęście-Nie przestawała się modlić.

Gdy dojechali do umówionego miejsca, Jacksonowie zatrąbili, a dobry samarytanin jadący przed nimi pomachał ręką i pojechał dalej. Potem podjechali pod bank położony w centrum opustoszałego miasta. Od domu dzieliło ich już tylko kilkanaście kilometrów, ale jazda bez świateł mogła okazać się bardzo niebezpieczna.

- Poczekajmy tu. Może nadjedzie ktoś znajomy - zasugerowała Virginia.

Minęło kilka minut, gdy zauważyli zbliżający się, czerwony samochód. Postać, trudna do rozpoznania w ciemnym wnętrzu, nie wyszła i nie zapytała, o co chodzi. Pojazd zwolnił i zatrzymał się tuż przed Jacksonami. W świetle padającym z lamp banku Virginia dojrzała kilka pierwszych cyfr rejestracji i wydały się jej one znajome.

- Czuję, że jest to ktoś, kogo znamy - powiedział William.

- Tak, wydaje się, że czeka na nas - William uruchomił silnik i ruszył za samochodem, który zaczął powoli jechać do przodu.

Jacksonowie mieli już za sobą ostatni etap podróży. Cóż za ulga. Wszystko to mogło być bardzo niebezpieczne, jednak byli chronieni na każdym metrze drogi. Virginia nieustannie wpatrywała się w tablicę rejestracyjną jadącego przed nimi samochodu. Choć nie widziała kierowcy, to z czasem udało jej się odczytać kolejne cyfry.

- Wiem, kto to jest - powiedziała do Williama. - Rozpoznaję numery. Ten samochód stoi na podjeździe sąsiadującego z nami domu. Wciąż go mijam - nic dziwnego, że wydał mi się znajomy.

Gdy kierowca zbliżył się do owego domu, zatrąbił i skręcił na podjazd. William i Virginia pomachali w podzięcie i pojechali do siebie, by w końcu odpocząć po tych ciężkich przeżyciach. Następnego dnia postanowili osobiście podziękować sąsiadom. Udali się do nich i zobaczyli ten sam samochód, z tą samą rejestracją, stojący w tym samym miejscu, gdzie widzieli go poprzedniej nocy.

Otworzyła im kobieta, której twarz po wysłuchaniu podziękowań przybrała wyraz zaskoczenia.

- Ależ ja wczoraj w nocy absolutnie nigdzie nie wychodziłam - zaprotestowała. - Nigdy nie jeżdżę nocą.

- A zatem to był pani mąż - wywnioskowała Virginia.

- To niemożliwe - odpowiedziała kobieta. - Mój mąż z pewnością nie podprowadził was pod dom.

- Jednak właśnie tak było - upierała się Virginia. - Bez jego pomocy najprawdopodobniej wciąż jeszcze stalibyśmy pod bankiem. Widziałam wasz numer rejestracyjny, a ten czerwony samochód z pewnością skręcił na wasz podjazd.

Kobieta pokręciła głową.

- Nie rozumiecie - odpowiedziała. - Jestem jedynym kierowcą w rodzinie i od kilku dni nie jeździłam samochodem. To nie mógł być mój mąż. On już nie prowadzi. Widzicie, on jest

niewidomy.

W przyszłości Jacksonowie stwierdzili, że ów mężczyzna faktycznie nie widział. Przez pewien czas, gdy Virginia spotykała sąsiadkę, ta spoglądała na nią, jakby chciała powiedzieć: "Jakie to halucynacje mieliśmy dzisiaj?"

Jacksonowie po dziś dzień wspominają tamtą noc. Cokolwiek by się nie wydarzyło, jednego mogą być pewni.

- Podczas całej podróży modliłam się o pomoc - podsumowuje Yirginia. - Dlaczego miałabym się dziwić, gdy nadeszła?

## 6. Niewidzialna interwencja

Anioł Pana zakłada obóz warowny wokół bojących się Jego i niesie im ocalenie.

KSIĘGA PSALMÓW 34, 7

Corrie Boom była panną w średnim wieku, która wiodła normalne życie pracując jako zegarmistrz w miejscowości Haarlem, w Holandii. Kiedy na początku lat czterdziestych Hitler podbił Europę, brat Corrie, sługa Zreformowanego Kościoła Holenderskiego, zaczął ukrywać żydowskich uciekinierów. W końcu oddziały niemieckie podbiły także Holandię i wtedy Corrie również zdecydowała się im pomagać, ukrywając w sekretnym pokoju swojego domu żydowskich przyjaciół, aż do chwili ich przeszmygłowania za granicę.

Stopniowo jej dom stał się ośrodkiem miejscowego ruchu oporu. Przewijały się tędy setki Żydów, a niektórzy ukrywali się tam na stałe. "Mój pokój przypominał ul, rodzaj izby rozrachunkowej ..." - pisała Corrie w Więzieniu, a jednak... W dniu 28 lutego 1944 roku Corrie wraz z siostrą Betsie oraz ich ojcem zostali zdradzeni i aresztowani. Choć gestapo przeszukało dom, nie znaleziono ukrytego pomieszczenia, które było tak pomysłowo zaprojektowane, że uniemożliwiło zgromadzenie jakichkolwiek dowodów. Boomowie odmówili zeznań i skazano ich na podstawie oskarżenia o kradzież kartek żywnościowych. Następnie wysłano ich do więzienia.

Ojciec przeżył po wyroku tylko dziesięć dni, a dla jego córek następny rok stał się istnym piekłem na ziemi. Pomimo to, dzięki nieugiętemu duchowi i mocnej wierze w Boga, Corrie niosła cierpiącym więźniom nadzieję i pocieszenie. Jak mówi, nigdy nie zobaczyła anioła "w cielesnej postaci", lecz miała liczne dowody interwencji anielskiej.

Gdy Corrie przybyła z innymi współtowarzyszkami do przerażającego Ravensbriick, obozu koncentracyjnego dla kobiet, zdała sobie sprawę, że wszystko zostanie im odebrane, nie wyłączając ciepłych ubrań. Miały zamarznąć na tym głuchym pustkowiu. Ale co się stanie z jej małą Biblią? Nosila ją na sznurku zawieszonym na szyi i dotąd było to jej jedyne pocieszenie. Z pewnością i ona zostanie skonfiskowana.

Kobiety zmuszono do rozebrania się i przeprowadzono szczegółową rewizję. Zanim nadeszła jej kolej, Betsie poprosiła o pozwolenie pójścia do łazienki. Tam zawinęła Biblię w wełnianą bieliznę, położyła tobolek w kacie i wróciła do kolejki oczekujących więźniarek. Potem siostry otrzymały regulaminowy uniform i Corrie ukryła pod nim owinięte w bieliznę zawiniątko. Z pewnością było widoczne, lecz ona modliła się: Panie, ześlij swe anioły, by mnie otoczyły.

Pochwili zdała sobie sprawę, że anioły są duchami i zmieniła swe błaganie: Panie, nie pozwól, by dziś były przezroczyste, gdyż strażnicy nie mogą mnie zobaczyć!

Spokojnie minęła strażników. Pozostałe kobiety zostały przeszukane od stóp do głów, zbadano na nich każde wyrzuszenie i fałdę. Kobieta stojąca przed Corrie ukryła pod sukienką wełnianą kamizelkę, którą natychmiast wykryto i skonfiskowano. Przeszukano też stojącą za nią Betsie. Corrie przeszła nie tknięta - nawet na nią nie spojrzano. Tak jakby nikt jej nie widział. Drugi szereg strażników przeszukujących więźniarki, też jej nie zauważył.

Biblia była oczywiście w obozie rzeczą zakazaną. Znalezienie Pisma Świętego oznaczało podwojenie wyroku i obcięcie racji żywnościowych, na których i tak nie sposób było wyżyć. Corrie przebywała w tym obozie kilka miesięcy i w międzyczasie poddana została licznym rewizjom. Organizowała tam razem z Betsie zakazane nabożeństwa oraz czytanie Biblii dla więźniarek

różnych narodowości i wyznań. Wydawało się, że Biblię otacza niewidzialna ściana, która uniemożliwia strażnikom jej wykrycie.

W Ravensbriick więźniarki zmuszone były oddać wszystkie lekarstwa. Pozwolono im zachować tylko nieliczne artykuły toaletowe. Corrie zatrzymała buteleczkę mieszanki witaminowej, która już w chwili przybycia do obozu, była w połowie opróżniona.

Awitaminoza stanowiła jedno z największych niebezpieczeństw czyhających na więźniów, dlatego Corrie instynktownie przechowywała tę cenną fiolkę dla wycieńczonej i chorej Betsie. Ale byli też inni chorzy i "nie sposób było powiedzieć "nie" prosto w płonące z gorączki oczy, widząc drżące z zimna dłonie" - pisała w Kryjówce. Wkrótce liczba osób otrzymujących dzienną dawkę sięgnęła trzydziestu, a pomimo to "za każdym razem, gdy przechylałam buteleczkę, na dozowniku ukazywała się nowa kropla. Wiele razy leżałam w nocy nie śpiąc i zastanawiałam się nad tym cudem, który został nam zesłany". Choć nie potrafiła tego zrozumieć, krople wciąż napływały. Pewnego dnia ktoś pracujący w więziennym szpitalu przeschmuglował torbę z witaminami, prosząc Corrie, by sprawiedliwie rozdzieliła je między potrzebujących. Corrie dała każdej kobiecie dawkę wystarczającą na tydzień. Ale gdy wówczas otworzyła własną fiolkę, okazało się, że jest pusta. Widocznie jej rolę przejęły nowe racje witamin, wystarczające na wiele tygodni. Corrie wierzyła, że to anioły były przyczyną tego nie wyjaśnionego fenomenu.

Betsie zmarła w obozie z niedożywienia i głodu. Wkrótce potem wezwano Corrie do więziennego biura i zwolniono z obozu. Jej cierpienia się skończyły. Ale życie nigdy już nie było dla niej takie jak przed uwięzieniem.

Corrie rozpoczęła nowy rozdział w swym życiu, otwierając domy dla brutalnie traktowanych podczas wojny ludzi, którzy mogli tam uleczyć i ciało, i duszę. Aby utrzymać te domy, jeździła wygłaszając wykłady. Ale dopiero rok 1959 przyniósł najbardziej wyraźną "niewidzialną interwencję", która stała się jej udziałem. Corrie udała się na pielgrzymkę do Ravensbruck, aby w ten sposób złożyć hołd zamordowanym tam dziewięćdziesięciu sześciu tysiącom kobiet. Odkryła wówczas, że jej zwolnienie nastąpiło na skutek "błędu w maszynopisanu". Tydzień po jej uwolnieniu, wszystkie więźniarki w jej wieku zabrano do komory gazowej.

## 7. Ani wiatr, ani deszcz...

Skoro anioły otoczyły Corrie ten Boom, by uczynić ją niewidzialną, to cóż może uczynić krąg tych opiekuńczych duchów dla nas samych? Dysponuję tu na przykład historią małżeństwa, które przebywało w hotelu, gdy wybuchł pożar. Było po drugiej w nocy, gdy cały korytarz stanął w płomieniach. Małżonkowie myśleli, że ich los jest już przesądzony. Wtedy mężczyzna wezwał na pomoc Boga, chwycił żonę i zbiegł na dół do hallu. Wydawało się, że płomienie przygasły, dopóki nie udało im się bezpiecznie dotrzeć na dół.

Inna kobieta pisze, jak tuż po rozwodzie jechała ciężarówką w strugach deszczu, podczas szalejącej burzy. Była zrozpaczona i modliła się o pomoc. To jej syn pierwszy zauważył, że deszcz nie uderza już w ich samochód. W bocznych i we wstecznym lusterku widzieli lejący się z góry potop, uginające się drzewa, bębniące o domy i stodoły strugi. Jednak przednia szyba ich ciężarówki, choć nie mieli wycieraczek, pozostała idealnie czysta! To wydarzenie podniosło kobietę na duchu i natchnęło odwagą na dalszą, niebezpieczną drogę.

Lucille Johnson, nauczycielka, jest przekonana, że i ona została "otoczona anielską opieką". W 1949 roku przez Iowa, gdzie uczyła, przetoczyła się epidemia paraliżu dziecięcego i Lucille zaraziła się tą chorobą najprawdopodobniej od swoich uczniów.

- Leczyłam się przez ponad sześć miesięcy i w rezultacie wyszłam z tego wspierając się na dwóch kulach - powiedziała.

Wróciła do szkoły, by skończyć doktorat, a potem znów zaczęła uczyć. Robiła karierę, wyszła za mąż, urodziła córkę i w tym czasie odrzuciła jedną kulę, a potem "z powodu próżności", jak mówi, zaczęła chodzić bez żadnej pomocy.

Jednak choroba osłabiła prawą stronę jej organizmu. Chodząc, nadal musiała unieruchamiać kolano

i często używała laski.

- Bardzo łatwo się przewracam. Raz nawet złamałam rzepkę - tłumaczy. - Szczególnie niebezpieczne są dla mnie silne wiatry, gdyż wówczas łatwo tracę równowagę. Już w młodości niechętnie chodziłam na zakupy do centrum w Davenport, gdy wiał ten sławny wiatr z Iowa. Nie było mi wtedy łatwo przejść przez ulicę bez upadku!

W 1977 roku Lucille wraz z rodziną wybudowała dom w New Salisbury, w Indianie. Zaangażowała się wtedy w działalność kongregacji św. Michała. Zbliżały się pierwsze Święta Bożego Narodzenia spędzane w nowym domu i Lucille zdecydowała, że podziękuje Bogu za błogosławieństwa, uczęszczając przez cały grudzień na Mszę świętą.

W pierwszym tygodniu Lucille jeździła co dzień jedenaście kilometrów do kościoła Św. Michała. Ale drugiego tygodnia, w poniedziałek rano, obudziła ją jej Nemezys - wiatr. Prognozy pogody ostrzegały przed silnymi podmuchami, które z łatwością mogły przewrócić i zranić Lucille. Czy powinna ryzykować? "Boże - modliła się. - Wiem, że obiecałam Tobie... i wywiążę się z tego." Lucille ostrożnie ruszyła w kierunku kościoła. Przez całą drogę wiatr spychał samochód z drogi i wstrząsał nim, a było to szczególnie niepokojące na otwartych przestrzeniach, gdy pojazd drżał niczym zabawka, którą łatwo przewrócić. W końcu Lucille szczęśliwie zaparkowała w pobliżu wejścia do kościoła i ufnie czekała. Czyż nie przyjdzie ktoś, kto mógłby podać jej silne ramię? Niestety. Wyglądało na to, że jest sama i była już prawie gotowa zawrócić do domu. Ale przecież całą drogę przebyła bezpiecznie. .. Niechętnie otworzyła drzwi i weszła w to piekło.

Dziwne, lecz wydawało się, że wiatr nagle ucichł. Zupełnie nic nie czuła.

- Oczekiwałam, że wichura zaraz zwali mnie z nóg - mówi Lucille. - Ale ku memu zdumieniu nie poczułam nawet najmniejszego powiewu, nawet najdelikatniejszego muśnięcia. Wydawało się, że powietrze zamarło w bezruchu.

Najwyraźniej Bóg wysłuchał jej modlitwy i uciszył dla niej wiatr. "Cóż za kochający Ojciec!" - pomyślała.

Tylko że... Skonsternowana spojrzała na drzewa rosnące na podwórku kościelnym. Dalekie były od bezruchu, wyginały się gwałtownie i nawet słychać było trzeszczące, napięte konary. Ale Lucille nic nie czuła, nawet najlżejszy podmuch nie zmierzwił jej włosów. Czym wytłumaczyć to zjawisko?

Nie potrafiła odpowiedzieć. Z rosnącym zaufaniem skierowała kroki do kościoła. Doszła do wniosku, że wiatr wieje jedynie wysoko. Tylko takie wyjaśnienie może tłumaczyć to dziwne zjawisko. Ale jednak... Z niedowierzaniem znów się zatrzymała. Koło jej nóg przemknęło właśnie kilka skłębionych, wyschniętych liści. Najwyraźniej napędzała je siła działająca na powierzchni ziemi. Ta zaś wcale jej nie dotykała.

Lucille wspięła się po popękanych schodach kościoła, trzymając się mocno metalowej poręczy i dźwigając do góry ciało. Wiatr nadal jej nie atakował. Doszła na górę i z łatwością otworzyła ciężkie drzwi. Weszła do środka, a drzwi wolno zamykały się za nią. Lecz nie do końca.

Silny powiew zaczął je otwierać na zewnątrz. Lucille chwyciła jedno ich skrzydło i próbowała walczyć z potężną siłą. W tej chwili do środka wpadła jedna z przyjaciółek.

- To jest najgorszy wiatr jaki kiedykolwiek widziałam - wykrzyknęła do Lucille i po chwili jej się przyjrzała. - Ale ty nawet nie jesteś rozczochrana! Czy nie weszłaś właśnie przed chwilą?

- Miała rację. Moje włosy wcale nie były zmierzwione, a moje ubrania były w najlepszym porządku - opowiada Lucille. - Nawet jeśli na zewnątrz szalała burza, to ja nie nosiłam żadnych jej śladów.

Lucille nigdy nie będzie pewna, czy to właśnie anioły roztoczyły nad nią opiekę - opiekę, której nie był w stanie pokonać nawet sztormowy wiatr. I choć trudniej jest zrozumieć obecność aniołów niżli sam wiatr, to jednak istnieją ludzie, którzy wierzą, że jest to absolutnie możliwe.

## 8. Ratownik

Jean Hannan Ondracek z Omaha była jedną z pierwszych osób, które odpowiedziały na moją prośbę. Oto jej wspomnienia, których od roku 1958 strzeże niczym skarb.

Jean udała się wraz z siostrą Pat i dwoma koleżankami do kurortu w Ozarks, gdzie podczas

weekendu chciały odpocząć i popalać się. Jean jako jedyna z dziewcząt potrafiła pływać, więc w niedzielny ranek postanowiła sprawdzić jaka jest woda w jeziorze. Jej przyjaciółki zostały na brzegu i "pracowały" nad opalenizną.

- Byli tam inni ludzie - wspomina Jean - ale w pobliżu nas nie było nikogo. Nie było żadnych ratowników patrolujących ten fragment plaży. O ile pamiętam, jako jedyna pływałam w jeziorze. Słońce grzało, a woda działała ożywczo. Czas oraz pokonany przez Jean dystans mijały o wiele szybciej niż jej się wydawało. W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że jest o wiele dalej od brzegu niż przypuszczała i nagle - w głębokim miejscu - zabrakło jej tchu. Zszokowana uzmysłowiła sobie, że nie ma dość siły, by wrócić na brzeg.

Krzyczyła i szaleńczo wymachiwała rękoma, ale daleko na piasku opalające się postacie były ledwo widoczne. "Boże, pomóż mi! Pomóż!" - modliła się na głos.

Nagle z lewej strony ujrzała coś podskakującego na wodzie. Łódka! Wyglądała na stary, porzucony kajak. Gdyby tam dotarła, mogłaby wrócić do brzegu... Resztką sił Jean dopłynęła do łódki i, gdy ją ujrzała, zamarła. Była stara, nie miała wiosł i najwyraźniej była przyczepiona do czegoś na dnie. Mogła się jedynie jej przytrzymać dla uspokojenia i złapania oddechu, co było z pewnością i tak błogosławieństwem. Ale wytchnienie było tylko chwilowe.

Jak długo tak wytrzyma, zanim Pat spostrzeże jej nieobecność? A może po prostu uznają, że wyszła na brzeg gdzieś indziej i wcale nie wezwą pomocy? A co będzie, jeśli promienie zaczną przypiekać, zachceję się pić albo omdlejątrzymające się śliskich krawędzi ramiona? Co się stanie, jeśli łódka rozpadnie się pod jej naporem?

- Pomocy - zawołała powtórnie. - Niech ktoś mi pomoże!

Wtem z prawej strony dobiegł plusk. Odwróciła się i ujrzała mężczyznę starszego od niej o kilka lat, który z łatwością pruł fale.

- Cześć - spokojnie przywitał ją, jakby jego tam obecność była rzeczą najbardziej naturalną na świecie. - Masz kłopoty?

- Brakuje mi sił i nie jestem w stanie wrócić do brzegu - odpowiedziała czując ulgę. - Skąd przyplynałeś? Nie widziałam, żeby ktoś jeszcze pływał w jeziorze - a przecież szukałam pomocy! Młody mężczyzna wymijająco wzruszył ramionami:

- Jestem ratownikiem wodnym i jednym z moich obowiązków jest ratowanie ludzkiego życia. Czy sądzisz, że potrafisz dopłynąć do brzegu?

- Och, nie - pokiwała głową Jean. - Jestem wyczerpana.

- Chodź, przekonasz się, że potrafisz! - ratownik uśmiechnął się pewien swego. - Będę przez cały czas przy tobie, aż dotrzesz do brzegu. Jeśli będziesz miała kłopoty, podtrzymam cię.

- No cóż... - był tak przekonujący. A może potrafi tego dokonać, szczególnie, że obiecał pomóc jej, jeśli osłabnie.

Jean w jakiś sposób znalazła w sobie tyle sił, że dotarła do brzegu. Ratownik dużo nie mówił, ale zgodnie z obietnicą, płynął obok i czujnie ją obserwował. Resztką sił Jean postawiła stopy na piaszczystym brzegu. Gdy z pluskiem szła po płytkiej wodzie, Pat i pozostałe dziewczęta wciąż wylegające się na kocach, odwróciły się w jej kierunku.

- Co się stało? - krzyknęła Pat. - Nie było ciebie tak długo.

- Niemal się utopiłam - wysapała Pat, wlokąc się w ich stronę. - Gdyby nie ratownik...

- Jaki ratownik? - Pat rozejrzała się dokoła.

- Ten, który ze mną przyplynał - Jean odwróciła się, aby wskazać go palcem.

Ale na brzegu nie było żadnego mężczyzny, nie było też nikogo w jeziorze ani oddalającego się wzdłuż plaży. Przyjaciółki Jean nie widziały, by ktoś jej towarzyszył.

Jean nigdy już nie ujrzała swego wybawcy, ale dowiedziała się, że lotnisko nie zatrudniało żadnych ratowników. Może to był ratownik zupełnie innego rodzaju.

## 9. Anioły na autostradzie

"Oto ja posyłam anioła przed toBą, aby cię strzegł w czasie twojej drogi..."

KSIEGA WYJŚCIA 23, 20



Pierwszą rzeczą, która mnie uderzyła po przeczytaniu korespondencji czekającej na mnie w skrytce pocztowej, było to, że Tim miał wielu przyjaciół - ludzi, którzy napotkali anioły podczas jazdy samochodem! Kiedy uświadomimy sobie, jak wiele niebezpieczeństw czyha na nas, gdy włączamy się do ruchu ulicznego lub pozamiejskiego, widzimy jak wiele nieustannej pracy dostarczamy aniołom. Na przykład żona pewnego pastora opowiedziała mi o swej podróży przez centralne Kentucky. Jadąc dwupasmówką znalazła się tuż za ciężarówką obładowaną węglem. Ostrożnie wyjrzała i zmieniła pas, by wyprzedzić znajdujący się przed nią samochód. Nagle przerażona ujrzała nadjeżdżającą z naprzeciwka olbrzymią ciężarówkę.

- Kierowca węglarki zauważył co się dzieje i zjechał na prawo, ale i tak było tam wciąż za mało miejsca dla trzech samochodów. Nie miałam też czasu, by cofnąć się na prawy pas - opowiada. Kobieta zamarła i czekała na nieuchronne zderzenie. Aie nadjeżdżająca ciężarówka, jakby się rozwiała. Zszokowana bohaterka cofnęła się za węglarkę i spojrzała we wsteczne lusterko. Nie zobaczyła żadnej ciężarówki.

- Było nas pięcioro w samochodzie - powiedziała mi. -Wszyscy widzieliśmy nadjeżdżający samochód. Nikt nie potrafił wytłumaczyć, co się z nim stało.

Są również inne historie:

Sharon W. (nie jest to jej prawdziwe imię) rzadko jeździ samochodem, więc gdy pewnego deszczowego wieczora wyruszyła do swego wspólnika, jej współlokatorka udzieliła jej wielu rad i ostrzeżeń. Kiedy jednak deszcz zamienił się w śnieg, Sharon zdenerwowała się nie na żarty. Wiedziała, że nie jest doświadczonym kierowcą, zwłaszcza w zmiennym klimacie Michigan. Weszła ze zbyt dużą prędkością w zakręt. Kiedy nacisnęła hamulec, samochód wpadł w poślizg i sunął prosto w kierunku latarni. "Och, anioły, pomóżcie mi!" - krzyknęła. Natychmiast auto zmieniło kierunek.

- Tak jakby zostało podniesione i odwrócone - mówi. - Znalazłam się na prawidłowym pasie, przodem we właściwą stronę.

Sharon nie tylko wyszła z tej przygody bez szwanku, ale także dojechała bezpiecznie na miejsce przeznaczenia.

Po powrocie do domu, opowiedziała przyjaciołce, jak bliska była nieszczęścia.

- Wcale mnie to nie dziwi - padła odpowiedź. - Jak tylko wyjechałaś, zaczęłam się o ciebie niepokoić i wysłałam mego anioła stróża, by ci towarzyszył.

Bernardine Jones jechała na północ. Była właśnie na dwupasmówce w Denver i zbliżała się do skrzyżowania, na którym mogła jechać prosto, albo skręcić w lewo. Tą drogą jechała po raz pierwszy i zamierzała skręcić. Nagle usłyszała rozkaz: "Zwolnij!". Zareagowała bez zastanowienia. Prawie się zatrzymała, gdy nagle zauważyła z lewej strony pędzący samochód, który przemknął właśnie w tym miejscu, w którym by się znalazła, gdyby nie nacisnęła hamulca.

Dopiero potem Bernardine uzmysłowiła sobie, że choć była sama, to ów głos pochodził z wnętrza samochodu.

Mae Warrick wyszła od okulisty i skierowała się do samochodu. Gdy otworzyła drzwi, usłyszała męski głos: "Zapnij pasy!" Mae odwróciła się i spojrzała do tyłu, będąc przekonana, że ujrzy tam kogoś, kto te słowa wypowiedział. Ulica jednak była pusta.

Czy ktoś stroił sobie z niej żarty? Zdezorientowana zapięła pasy. Ruszyła w stronę swej ulubionej przydrożnej kawiarenki i skręciła w lewo na podjazd. Zbyt późno spostrzegła stojącą tam ciężarówkę. Nie miała już żadnej możliwości manewru. Wypadek był nieunikniony.

- Nawet z zapiętymi pasami złamałam sobie żebro i nabawiłam się siniaków - opowiada osiemdziesięcioletka. - Zastanawiam się, jak by się to skończyło, gdybym nie posłuchała słów anioła.

Janet Notte-Corrao pewnej nocy również posłuchała rozkazu. Siedziała w samochodzie obok męża, który kierował autem, z tyłu znajdowały się ich dzieci. Janet nie zdziwiła się zbyt, gdy w chwili, kiedy samochód wszedł w zakręt, usłyszała głos. Już wcześniej doświadczyła czegoś podobnego. Choć rada była niesłyszalna dla innych, Janet wyraźnie zrozumiała: "Módl się Janet! Zbliża się samochód, z którym zderzycie się na podjeździe. Módl się!"

Po chwili ujrzała to, co za chwilę miało się wydarzyć. Nadjeżdżający z naprzeciwka samochód zderzający się z ich autem. O, Boże - modliła się - Proszę, otocz nasz samochód zastępem aniołów. Mąż Janet jechał ostrożnie, gdy nagle bez żadnego ostrzeżenia rozległ się pisk opon i nastąpiło szarpnięcie wywołane gwałtownym hamowaniem.

- Byłam tak głęboko pogrążona w modlitwie, że było to dla mnie zaskoczeniem - opowiada Janet. - Szarpnęło mną do przodu i tylko dzięki pasom nie wypadłam przez przednią szybę - ale samochody nie zderzyły się. Staliśmy tak blisko siebie, że świeciliśmy sobie światłami prosto w oczy.

Zanim zdziwiony mąż Janet zdążył zareagować, stojące naprzeciw auto odjechało. Modlitwa Janet została wysłuchana.

- Samochody dzieliła niewielka odległość - zauważyła uśmiechając się. - Odległość grubości anioła. Andrew (nie jest to jego prawdziwe imię) jechał do domu autostradą St. Louis. Była godzina szczytu. Andrew spojrzął w lusterko i chciał skrócić kierownicę, by zjechać na prawy pas. Ale ta ani drgnęła. Co się stało? Spróbował powtórnie, ale wydawało się, że jest przybita.

Postanowił zjechać z autostrady i znaleźć jakiś warsztat. Spróbował opanować zdenerwowanie i spojrzął w lusterko, by się zorientować, co się za nim znajduje.

Dokładnie za nim, z tak zwanego martwego pola, wynurzyło się jakieś małe auto.

- Było zbyt daleko, by wychwycić je boczne lusterka, ale zbyt blisko, by je dojrzeć w lusterku wstecznym. Gdyby nie blokada kierownicy, wjechałbym w ten samochód z prędkością pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę.

Andrew lekko przyhamował pozwalając, by samochód wyprzedził go. Potem ponownie spróbował skrócić kierownicę. Zareagowała normalnie. Nie było już powodu jechać do warsztatu.

Andrew jeździł tym samym samochodem przez kolejne osiemnaście miesięcy, podobnie jak jego syn i synowa. Nikt z nich nie zauważył więcej żadnych nieprawidłowości w funkcjonowaniu kierownicy.

## 10. Boskie klepnięcie

Anioł stróż życia czasami lata tak wysoko, że umyka naszym oczom, lecz zawsze patrzy na nas w dół.

JEAN PAUL RICHTER

I jeszcze jedna historia, która zdarzyła się podczas jazdy samochodem... Był styczeń 1948 roku. Młody Ojciec Anthony Zimmerman, świeżo wyświęcony katolicki misjonarz, przybył do japońskiego portu Jokohama. Był pierwszym przedstawicielem swego zakonu - Stowarzyszenia Bożego Słowa - który po zakończeniu drugiej wojny światowej przybył tu z Ameryki. W jego ślady mieli potem pójść kolejni księża z Chin, uciekający przed prześladowaniami komunistów. Ojciec Anthony do dziś pamięta, jak po raz pierwszy postawił stopy na przystani, po dwunastu dniach podróży morskiej.

- Czułem, że nadal się kołyszę - mówi. - Zobaczyłem też 117 sztuk mego bagażu, który czekał na kontrolę celną.

W środku znajdowały się artykuły dla dotkniętych wojną misjonarzy: buty, zimowa bielizna, kurtki, puszki z jedzeniem, a nawet rowery i motorynka. Generał Douglas MacArthur obiecał, że misjonarze będą w Japonii mile widziani, co z pewnością złagodziło biurokratyczną procedurę odprawy celnej. Japońscy celnicy pobieżnie przejrzeni bagaż i ojciec Anthony został wpuszczony do kraju, w którym rozpoczął nowe życie.

- Misjonarze, w naszym domu w Tokio, jeszcze tego wieczora ciepło mnie przywitani - wspomina Ojciec Anthony. - Od razu udaliśmy się do kaplicy, by podziękować Bogu za bezpieczną podróż.

Nie pamiętam, czy jakoś szczególnie dziękowałem memu aniołowi stróżowi. Zwykle kontaktowałem się z nim podczas mej porannej i wieczornej modlitwy, więc prawdopodobnie i wówczas poprosiłem go, by w przyszłości towarzyszył mi podczas pobytu w Japonii.

Najpierw kapłan udał się do misji w Tajimi, gdzie studiował język japoński i nauczał angielskiego. W owych czasach żywność oraz paliwo były racjonowane i rodziny japońskie, aby przeżyć,

wyprzedawały swój majątek po okazjnych cenach. Gdy zrozumieli, że Amerykanie pomagają im, dostarczając jedzenie i paliwo, a także dobrze ich traktują, wówczas obie nacje powoli zaczęły się akceptować i tolerować. Jednak warunki życia były nadal dalekie od idealnych.

- Podróże zabierały niezwykle dużo czasu, nie było toalet i trudno czasami było zaakceptować jakość posiłków. Gdy pewnego razu zapytałem przełożonego o unoszący się w powietrzu nieprzyjemny zapach, ten odrzekł: "Kolacja albo ubikacja".

Ojciec Anthony poruszał się po skalistych drogach motorynką. Podejrzewał, że jego anioł stróż nie aprobeuje tych ryzykownych eskapad, lecz codziennie modlił się do niego, ufając, że w razie niebezpieczeństwa nie zapomni o nim.

Okolo roku 1950 ojciec Anthony przeniósł się do parafii Ehocho w Nagoya, ale nadal udawał się w liczne miejsca, gdzie uczył angielskiego, odwiedzał chorych i jeśli Japończycy chcieli, dyskutował z nimi o chrześcijańskich metodach leczenia i wybaczeniu bliźnim. Bywało też, że jeździł do sanatorium w Umemori, gdzie przebywali chorzy na gruźlicę. Była wiosna 1950 roku, gdy w drodze powrotnej z sanatorium wydarzyło się coś niezwykłego.

- Po odwiedzeniu pacjentów w Umemori spakowałem się i jeepem wyruszyłem z powrotem do parafii Ehocho - wspomina. - Nigdy nie przychodziło mi łatwo odnajdywanie prawidłowej drogi, ale jechałem przed siebie ufając, że jakoś bezpiecznie dotrę na miejsce.

Myślałem o tych samotnych, chorych ludziach, z którymi właśnie się spotkałem. W zniszczonej przez wojnę Japonii fundusze na leczenie chronicznie chorych osób były ograniczone. Było to smutne oczekiwanie na śmierć, bez żadnych radości i nadziei. Niektórzy z nich byli wdzięczni, gdy opowiadano im o Boskiej miłości. Ojciec Anthony z ciężkim sercem wspominał cierpienia tych ludzi, przed którymi chciał otworzyć wrota nieba.

Zbliżał się właśnie, jeszcze o tym nie wiedząc, do skrzyżowania dróg. Był to obszar zalesiony, na poboczach rosły drzewa i krzewy i widać było jedynie biegnącą prosto drogę. Nie było żadnego ostrzegawczego znaku.

Znienacka ojciec Anthony, wciąż pogrążony w myślach, poczuł nagłe szarpnięcie. Jeep, który dotąd gładko sunął do przodu, zaczął niebezpiecznie podskakiwać w górę i w dół, a także na boki. Było to jak trzęsienie ziemi. A może to było trzęsienie ziemi?

Ojciec Anthony w obawie przed wywrotką nie zahamował gwałtownie, lecz zwolnił i zatrzymał się. W samą porę. W tej samej chwili zza zakrętu nadjechała z rykiem silnika ogromna ciężarówka, przemykając przez miejsce, w którym właśnie mógł się znajdować samochód kapłana.

- Gdybyśmy się zderzyli, zmiażdżyłaby mnie i moje auto -mówi Anthony. - Spontanicznie spojrziałem w niebo i podziękowałem Bogu. Wciąż czuję tę chwilę.

Ale cóż się stało z jeepem? Kiedy kapłan ochłonął, uświadomił sobie, że z pewnością musiał najechać na coś dużego albo też złapał gumę - co na tamtych drogach nie należało do rzadkości. Drżąc wysiadł z samochodu. Nie zauważył jednak nic, co mogło być przyczyną tej dziwnej reakcji samochodu. Jeep był w porządku - opony były całe, a droga idealnie gładka, bez żadnych kamieni czy innych przeszkód.

Ojciec Anthony zmarszczył brwi i uruchomił silnik. Obyło się bez żadnych kłopotów. Samochód bez wstrząsów, posłusznie ruszył do przodu.

Wszystko działało jak należy. A jednak jakaś potężna siła jeszcze przed chwilą rzucała samochodem na wszystkie strony i spowodowała, że się zatrzymał. To właśnie wtedy ojciec Anthony zrozumiał, co się właściwie wydarzyło i zwrócił się do swego anioła stróża:

- Przepraszam - powiedział. - i dziękuję.

Później ojciec Anthony dowiedział się, że nie był jedynym księdzem, którego spotkała taka łaska. W tym samym okresie, jego kolega z klasy, ojciec John, udał się w rutynową podróż do pewnego klasztoru koło Pekinu, gdzie odprawiał Mszę dla siostr zakonnych. Drogę znał bardzo dobrze - ścieżka wiodła prosto. Pewnego ranka wezwał tubylca z riksą i poprosił go, by udali się właśnie tą drogą.

Pekin był wówczas obleżony przez komunistów i słychać było dochodzące z oddali odgłosy artylerii.

- Jedziemy prosto przed siebie - powiedział ojciec John.

- Nie, sir - padła odpowiedź.

Ojciec John zwykł obstawać przy swoim, ale tym razem było to coś innego. Mężczyzna zdążył już skrócić wybierając okreśną drogę, o piętnaście minut dłuższą i na pewno bardziej kosztowną.

- Jedziemy prosto - powtórzył ojciec. -Nie!

- Wygrałeś - poddał się duchowny i rozpoczęli tę okreśną i na pozór bezsensowną drogę.

Ale wybór tej trasy nie był taki nieuzasadniony. Gdy jechali, powietrze rozdarła eksplozja i w drogę, którą zazwyczaj podróżował ojciec John, uderzyła bomba. Któż może mieć pewność, że kierujący riksą nie był aniołem - bądź kimś natchnionym przez anioła? Ale jak wiadomo, anioły otaczają misjonarzy szczególną troską.

- Co się czuje w takich okolicznościach? - pyta ojciec Anthony. - Czuje się, jakby klepięcie Boga w ramię. Mówi On: "Wiem, że tu jesteś i podoba mi się to, co robisz. Chcę, byś zrobił jeszcze więcej. Zatem dalej zajmuj się tym! Ale bądź ostrożniejszy!" Takiego czegoś się nie zapomina. Ostatecznie ojciec Anthony zrobił doktorat i nauczał w Japonii. Teraz jest już na emeryturze i zajął się pisaniem teologicznych książek.

- Podejrzewam, że w niebie mój anioł stróż powie mi, że już wcześniej wiedział, co jeszcze mnie czeka i dlatego sprawił, że mój jeep zaczął szaleć na drodze, w ten sposób ratując mnie przed śmiercią- mówi kapłan. - Ten epizod pozostał w mej pamięci na zawsze. Jest to dar, którego nigdy nie zapomnę.

## 11. Anioły na straży

Najbardziej fascynujący przypadek anielskiej interwencji ma chyba miejsce wówczas, gdy anioł ukazuje się innym, zaś sama osłaniana przez niego osoba zupełnie nic nie widzi. Wyżej cytowany fragment ukazuje Elizeusza, Boskiego proroka, który wyraźnie widzi anioły, natomiast jego sługa widzi jedynie armię przeciwnika - aż do chwili, gdy otwierają się jego duchowe oczy. Oto podobne historie. Pisarka Betty Malz przedstawiła mi przykład jej przyjaciela Billa (który nie chciał tu występować pod prawdziwym imieniem). Bili wraz z żoną i dwojgiem dzieci spędzali wakacje nad jeziorem Big Bear w Kalifornii, niedaleko Apple Valley. Żona gotowała coś przy ognisku, a Bili robił rodzinie zdjęcia. Następnie czytał Biblię, prosząc Boga, aby chronił ich i dał im bezpieczny wypoczynek. Jednakże w tej samej chwili ich spokój zakłóciło sześciu motocyklistów, którzy rycząc silnikami nadjechali nie wiadomo skąd. Jeden z nich wyciągnął pistolet i kazał oniemiałej rodzinie położyć na ziemi portfele i portmonetki. Uczynili to, a przerażony Bili w pośpiechu upuścił aparat.

Równie nieoczekiwanie i szybko mężczyźni odjechali. Wydawało się, że coś niezwykle ich przeraziło. Upuścili zagrabione przedmioty, odwrócili się i już ich nie było. Dlaczego odjechali tak nagle, i to porzucając swój łup? Rodzina Billa, wciąż zmieszana, ale z uczuciem ulgi podziękowała Bogu za ocalenie. Resztę wakacji spędzili spokojnie. Po powrocie do domu wywołali zdjęcia i dopiero wtedy zobaczyli to, co najwyraźniej owej nocy ujrzeli motocykliści.

Na jednym ze zdjęć dokładnie widać postać ubranego w biel anioła, który stoi czuwając nad siedzącą przy ognisku rodziną.

Louis Torres, duszpasterz młodzieży, obecnie pracujący w Meksyku, niegdyś był dyrektorem Centrum Pomocy Młodocianym w Filadelfii. Pewnego ranka wygłaszał mowę w zgromadzeniu kościelnym, do którego należała Berty i on również potwierdził biblijną koncepcję aniołów ukazanych jako silnych żołnierzy, którzy czasami stają się widoczni dla tych, którzy muszą ich ujrzeć, by uwierzyć. W Aniołach czuwających nade mną, Berty wspomina pewną młodą kobietę o imieniu Myra, o której opowiadał Torres:

Myra pracowała w Centrum w tym samym czasie, co Torres. Organizacja znajdowała się w nieciekawej dzielnicy i Myra niepokoiła się o nastolatków, którzy przychodzili do niej szukając chrześcijańskiej rady. Nie łatwo było im tam dotrzeć, gdyż nieustannie zaczepiały ich wyrostki z okolicznych gangów. Przez pewien czas każdego wieczora Myra pozostawała sama w Centrum, a wówczas członkowie gangu i jej przeszkadzali, waląc w drzwi i obrzucając ją wyzwiskami. Gdy przyszli pewnej nocy, Myra poczuła, że musi opowiedzieć im o Jezusie. Wiedziała, jak

niebezpieczne może stać się to przedsięwzięcie, więc najpierw pomodliła się. Tak, była pewna, że prawidłowo zrozumiała Pana. Otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz.

Młodzi opryszkowie otoczyli ją, a ona starając się zapanować nad głosem, mówiła o Jezusie.

Jednak nie chcieli jej słuchać. Grozili, że utopiają ją w pobliskiej rzece. Myra starała się zachować spokój i schroniła się we wnętrzu budynku. Nie poszli za nią.

Następnego wieczora znów przyszli, ponownie waląc do drzwi i wykrzykując groźby. Myra wciąż wierzyła, że potrafi do nich jakoś dotrzeć. Szeptem pomodliła się do Jezusa: "Panie, niech twe anioły pójdą ze mną i ochraniają mnie".

Potem otworzyła drzwi i już miała do nich przemówić, gdy młodzi ludzie nagle przestali krzyczeć. Spojrzeli na siebie i szybko zniknęli. Dlaczego odeszli?

Nie wracali przez kilka dni. Następnie, pewnego popołudnia, ku ogólnemu zdziwieniu, spokojnie przyszli do Centrum. Długo potem, gdy narodziła się już pomiędzy nimi więź zaufania, Torres zapytał, dlaczego owej nocy tak spokojnie odeszli i przestali grozić ich współpracownicze.

Jeden z młodzieńców odpowiedział:

- Zobaczyliśmy jej faceta i już nikt nie ośmielił się jej tknąć. Ten Ialus miał ponad dwa metry.

- Nie wiedziałem, że Myra ma chłopaka - odpowiedział zamyślony Louis. - W każdym razie, tamtej nocy była tu sama.

- Nie, przecież widzieliśmy go - upierali się przy swoim. - Stał tuż za nią.

- W tym eleganckim, białym garniturze wydawał się wielki jak dąb.

## 12. Specjalna przesyłka

Nazwisko Kenneth Ware po raz pierwszy usłyszałam od Betty Maltz, która opisała tego człowieka w książce Anioły czuwają nade mną. Główna siedziba Stowarzyszenia Bożego w Springfield, w stanie Missouri, dostarczyła mi najego temat dalszych wiadomości.

Kenneth Ware urodził się w Tennessee. Wkrótce podczas pierwszej wojny światowej zginął jego ojciec. Matka zabrała wówczas Kennetha do Szwajcarii, gdzie spędził dzieciństwo.

W latach siedemdziesiątych Kenneth został duchownym Stowarzyszenia Bożego. Najpierw udał się do Jerozolimy, a potem do południowej Francji, gdzie poznał i poślubił szesnastoletnią córkę Maxa Vinitzkiego, nawróconego na chrześcijaństwo ortodoksyjnego Żyda, artysty, którego obrazy wisiały w Luwrze. Kenneth zasłynął w Paryżu jako wielki ewangelista i gdy wybuchła druga wojna światowa domy Vinitzkiego i Ware stały się przystanią dla uchodźców żydowskich znajdujących się w drodze do Hiszpanii lub Szwajcarii.

Kenneth, jako syn amerykańskiego żołnierza, mąż Żydówki i współpracownik francuskiego ruchu oporu, nieustannie narażony był na więzienie. Ostatecznie Kenneth, Susie i ich mały synek spróbowali uciec z Francji. Skończyło się na tym, że Kenneth został aresztowany, przesłuchiwany i bity, ale gdy niemiecki strażnik zorientował się, że jest pastorem, w tajemnicy uwolnił go-

W końcu rodzina połączyła się w Lozannie, w Szwajcarii, gdzie Kenneth usiłował jakoś ich wszystkich utrzymać. Jednak pewnego sobotniego ranka, we wrześniu 1944 roku, znaleźli się bez grosza przy duszy. Suzie postanowiła się pomodlić - w dość szczególny sposób.

- Boże, potrzebuję dwa kilo ziemniaków, kilo mąki, jabłek, gruszek i kalafiora, marchwi i kotletów cielęcych na sobotę oraz wołowiny na niedzielę - powiedziała.

Za kilka godzin ktoś zapukał do drzwi. Suzie otworzyła i ujrzała mężczyznę trzymającego kosz z zakupami. Miał trzydzieści - czterdzieści lat, metr osiemdziesiąt wzrostu i wyglądał na silnego człowieka. Miał niebieskie oczy, jasne blond włosy, a na robocze ubranie nałożony miał długi, niebieski fartuch.

-Przynoszę to, o co pani prosiła-powiedział idealną francuszczyzną, bez szwajcarskiego akcentu.

- To musi być jakaś pomyłka - zaprotestowała zdezorientowana Suzie. -Nic nie zamawiałam.

Zawołała męża. Kenneth uważał, że ów mężczyzna nie wyglądał jak zwykły dostawca. Być może był właścicielem firmy i pomylił mieszkania.

- Tu, proszę pana, jest dwadzieścia pięć mieszkań. Czy aby się pan nie pomylił? - zapytał.

Mężczyzna zignorował to pytanie.

- Pani Ware - powtórzył. - Przynoszę to, o co pani poprosiła. Następnie poszedł do kuchni i opróżnił kosz. Na stole leżały dokładnie te artykuły, o które prosiła Boga tego ranka - nawet kilogram mąki był właściwego gatunku. Państwo Ware byli zszokowani.

- Zacząłem się usprawiedliwiać, tłumaczyć, że nie mam ani grosza, ale jego wzrok pełen nagany związał mi usta - opowiada Kenneth.

Suzie odprowadziła mężczyznę do drzwi i podziękowała mu. Następnie małżonkowie stanęli przy oknie i czekali, czy dostawca opuści budynek - a było tam tylko jedno wyjście. Jednak, choć Kenneth czujnie obserwował, a Suzie poszła sprawdzić korytarz, nie zauważyli by tamtędy wyszedł.

Po wojnie rodzina Ware powróciła do Paryża, w którym było tłoczno od uchodźców. Zakładali misje i szkoły, byli w stanie wyżywić, ubrać i wykształcić wielu ludzi bez środków do życia. W końcu udali się na południe Francji.

Kenneth Ware twierdzi, że w każdej chwili mógłby rozpoznać tamtego mężczyznę, gdyby tylko kiedyś go spotkał. Ale tak się nie stało. Kenneth i Suzie byli pełni wdzięczności wobec Boga, który przysłał im własnego dostawcę, aby zaspokoił ich potrzeby.

### 13. Wiadomość z zaświatów

Siostra Mary Dolores Kazmierczak planowała swą życiową podróż-Rzym, a potem Polska. Starszy już wiekiem ojciec chciał jej towarzyszyć, jednak ona była temu przeciwna.

- Po pierwsze, nie mogła z nami polecieć mama, a rodzice nigdy nie chcieli się rozstawać, a więc uważałam, że ojciec nie będzie bez niej szczęśliwy - tłumaczyła.

Drugi powód był inny. Pan Kazmierczak cierpiał na chorobę, która powodowała utratę równowagi. Kłopoty te nadchodziły bez żadnego ostrzeżenia. Jak, zastanawiała się Siostra Mary Dolores, byłby w stanie radzić sobie podczas tej wyczerpującej podróży? Co by było, jeśli by się przewrócił i zranił? Wiedziała, że jej decyzja była logiczna, jednak wciąż odczuwała wyrzuty sumienia.

Dwa miesiące przed wycieczką, w maju 1979 roku, zmarła pani Kazmierczak. Ojciec czuł się strasznie samotny i poczucie winy Mary stało się jeszcze większe. Tak bardzo chciał z nią pojechać. Jednak jej odpowiedź wciąż brzmiała "nie". Byłoby to zbyt ryzykowne.

Na kilka dni przed wyjazdem do Europy siostra Mary Dolores wraz z ojcem odwiedziła grób matki na cmentarzu Świętego Krzyża w Calumet City, w stanie Illinois. W drodze powrotnej mijali mały, przydrożny stragan. Wyglądało, że nie ma tam wielu ludzi i pan Kazmierczak chciał kupić trochę owoców. Zatrzymali się.

Stoisko prowadziło dwóch mężczyzn. Jeden, w błękitnej koszuli stał za ladą, drugi, w brązowych spodniach i kapeluszu, układał coś na stołach. Dolores i jej ojciec byli jedynymi klientami i, gdy weszli, nie wymieniono żadnych słów powitania ani komentarzy.

Pan Kazmierczak przeszedł wzdłuż półek, przyglądając się towarom, a córka wybierając owoce bez przerwy spoglądała na niego w obawie, by się nie przewrócił. Podała pieniądze stojącemu za kasą mężczyźnie i zaczęła iść ku ojcu, który znajdował się kilka metrów dalej. Właśnie wtedy drugi z pracowników zbliżył się do niej:

- Spokojnie można zabrać ojca na tę wycieczkę - powiedział bez żadnych wstępów.

- Jaką wycieczkę?

- Na tę, na którą się pani wybiera - odpowiedział. - Właśnie rozmawiałem z pani matką, która powiedziała, że ojciec może jechać. Nic mu się nie stanie.

- Jak mógł pan rozmawiać z moją matką? - zaprotestowała. - Zmarła przecież w maju.

- Tak, wiem - powiedział.

Siostra Mary Dolores rozejrzała się zdziwiona. Nadal tylko ona i jej ojciec byli jedynymi klientami w polu widzenia. Czyżby ojciec poskarżył się temu człowiekowi? Było to mało prawdopodobne - z pewnością spostrzegłaby, jak rozmawiają lub przynajmniej usłyszałaby coś. Mogła porozmawiać z ojcem i sprawdzić to jeszcze przy tym nieznanym, ale nie chciała go zdenerwować lub sprawić by poczuł się dotknięty. Zdecydowała się poczekać aż będą sami.

- No cóż... dziękuję - odpowiedziała mężczyźnie, który wciąż spokojnie stał przed nią. Następnie pospiesznie udali się z ojcem do auta.

Kiedy znaleźli się już na autostradzie, poruszyła tę intrygującą sprawę.

- Tato, co powiedziałeś temu mężczyźnie ze straganu?

- Nie rozmawiałem z nim - powiedział pan Kazmierczak. - To ty mu płaciłaś.

- Nie mówię, tato, o tym, który stał przy kasie. Mówię o tym drugim, w kapeluszu.

- Ależ - twarz ojca miała zmartwiony wyraz. - Nie widziałem żadnego innego mężczyzny. Był tam tylko ten za ladą, w niebieskiej koszuli.

- Widziałeś przecież, jak rozmawiałam z tym drugim. Musiałeś widzieć - byłeś tam cały czas, parę kroków ode mnie.

- Ale nie widziałem. Nie było tam nikogo innego. Siostra Mary Dolores nie kontynuowała tej rozmowy. Nie

chciała denerwować ojca. Powoli zaczęła sobie zdawać sprawę, że wydarzyło się coś nadprzyrodzonego.

W czasie kolejnych wakacji zabierała z sobą ojca na wycieczki samolotem i samochodem do Arizony oraz po stanie Michigan. Radził sobie doskonale i nigdy nie zdarzyło się, by upadł. Zmarł w wieku 92 lat, do końca pogodny i szczęśliwy.

- Nigdy już po tym incydencie przy stoisku z owocami nie bałam się - mówi siostra Mary Dolores. Wiedziała, że matka czuwa nad nią i nad ojcem, i aby powiadomić ich o tym, przysłała anioła.

#### 14. Mężczyzna w bieli

Trzy lata temu rodzina Durrance, pochodząca z południowo-zachodniej Florydy, przeprowadziła się do posiadłości, będącej niegdyś gospodarstwem rolnym. Ich dom jako jedyny na ulicy znajdował się z dala od głównych dróg. Olbrzymią działkę otaczały trawy, kępy karłowatych palm i rowy melioracyjne.

Chociaż pozbawiona telefonu, Debbie Durrance dobrze się czuła na tym odludziu, choć odczuwała ciągły niepokój o dzieci, którym nie pozwalała włączyć się po okolicy. Wszystko się mogło zdarzyć - tyle było miejsc, z których nie byłoby słyhać ich wołania. Słyszała też o kilku przypadkach ukąszeń przez grzechotnika, co przydarzyło się nawet ich własnym zwierzętom.

- Hałas i ruch samochodów odstrasza grzechotniki - tłumaczy Debbie. - Ale na takich spokojnych obszarach, jak nasz, czują się one jak w domu.

Pewnego leniwego, niedzielnego popołudnia, tuż przed Wielkanocą, dwunastoletni Mark wybrał się na spacer z psem, na co dostał pozwolenie Debbie. Ona sama zajęła się przygotowaniem obiadu, rozkoszując się spokojnym, cichym dniem.

Mark również cieszył się słońcem. W gęstwinie drzew tropił ptaki, i aby znaleźć dogodniejsze miejsce do ich obserwowania, przeskoczył rów. Ładując po drugiej stronie spostrzegł, że w trawie coś się porusza. Jednocześnie poraził go straszny ból, jakim eksplodowała jedna z jego stóp.

Przerażony zdał sobie sprawę, że u nogi zwisa mu grzechotnik, wczepiony w but tuż pod kostką.

Mark nigdy nie czuł tak intensywnego bólu. Zęby jadowe węża najwyraźniej tkwiły w jego kostce!

Jak przez mgłę dojrzał, że pies warczy i doskakuje do węża, który w końcu puścił nogę i zniknął.

Jednak śmiertelny jad dostał się już do głównej żyły w nodze, która jest najniebezpieczniejszym miejscem dla ukąszeń. Żyła zdążyła już rozprzecznić truciznę po całym organizmie. Chłopiec z przerażeniem uświadomił sobie, jak szybko uciekają z niego siły. Poruszał się z coraz większą trudnością, a dzielące go od domu 150 jardów równie dobrze mogło być milami. Miał tu umrzeć - a jego rodzina nawet nie wiedziała, że został ukąszony.

Debbie właśnie nakrywała do stołu, gdy usłyszała otwierające się frontowe drzwi i krzyk Marka.

- Mark, o co chodzi?

Przerażona usłyszała odpowiedź syna:

- Ukąsił mnie grzechotnik.

Przybiegła do pokoju w chwili, gdy Mark upadał na ziemię. Ściągnęła mu buty, a Buddy pobiegł po ojca. Debbie zobaczyła, że noga zdążyła już spuchnąć i stała się purpurowa. W powietrzu unosił się

ten sam piżmowy zapach, jak po ukąszeniu zwierząt. Był to fakt - naprawdę ukąsił go wąż. I nie była to tylko powierzchowna rana. Debbie zadrżała. Nie mieli telefonu i musieli zawieźć syna do przychodni oddalonej o 17 mil. Czy starczy czasu? Boże, nie moje dziecko - modliła się. Proszę, nie Marki Przybiegł jej mąż BobbyJ wziął chłopca na ręce. Rodzina wsiadła do ciężarówki i ruszyli w kierunku autostrady. Mark miał już konwulsje i coraz płytszy oddech. Jedyne co Debbie mogła uczynić w tym pełnym napięcia, cichym samochodzie, to modlić. Gdy byli już niedaleko przychodni, spod maski samochodu zaczął unosić się dym. Przegrzał się silnik!

- Bobby, co zrobimy, jeśli auto stanie? - zapytała Debbie wpadając w panikę, ale było już za późno. Bobby zahamował i pojazd zamarł. Dookoła przejeżdżało wiele samochodów. Potem nadjechała jakaś stara furgonetka. Kierował nią nieznający angielskiego Haitańczyk, pracujący na pobliskiej farmie. Zachowanie oszalałej rodziny sprawiło, że domyślił się o co chodzi. Debbie i Bobby zaciągnęli Marka do samochodu.

- Kierowca przyspieszył. Jechał, kierując się wskazaniem mojego palca i dzikimi gestami. Tak dojechaliśmy do przychodni - wspomina Debbie.

Lekarze natychmiast przystąpili do ratowania Marka.

- Zazwyczaj potrafią poradzić sobie z ukąszeniem węża - tłumaczy Debbie - ale w przypadku Marka jad dostał się do głównej żyły i jego organizm był zatrutowany w o wiele szybszym tempie niż zazwyczaj. Potrzebował specjalnych zabiegów.

W międzyczasie zorganizowano ambulans i zawieziono chłopca do oddalonego o 10 mil szpitala w Naples. Mark zapadł w śpiączkę. Przez następne dwanaście godzin personel szpitalny walczył o życie chłopca. Debbie i jej mąż czuli, że lekarze nie wierzą, że ich syn przeżyje. Debbie nie przestawała się modlić.

W ciągu następnych dni oprócz serca każdy z organów w organizmie Marka przestawał funkcjonować. Jad sprawił, że jego całe ciało strasznie spuchło. Oczy były tak ciasno zamknięte, że trudno było dojrzeć rzęsy. Wewnętrzne wylewy sprawiły, że krew sączyła się nie tylko z uszu, ust i oczu, ale także ze wszystkich porów skóry. Zanim ten koszmar się skończył, trzeba było wykonać transfuzję dziewięciu litrów krwi. Było prawie pewne, że chłopiec utraci nogę, która spuchła tak bardzo, że lekarze musieli ją nacinać na całej długości, aby zmniejszyć ciśnienie. Każdy nowy symptom był gorszy od poprzedniego.

Debbie całymi godzinami siedziała przy łóżku dziecka, głośno modląc się o jego życie.

- Miałam nadzieję, że Mark słyszy moje słowa skierowane do niego i do Boga - mówi. - Chciałam, by wiedział, iż wierzę, że będzie żył.

Cudem stan zdrowia chłopca zaczął się poprawiać. Obudził się z letargu i zaczął pisać do rodziców na kartkach. Chociaż drżał mu jeszcze głos, to opowiedział im o tym strasznym przeżyciu.

- Był tam grzechotnik. Przekłuł but i nie chciał puścić...

- Ale gdzie się to wszystko stało? - chciał się dowiedzieć jego ojciec.

- Na polu, za rowem.

- Ależ to przynajmniej 150 jardów od domu!

- Musiał się znajdować dużo bliżej - powiedział jeden z lekarzy, potrząsając głową. - Mark nie byłby w stanie przejść tak daleko. W jego ciele było zbyt dużo jadu - natychmiast stracił przytomność.

Do domu prowadziło trzynaście stopni. W jaki sposób ten osłabiony chłopiec potrafił je pokonać?

- Pomógł mi ubrany na białą mężczyznę - tłumaczył Mark, w odpowiedzi na ich pytania.

- Mężczyzna? Jaki mężczyzna? - spytała Debbie.

- Ten... który tam był. Nie mogłem dojść do domu i on mnie zaniósł.

- Jak on wyglądał? - Debbie poczuła mrowienie na plecach.

- Nie widziałem jego twarzy. Miał na sobie białą szatę i był naprawdę silny. Schylił się i podniósł mnie. Bolało mnie tak strasznie, że oparłem o niego głowę. Od razu się lepiej poczułem.

- Czy coś mówił?

- Mówił do mnie głębokim tonem - odpowiedział Mark. - Powiedział mi, że będę bardzo chory, ale nie mam się martwić. Potem wniósł mnie po schodach i już go więcej nie zobaczyłem.



Mężczyzna w bieli... Debbie nie wiedziała, co ma powiedzieć. Czy to wszystko przysniło się jej synowi? W takim razie jak dotarł do domu?

Mark przebywał w szpitalu dziewięć tygodni. Potem przeszedł jeszcze kilka przeszczepów, w wyniku których odbudowano mięśnie i tkanki w jego nodze. Lekarze orzekli, że nie grozi mu już trwałe kalectwo.

- Gdy Mark wracał do zdrowia, opowiedział mi, że jest pewien, iż w przychodni był z nim pradiadek - mówi Debbie. -W Georgii mamy stary zwyczaj, że jeśli trzy razy przejdiesz z noworodkiem dookoła domu, to będzie on podobny do ciebie. Pradiadek Durrance uczynił tak z Markiem i zawsze byli sobie bliscy.

Ale pradiadek Marka zmarł jakiś czas przed tym wypadkiem i Debbie przypomniała o rym synowi.

- Ale, mamusiu, on tam był ze mną - upierał się Mark. -Wiem, że był.

Oczywiście! To pradiadek był tym ubranym na białą człowiekiem, o którym śnił Mark. Ale Mark nie ustępował.

- Nie, mamusiu, to nie był pradiadek. I on mi się nie przysnił. On był prawdziwy.

Doświadczenie Marka poruszyło wielu ludzi. Państwo Durrance zamieścili w gazetach oficjalne podziękowanie skierowane do robotnika z Haiti, który im pomógł. Nigdy go nie odnaleźli, ale ich notatka zainspirowała wiele osób do przemyśleń na temat ich własnych reakcji wobec ludzi w potrzebie. Debbie jest fryzjerką i klienci często ją rozpoznają, gdyż wokół sprawy Marka powstało kiedyś dużo zamieszania. Opowiada wówczas ludziom o swej wierze w Boga, który naprawdę odpowiada na nasze modlitwy. Odwiedza też inne ofiary ukąszeń, pocieszając je i napawając otuchą.

Dziś jej syn wie normalne życie nastolatka. Z jedną różnicą- ma świadomość, że kiedyś wśród drzew i traw Florydy przydarzyło mu się coś szczególnego. Mark Durrance przeszedł dolinę śmierci, którą mało kto przekroczył - a potem doświadczył niezapomnianego Wielkanocnego przebudzenia.

## 15. Nieznajomy na drodze

..

Edwarda Strnada łączyła z aniołami więź długa i pełna uczucia. Był najmłodszym z jedenaściorga dzieci i jedynym, które miało dołeczki w policzkach. Gdy kiedyś zapytał o nie matkę, ta zaśmiała się:

- Aniołki cię tam pocałowały!

Rodzina Strnad przeżyła Wielki Kryzys i z własnego doświadczenia wiedzieli co to głód. Gdy Edward dorósł i założył własną rodzinę, często uczestniczył w akcjach zbierania żywności i na różne sposoby pomagał tym, do których nie uśmiechnęło się szczęście. Dlatego nic dziwnego, że gdy zauważył to dziecko... zaczął działać.

Edward każdego ranka jeździł drogą 1-77. Na Trzydziestej, Wschodniej Ulicy znajduje się podjazd w górę, gdzie trzy pasy rozdzielają się, tworząc drogę 1-90. Pewnego wietrznego, pochmurnego, zimowego ranka, Edward dojrzał małego chłopca walczącego z wiatrem i idącego prawą stroną tej niebezpiecznej autostrady. Był czysty i schludny, lecz zbyt lekko ubrany jak na surowy klimat Clevelandu. Miał na sobie tylko marynarkę z popeliny, był bez czapki i rękawiczek. Pod pachą trzymał książki. Edward zdziwił się.

- Moją pierwszą myślą było to, że ten chłopiec absolutnie nie powinien się tam znajdować - było to zbyt niebezpieczne - opowiada - ale minąłem go.

Jednak Edward nie potrafił pozostawić tak po prostu tego dziecka. W jakiś sposób udało mu się przeciąć trzy pasy w godzinie szczytu i zjechać na pobocze. Ujrzał z tyłu chłopca, który zbliżał się do niego. Edward opuścił szybę i zapytał:

- Dokąd idziesz tą ruchliwą autostradą?

- Kierowca autobusu zapomniał mnie zabrać - tłumaczył chłopiec, który wyglądał na dziewięć,

może dziesięć lat. - Idę do szkoły.

- Jakiej szkoły?

- Tremont, na Dziesiątej Ulicy.

Edward zmarszczył brwi. Tremont znajduje się w zachodniej części Cleveland, daleko od tamtego miejsca. Jakże to dziecko miało tam dotrzeć?

Po chwili uświadomił sobie, że chłopiec zapewne został objęty integracyjnym programem i że rzeczywiście chodzi do szkoły tak oddalonej od domu. Aby dotrzeć do Tremont, musiał przejść przez trzy pasy drogi szybkiego ruchu, potem przez most, na którym hulał wiatr i jeszcze jedną zatłoczoną ulicę - razem co najmniej trzy mile.

- Czy chciałbyś, abym podrzucił cię do szkoły? - zapytał Edward.

Chłopiec pokiwał głową, ale nie ruszył się z miejsca. Ciepły samochód zapewne był silną pokusą.

- Masz rację, że nie chcesz jeździć z obcymi - zapewniał go Edward, wyjmując z portfela kartę identyfikacyjną. - Ale widzisz, mój syn jest oficerem w policji i tu mam honorową odznakę z jego numerem i napisem "Ojciec". A tutaj jest moje prawo jazdy...

Chłopiec uważnie przyglądał się fotografiom. Najwyraźniej walczyły w nim sprzeczne uczucia: chęć przejażdżki i obawa o własne bezpieczeństwo.

- Rozumiałem jego lęk. Nigdy nie pozwalałem własnym dzieciom, by wsiadały do samochodu obcych ludzi - mówi Edward, który poczekał, aż chłopiec podejmie decyzję. W końcu zdecydował łodowaty wiatr i dziecko z wahaniem wsiadło do auta.

Edward starał się nie mówić zbyt wiele, aby nie przestraszyć chłopca.

- W trakcie jazdy wymieniliśmy zaledwie kilka słów, koniecznych, by dotrzeć na miejsce - wspomina.

Ważne było, by ten mały chłopczyk czuł się bezpieczny. Dla niego ta podróż była i tak wystarczająco trudna.

W końcu dotarli do Tremont, starej, ceglanej szkoły, położonej w jednej z uboższych dzielnic Cleveland (dziś nazywana jest Ohio City). Znajdujący się przed budynkiem trawnik otaczał trzydziestocalowy płotek, ale wokół nie było nikogo widać - żadnych samochodów, żadnego hałasu, żadnych dyżurnych spacerujących po podwórku.

- Wyglądało na to, że szkoła jest zamknięta - wspomina Edward. - Ale pogoda była paskudna, a lekcje już się zaczęły.

Edward zatrzymał się, a chłopiec wysiadł i nie oglądając się ruszył do frontowych drzwi szkoły. Zanim wszedł do środka, Edward zdążył już ruszyć.

Jednak przez cały ranek powracał myślami do tego małego piechura. Dziwne, że Edwardowi bez żadnych kłopotów udało się przejechać trzy pasy autostrady, by do niego dotrzeć. Robił sobie wyrzuty, że nie poczekał, aż chłopiec bezpiecznie wejdzie do szkoły... W końcu zatelefonował tam, aby upewnić się, czyjego mały pasażer, choć spóźniony, bezpiecznie dotarł na lekcje.

I cóż się okazało! Szkoła rzeczywiście była otwarta, ale kobieta, z którą rozmawiał przez telefon, zapewniała, że tego ranka żadne dziecko się nie spóźniło.

- Przecież podwoziłem go dokładnie pod drzwi budynku - protestował Edward.

- Nikt nie może wejść do środka po dzwonku - tłumaczyła jego rozmówczyni. - Wszystko jest zamykane, gdy sprawdzane są listy obecności. Tylko ktoś z dorosłych mógł go wpuścić do środka. A dziś nie spóźniło się żadne dziecko.

Edward westchnął:

- A więc poszedł na wagary. Albo... a co jeśli coś mu się stało?

- Mogę to sprawdzić - padła odpowiedź. - Czy może pan go opisać?

Edward opisał wygląd chłopca i czekał. Gdy kobieta wróciła, była równie skonsternowana, co on.

- Żadne dziecko nie odpowiada pana opisowi - powiedziała. - A listy obecności nie wskazują, by kogokolwiek dziś brakowało.

Edward twierdzi, że choć ten epizod rozegrał się przed siedmioma laty, to wciąż jest żywy w jego pamięci. Teraz jest mu jeszcze trudniej zrozumieć to wszystko. Może po prostu został w ten oto sposób jakoś "sprawdzony". Może to wydarzenie, poprzez opowiadanie o nim innym ludziom, ma na nich wywrzeć jakiś wpływ.

Niezależnie od jego znaczenia, Edward jest przekonany, że pewnego dnia znów spotka to dziecko.

- Był brązowy - powiedział mi Edward. - Ja jestem biały. Jakiego koloru są anioły?

## 16. Idąc pod górę

A jeśli te istoty czuwają nad tobą, to dzieje się tak za sprawą twej modlitwy,...

ŚW. AMBROŻY

Czy anioły potrafią uratować nas, jeśli ich nie widzimy? Nawet od tak banalnej rzeczy jak pogoda? Pewnego wietrznego, deszczowego ranka, siedemdziesięciodziewięcioletnia Anna May Arthur wspięła się po stromych schodach katedry w jej rodzinnej Irlandii. Wiedziała, że powinna skorzystać ze znajdującej się z przodu budynku klatki schodowej, która miała poręczę i osłony, ale Anna przechodziła właśnie przez kościelne podwórko i tylne wejście znajdowało się tuż obok.

Podczas wspinaczki nieustannie atakował ją wiatr i czuła, jak pod jego naporem chwieje się i słabnie. Większość ludzi wchodzi frontowym wejściem, a więc wokół nie było żywej duszy, która pomogłaby jej się wyprostować, nikogo, kto mógłby podać rękę.

- Widziałam już, jak upadam do tyłu, łamiąc mój biedny kark - opowiada Anna May. -

Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek ktoś mnie tu znajdzie.

Te czterdzieści stopni mogło równie dobrze być czterystoma. Gdy ta słaba kobieta weszła na szczyt, jej obawy stały się faktem - dopadł ją silny powiew i przewrócił.

Instynktownie Anna May wezwała na pomoc niebiosa, krzycząc:

- Och, mój aniele stróżu, ocal mnie!

Natychmiast poczuła, jak chwytają ją dwa silne ramiona, popychając do przodu i prostując.

- Naprawdę, nie byłam tym zdziwiona - mówi Anna. - Przeszło mi przez myśl, że gdy odwrócę się, zobaczę niebiańską istotę w bieli! "Co się mówi aniołom?" - zastanawiałam się.

Ale gdy Anna May odwróciła się, zobaczyła, że podtrzymuje ją sąsiad. Thomasa Hillen znała od lat i była świadoma, że cierpi on na poważną chorobę serca. Z powodu tej osłabiającej go przypadłości, zawsze poruszał się z prędkością ślimaka. Czy ryzykował własnym życiem, by ją ratować?

- Gdy wszedłem na podwórko, zauważyłem, że słaniasz się i zaczynasz spadać ze schodów - powiedział Thomas.

- Ale w jaki sposób dostałeś się tu tak szybko?

- Właśnie w tym sęk! Nie wiem! - jego twarz była mocno zatroskana. Był właśnie w bramie, czterdzieści kroków od najniższego schodka, gdy zobaczył, że Anna May traci na górze równowagę.

I nagle on też się tam znalazł, tuż za nią.

- Nie pamiętam, jak przebyłem tę odległość. Wydaje mi się, że ktoś mnie przeniósł - powiedział jej Thomas. - A jednak człowiek nie mógł tego uczynić.

Zaskoczona Anna przyjrzała mu się nieco bliżej. Nawet się nie zasapał. Jakże człowiek cierpiący na serce - czy nawet długodystansowiec - mógł pokonać tę odległość w ułamku sekundy, gdy Anna zaczynała upadać i wezwała anioła?

Rozejrzała się, ale wciąż nikogo nie było w polu widzenia - nikogo, kto w jakiś sposób mógł jej pomóc. Na kościelnym podwórku znajdowała się tylko ona i Thomas.

Przez chwilę zdziwieni dyskutowali o tym zdarzeniu, szukając jakiegoś logicznego wytłumaczenia, a potem udali się do katedry, aby podziękować Bogu.

- Zawsze w jakiś delikatny sposób byłam świadoma istnienia mego anioła stróża, ale nigdy wcześniej ani potem nie przydarzyło mi się coś tak pięknego i dramatycznego - mówi Anna May. - Istnieją przecież te drobne "wypadki", gdy czujemy, że mieliśmy szczęście i udało nam się uniknąć niebezpieczeństwa. Ale czy zawsze jest to tylko zbieg okoliczności?

Odpowiedź na to pytanie Anna May pozostawia innym.

Dianę Barnard (nie jest to jej autentyczne imię i nazwisko) także nie wierzy w zbiegi okoliczności.

Pamięta bardzo szczególne święta Bożego Narodzenia, gdy poprosiła o pomoc - i ją otrzymała.

W Rittman, w stanie Ohio, śnieg padał przez cały dzień. Biała powłoka miała już prawie

dwadzieścia cali grubości i choć pięknie wyglądała, to uniemożliwiała jazdę samochodem. Jednak dla dwudziestotrzyletniej Dianę spacer w takich warunkach nie stanowił żadnej trudności. Mieszkała prawie milę od kościoła, ale tak bardzo lubiła uczestniczyć w Pasterce, że ta odległość nie odstraszała jej - podobnie jak i to, że będzie musiała pójść sama, gdyż jej mąż miał zostać w domu i opiekować się ich małym dzieckiem. Boże Narodzenie jest przecież najpiękniejszą chwilą w roku!

Około godziny jedenastej Dianę pożegnała się z mężem i wyszła z domu. Choć zasy były w niektórych miejscach głębokie, to droga wiodła w dół i dziewczyna dotarła do kościoła przed czasem.

Nabożeństwo skończyło się tuż przed pierwszą. Dianę nie spotkała żadnych sąsiadów ani przyjaciół, którzy mogliby podrzucić ją do domu, więc wracała samotnie. Ale wędrowka pod górę była czymś zupełnie innym niż zejście w dół. Z każdym krokiem zapadała się coraz głębiej i z coraz większą trudnością posuwała się naprzód. Było pusto i ciemno, a wokół żadnych domów.

Coraz trudniej chwytała oddech. Ależ była zmęczona! Gdy minęła zalesiony obszar, ogarnął ją jeszcze większy niepokój.

- Z każdym krokiem me stopy stawały się cięższe i zaczęłam sobie uświadamiać, że jestem w tarapatkach - mówi. - Istniała możliwość, że nie dotrę do domu - byłam zbyt zmarznięta i wyczerpana. Czy mąż obudzi się i zauważy, że mnie nie ma? Czy ktoś mnie tu znajdzie, czy też mam tu zamarznąć na śmierć? Radosna wycieczka stała się koszmarem. Dianę zerknęła na zegarek: pierwsza piętnaście. Od ciepła i schronienia wciąż dzieliła ją długa droga. Spojrzała na gwiaździste, świąteczne niebo i zawołała:

- O, Boże! Pomóż mi wrócić do domu!

Nagle usłyszała cudowną muzykę i poczuła, że unosi się nad śniegiem, jakby we śnie. Co się stało? Czy już zamarzła? Czy to tak właśnie się umiera?

Nie. W jakiś dziwny sposób znalazła się przed frontowymi drzwiami swego domu. Czy to możliwe? Dianę zamrugała oczami, rozejrzała się po znajomym terenie i znów spojrzała na zegarek. Była pierwsza dwadzieścia. Minęło pięć minut. Jakże udało jej się, w stanie wyczerpania, wejść po tym stromym zboczu. Była już gotowa położyć się i poddać.

A jednak szczęśliwie znalazła się w domu i czuła... że nie posiada się z radości.

Weszła do środka i nie zdejmując płaszcza ani butów usiadła i wpatrywała się w migoczące świąteczne światła.

- Nie pamiętam, jak długo tak siedziałam - opowiada. - Ale wiedziałam, że przydarzyło mi się coś dziwnego i że boję się przyznać do tego nawet przed samą sobą.

- Od tamtej chwili, przez wszystkie lata myślałam o tym i nie potrafię znaleźć żadnego innego wytłumaczenia. Myślę, że był to anioł, któremu Bóg kazał przenieść mnie bezpiecznie pod drzwi domu. Posłaniec niebiańskich hufców zaniedbał na chwilę swe obowiązki na wzgórzu w Betlejem, by dotknąć pewną kobietę w Ohio.

Obie te kobiety poprosiły o pomoc w niebezpiecznych sytuacjach i skorzystały z niewidzialnego źródła siły i łaski.

- Być może anioły nie wtrącają się, jeśli je o to nie poprosimy - podsumował jeden z moich korespondentów. - Ale powinniśmy prosić - większość z nas potrzebuje przecież często pomocy, którą śmiało może otrzymać.

## 17. Szelest skrzydeł

Na początku lat sześćdziesiątych, Lee Ballard, misjonarz i lingwista, został wysłany przez Summer Institute of Linguistics do odległej wioski położonej na Filipinach. Jego zadaniem było położenie podwalin pod pisemną wersję języka Ibaoli, który był wyłącznie językiem mówionym.

Trudno jest nam wyobrazić sobie społeczeństwa, które nie potrafią zapisać własnych słów. Znamy głównie cywilizowane języki i zapominamy, że w niektórych kulturach dźwięk jest jedynym środkiem komunikowania się.

I tu powstaje zadanie dla lingwisty - ująć owe dźwięki w coś czytelnego. Zaczyna on od zgłębienia

owych dźwięków. Stopniowo poznaje ich system, analizuje gramatykę, tworzy słownik, zapoznaje się z folklorem, nagrywa dialogi - a wszystko to zmierza ku stworzeniu literowego zapisu poznawanego języka. Grupa Lee Ballarda miała też inne zadanie: po stworzeniu zapisu fonetycznych słów, mieli przełożyć Biblię na język Ibaoli.

Instytut wybrał jedną konkretną wioskę, w której nikt nie znał angielskiego i Ballard mógł się tam swobodnie zagłębić w mowę tubylców. Kiedy pewnej nocy zdarzył się ten incydent, Ballard przebywał tam już od pięciu miesięcy. Opisał tę historię w majowym numerze miesięcznika Dallas z 1986 roku.

Powiedział mi, że nazywa się Pug-Pug. I oczywiście uwierzyłem mu. Dopiero po dwóch latach dowiedziałem się, że "pug-pug" znaczy "amputowany". Może dlatego tak się przedstawił, bo wiedział, że łatwo będzie mi to zapamiętać. Chciał zapewne, bym wyjawiał jego imię sąsiadom i stał się przedmiotem żartów, bo nikt nie może nazywać się Amputowany. Wiedział, że mnie to zastanowi.

Widzicie, gdy spoglądam wstecz na ten incydent i rozważam wszystkie możliwości, dochodzę do wniosku, że Pug-Pug był aniołem.

Pug-Pug odwiedził mnie pewnej wspaniałej, chłodnej nocy. Z ławki na werandzie widziałem całą dolinę, w oddali drzewa bananowe i matowe strzechy domów, aż po wznoszące się nad rzeką góry, z pionowymi, błyszczącymi w świetle księżyca skałami. Czasami tylko płacz dziecka lub szczekanie psów przerywało tę całkowitą nocną ciszę.

Ale nie siedziałem tam, by napawać oczy pięknym widokiem. W myślach wciąż powracałem do spotkania z mym zwierzchnikiem, które bardzo mnie rozstroiło. Przyjechał na Filipiny, by zbadać me postępy w nauce miejscowego języka - a ja nawet nie zrozumiałem, gdy jeden z wieśniaków powiedział, że mój przełożony powinien obciąć włosy! Znałem setki, a nawet tysiące słów i zwrotów, a nadal nie potrafiłem prowadzić rozmowy w ich języku. Byłem mocno zniechęcony.

Właśnie wtedy pojawił się Pug-Pug. Jego buty zastukały o drabinkę wiodącą na werandę i usłyszałem, jak mówi szorstkim głosem:

- Iyayak ali (Jestem tu) - co odpowiada naszemu "Cześć".

Gdy się obejrzałem, zdziwiło mnie kilka rzeczy. Po pierwsze członkowie plemienia rzadko chodzą nocą bez pochodni. Nawet najdzielniejsi obawiają się duchów ampasit, które, jak mówią, mieszkają wśród skał i drzew. Co dziwniejsze, żaden z psów nie ostrzegł przed jego przybyciem.

W tamtym momencie, zaskoczony potrafiłem jedynie stwierdzić, że wyglądał inaczej i inaczej się zachowywał. Był otwarty i stanowczy, choć w kulturze tubylców zaletą była nieśmiałość. Poza tym nosił buty i wełniane nakrycie, gdy tubylcy chodzili boso i narzucali na siebie koce.

Zgodnie z miejscową etykietą próbowałem nawiązać rozmowę.

- Skąd przychodzisz? - zapytałem.

W odpowiedzi gładko rozpoczął opowieść. Natychmiast podał mi swe imię. Powiedział też, że przychodzi z Baguio, gdzie pracuje dla Kompanii Górniczej Benguet, jest osokiro, "pracującym w tunelu". Wyjawiał swe powiązania z wioską oraz swoją misję. Powiedział, że szuka skarbu - milionów w złocie, które zabrali uciekający w 1945 roku Japończycy. Podejrzał, że może ono być ukryte w jaskini pomiędzy wioską a miastem, po drugiej stronie gór.

Rozmawialiśmy przez ponad godzinę. Już wcześniej czytałem sprawozdania z wojny na tym obszarze, ale on opowiedział mi znacznie więcej niż wiedziałem. Co ciekawsze... cała rozmowa toczyła się w języku plemiennym, który doskonale rozumiałem!

Podczas rozmowy czekałem, aż gość wyjawia mi powód przybycia. Ale tak się nie stało. W pewnym momencie wstał i powiedział:

- Ondawakda (teraz już pójdę).

Szybko zszedł po drabinie, minął pochodnię i zniknął w gaju kawowym.

Rano podszedłem do czterech czy pięciu mężczyzn, którzy siedzieli w pobliżu, wygrzewając się w porannym słońcu. Opowiedziałem im o mym nocnym gościu. Gdy doszedłem do jego imienia, uśmiechnęli się. Potem ich twarze zaczęły się kolejno

marszczyć i wybuchnęli śmiechem, któremu towarzyszyło klepanie się po kolanach.

- Jak on wyglądał? - zapytał jeden z nich, wycierając z oczu łzy. Chciał się dowiedzieć, kto zrobił

mi taki wspomniały kawał.

- Był duży - powiedziałem. - Miał gruby płaszcz i buty. Powiedział, że jest bratem Aloto. Powiedział, że pracuje w kopalni.

- Czy Aloto ma jakiegoś brata w kopalni? - pytali się nawzajem - albo nawet jakiegoś dalekiego kuzyna?

- Aychi met (Zdecydowanie nie) - odpowiadali wszyscy. Usłyszałem, jak jeden z nich szepcze:

- Któż to mógł być?

A zatem któż to mógł być? Nie mam pojęcia. Ale nie sądzę, by jego zadaniem było odnalezienie skarbu. Uważam, że przyszedł, gdyż byłem zniechęcony. A jeśli się w tej kwestii nie mylę, to odniósł sukces. Jego odwiedziny stały się bowiem punktem zwrotnym w mej karierze. Łatwość komunikacji podczas tej nocnej rozmowy dała mi ufność, że może mi się udać. Zniechęcenie zniknęło wraz z Pug-Pugiem.

Czy odwiedził cię kiedyś Pug-Pug w jednym ze swych przebrań?

A jeśli tak... to skąd o tym wiesz?

- Wątpię, czy Pug-Pug przyszedłby do mnie, gdybym przebywał tam wyłącznie dla interesów - mówi Ballard, który dziś mieszka w okolicach Dallas. - Ale nasza organizacja kierowała się szczególną motywacją i chyba dlatego moją pracę spotkała taka łaska.

W latach siedemdziesiątych na język Ibaoli przetłumaczono zarówno Nowy Testament jak i zbiór hymnów. Gdy Ballard powrócił tam kiedyś jako turysta, jeden z tubylców nazwał go "człowiekiem, który dał nam książki".

Pug-Pug dał mieszkańcom wioski - a także pewnemu zdolnemu lingwiście - coś o wiele cenniejszego niż złoto.

## 18. Anioł Briana

Aniele Boży, stróżu mój Ty zawsze przy mnie stój.

Rano, wieczór, we dnie, w nocy Bądź mi zawsze ku pomocy.

TRADYCYJNA MODLITWA KATOLICKA

Zena Marie Anagnosta jest najmłodszą z rodzeństwa w rodzinie, która składa się z siedmiu osób i mieszka w Antioch, w Kalifornii. Była studentką drugiego roku, gdy jej zamężna siostra Renę urodziła pierwsze dziecko, Briana.

- Razem z mamą zaopiekowałyśmy się nim, gdy Renę wróciła do pracy. Staliśmy się sobie bardzo bliscy.

Wszyscy, którzy go znali, zgadzali się, że Brian był na wskroś amerykańskim chłopcem. Kochał życie i wydawało się, że lubi wszystkich ludzi. Gdy dorósł, stał się przywódcą klasy i najlepszym uczniem.

Cała rodzina, wszyscy kuzyni, ciotki i wujkowie są sobie bliscy, ale Zenę i Briana łączyła szczególna więź.

- Wszędzie zabierałam ze sobą Briana oraz jego młodszego brata - do kościoła, kina, na spacery dookoła jeziora - wspomina Zena. - Chłopcy odwiedzali mnie w college'u. Zbieraliśmy puszkę i sprzedawaliśmy je, by chłopcy mieli własne fundusze. Rozmawialiśmy o wszystkim, o naszych marzeniach i snach.

Pewnego dnia, gdy Brian miał jedenaście lat, Zena pracowała na wieczornej zmianie w szpitalu Roseville. Nagle wpadła jej siostra, Therese, z wiadomością:

- Zena, zdarzył się wypadek. Brian...

- Brian! Co się stało?

- Gdy wracał ze szkoły, przejechał go autobus - Therese zaczęła płakać.

Zena stała zszokowana. To nie mogła być prawda. Czy przywieziono go do szpitala? Natychmiast musi iść do niego.

- Therese, gdzie on jest? Czy tutaj, w izbie przyjęć? Jaki jest jego stan?

- Zena, on nie żyje.

Zena nie chciała w to uwierzyć. Nawet w drodze do kostnicy nie potrafiła pojąć tej straty. Ale powoli była zmuszona zaakceptować to, co wydawało się nie do pojęcia. Brian wysiadł z autobusu szkolnego, usłyszał nadjeżdżający z tyłu autobus miejski i poczekał na poboczu, by go przepuścić. Autobus miejski uderzył z przodu pojazd szkolny, który wjechał w Briana, powodując jego śmierć. Strata chłopca załamała całą rodzinę. Zena chodziła niczym we śnie. Wiedziała, że Bóg jakoś ją przez to przeprowadzi, jednak w tamtej chwili ból był nie do zniesienia.

Zena pracowała na nocnej zmianie i wracała do domu o drugiej lub trzeciej w nocy. Pewnej niedzieli tuż po śmierci Briana Zena, choć zwykle towarzyszyła rodzinie na Mszy o ósmej rano, tym razem zdecydowała się dłużej pospać i pójść na Mszę o dwunastej.

W ten upalny dzień kościół był prawie pusty. Zwykle siadała z przodu, więc poszła do drugiej ławki, w której siedziała tylko jedna osoba - chłopiec w wieku około dwunastu lat. Zanim jeszcze Zena weszła do ławki, dziecko uniosło nogi i zrobiło miejsce, aby mogła przejść. Zena przygnębiona osunęła się na kolana po środku ławki. Tuż za nimi siedziało kilka starszych pań.

W trakcie Mszy Zena zauważyła, że chłopiec bezbłędnie odmawia modlitwy. Znał nie tylko partie wiernych, ale szeptał także kwestie księdza, słowa, których nie ma w książeczce do nabożeństwa.

- Emanował od niego taki spokój, aż przyjemnie było na niego patrzeć. Pięknym głosem śpiewał pieśni, nie spoglądając do śpiewnika - mówi Zena. Jej zboliała dusza znajdowała w jego widoku ukojenie. - Chciałam powiedzieć mu, że jest mi bardzo miło widzieć młodego człowieka tak zatopionego w Mszy świętej.

Zdecydowała, że po Mszy powie mu coś przyjemnego.

W wielu katolickich kościołach podczas odmawiania Ojcze Nasz ludzie trzymają się za ręce. Gdy nadszedł czas modlitwy, chłopiec z uśmiechem wziął za rękę Zenę. Jego dłoń była ciepła i przyjemna. Zena poczuła, że płynie z niej spokój, który niczym balsam koi jej zranione uczucia.

Nadszedł czas Komunii Świętej i ludzie, ławka po ławce, zaczęli się podnosić. Zena poszła do ołtarza za chłopcem. Kątem oka dostrzegła, że przyjmuje po niej Komunię. Wróciła do ławki i obejrzała się, by nie stracić go z oczu.

Ale chłopca już tam nie było. Zena miała w zasięgu wzroku wszystkie wyjścia, a minęło zaledwie kilka sekund - chłopiec po prostu zniknął. Szybko rozejrzała się po kościele, ale nigdzie nie było po nim nawet śladu.

Do końca Mszy Zena wciąż myślała o chłopcu. Dziwne, że ktoś tak pełen czci podczas Mszy świętej, wyszedł przed jej zakończeniem. Czy może osłabiła go wysoka temperatura? Zena wyszła z kościoła za starszymi kobietami, które siedziały za nimi.

- Czy nie widziałyście, panie, gdzie poszedł ten chłopiec - zapytała - ten, który podczas Mszy siedział przed wami?

Kobiety zaskoczone spojrzały na siebie.

- Ależ, moja droga, przed nami nie było żadnego chłopca - odpowiedziała delikatnie jedna z nich. - Tylko pani siedziała w tej ławce.

Zdarzenie to stało się dużym pocieszeniem dla rodziny. Z pewnością anioł stróż Briana dał Zenie znak, że wszystko jest w porządku.

## 19. Niewidzialni obrońcy

Jak często unikamy niebezpieczeństwa dzięki niewidzialnym obrońcom? Wiedzą o tym tylko nieliczni szczęśliwcy. W 1960 roku powszechnie znany dr Norman Vincent Peale, wygłosił kazanie, w którym opowiedział historię o słudze Kościoła episkopalnego. Duchowny ów był mieszkańcem jednego z miast na południu kraju i zdarzyło mu się pokrzyżować plany polityka o imieniu Sam.

- Zabiję tego pastora - wyznał Sam kilku przyjaciółom na jednym ze spotkań.

Przyjaciele ostrzegli duchownego i zaproponowali, że będą mu towarzyszyć, w prowadzącej przez ciemny las, drodze do domu. Lecz ten odmówił.

- Pan będzie ze mną-powiedział i rzeczywiście bezpiecznie dotarł na miejsce.

Minęły lata i Sam, znajdując się na łożu śmierci, posłał po owego pastora.

- Wielebny, tamtej nocy zamierzałem ciebie zabić - powiedział. - Czekałem w lesie razem z bandą opryszków.

- A zatem, czemu tego nie zrobiłeś? - zapytał pastor.

- Jak to czemu? - odparł Sam. - A ci dwaj potężni faceci, którzy wtedy z tobą szli?

- Nie było ze mną nikogo - zaprotestował pastor.

- Ależ byli - powiedział Sam. - Widziałem ich.

Również kilku pisarzy opowiedziało mi podobne historie. Suzanne Vecchiarelli z New City, w stanie Nowy Jork, odwiedziła kiedyś w szpitalu przyjaciółkę i przyniosła jej książkę o aniołach. Kiedy inna pacjentka z sali zobaczyła tę książkę, bardzo się nią zainteresowała i opowiedziała historię, która przydarzyła się jej kuzynce.

Stacey, która miała wówczas około dwudziestu pięciu lat, mieszkała w ubogiej części Brooklynu, w Nowym Jorku. Pewnego wieczora, kiedy wracała z pracy, ujrzała mężczyznę włóczącego się koło jej domu. Bardzo ją to przestraszyło, gdyż w ostatnim czasie w okolicy miały miejsce napady połączone z gwałtem. Stacey przeczuwała, że ten człowiek stanowić może zagrożenie. Jednak nie miała wyboru - aby dotrzeć do mieszkania, musiała go minąć.

- Aniele stróżu, broń mnie - wyszeptała Stacey. - Bądź przy mym boku i chroń mnie od złego.

Idąc na pozór pewnym krokiem i patrząc przed siebie udało jej się wyminąć podejrzanego mężczyznę. Czują, jak jej się przygląda, ale nie wykonał żadnego ruchu. Dużym wysiłkiem woli powstrzymała się od biegu i z walącym sercem bezpiecznie dotarła do zakrętu. Potem pogalopowała do swego bloku, wbiegła po schodach i zatrzasnęła za sobą drzwi. Minęło trochę czasu, zanim się uspokoiła. Z jakiegoś powodu czuła, że uniknęła niebezpieczeństwa.

Wkrótce potem Stacey usłyszała syreny policyjne, a gdy wyjrzała przez okno, zobaczyła migające czerwone światła. Coś się wydarzyło, wypadek albo kolejny napad.

Następnego dnia spotkała sąsiadkę, którą zapytała:

- Cóż to wczoraj było za zamieszanie?

- Gwałt - odpowiedziała ponuro kobieta. - Tuż po szóstej. Stacey zamarła. Gwałt wydarzył się właśnie w tym miejscu,

gdzie wczoraj widziała tamtego mężczyznę i to tuż przed szóstą. A jeśli to on był gwałtciwielem?

Dobrze mu się przyjrzała. Może potrafiłaby pomóc policji dostarczając jego opis.

Gdy zatelefonowała, dowiedziała się, że podejrzany jest w areszcie.

- Czy zechciałaby pani wskazać go wśród innych mężczyzn?

- zapytał policjant. - Pani świadectwo pomogłoby nam.

Stacey zgodziła się. Tego samego wieczora zidentyfikowała mężczyznę, którego minęła poprzedniego dnia.

- Ale dlaczego on mnie nie zaatakował? - spytała policjanta.

- Mimo wszystko, byłam chyba równie narażona na niebezpieczeństwo jak ta druga kobieta, która po mnie nadeszła.

Policjant też się temu dziwił i zgodził się, by opisać ją podejrzanemu oraz zapytać go, czy ją pamięta. Stacey nigdy nie zapomni jego odpowiedzi.

- Pamiętam ją. Ale dlaczego miałem sobie zawracać nią głowę? - zapytał gwałtciwielem. - Szła przecież pomiędzy dwoma ogrodnymi facetami.

## 20. Czułe dotknięcie

Pełen miłości dotyk może być subtelny; może być aluzją, że istnieje ktoś, kto potrafi ci pomóc. Może to też być coś fizycznego, lecz niewidzialnego. Czasami jest to jednak mocne dotknięcie, niemal uścisk - ale wciąż nic nie widać, niczego nie sposób "dowieść".

Jean Blitz za kilka miesięcy miała urodzić piąte dziecko. Pewnego zimnego, wiosennego poranka obudziła się w swym domu w Wichita i zrobiwszy kawę wyszła, by sprawdzić, czy dostarczono już mleko.

W nocy werandę pokrył lód i gdy Jean postawiła na niej stopę, poczuła, jak traci grunt pod nogami.



Nie było tam żadnej poręczy i zupełnie nie miała się czego chwycić, by powstrzymać upadek. Jak w zwolnionym tempie Jean ujrzała siebie, jak upada... upada... być może traci nienarodzone dziecko. Ale wówczas, nagle chwyciły ją dwa silne ramiona i postawiły tuż obok drzwi. Bogu dzięki, obudził się wcześniej jej mąż i znalazł się we właściwym miejscu, we właściwym czasie! Jej pełne wdzięczności serce wciąż mocno waliło, gdy odwróciła się... i nikogo nie ujrzała. Drzwi stały otworem, kuchnia była pusta, a na pokrytym śniegiem podwórku panowała cisza, nie zakłócał jej nawet najmniejszy wietrzyk.

Synek Jean przyszedł na świat silny i zdrowy, a dziś sam jest ojcem ośmiorga dzieci.

Równie czuły i chroniący dotyk poczuła kiedyś mała Tess. Bawiła się wraz z przyjaciółką w Tennessee, aż do chwili gdy musiała wrócić do domu. Pożegnała się z koleżanką i zbliżyła się do rowu, przez który zazwyczaj przeskakiwała w drodze do domu. Ale tym razem, choć jej nogi oderwały się już od ziemi, poczuła, że oba jej ramiona powstrzymują czyjeś ręce, zdecydowanie ciągnąc ją do tyłu.

Co się dzieje? Zdezorientowana dziewczynka cofnęła się, wzięła rozbieg i powtórnie spróbowała przeskoczyć czeluść. I znów chwyciły ją te same dłonie, delikatnie sadzając na ziemi. Przyjaciółka poszła już na obiad - a w polu widzenia nie było nikogo innego.

Zdziwiona Tess podeszła na krawędź dołu rowu i spojrzała na drugą stronę. A tam, dokładnie w miejscu, w którym by wylądowała, ujrzała zwiniętego w kłębek grzechotnika.

Emily Frank-Pogorzelski poczuła jeszcze subtelniejsze "czułe dotknięcie". Był wczesny wieczór - trudna pora dnia dla zmęczonych matek. Emily przygotowywała kolację. Diana, jej mała córeczka, jeździła dookoła kuchni na koniku. Kilkakrotnie Emily niemal nadepnęła na dziecko i jej hałaśliwą zabawkę. Z każdą minutą matka traciła cierpliwość. W końcu, zdesperowana schyliła się, by mocno popchnąć zabawkę i wypchnąć dziecko z kuchni.

- Nagle, poczułam jak moje ramię zamiera w powietrzu, jakby blokowało je coś niewidzialnego - opowiada Emily. - Nie czułam czyjeś dłoni czy uścisku, ale pewien paraliż, który obejmował ramię i całą kończynę. Byłam świadoma, że ta siła (czy też jej brak) pochodzi spoza mego organizmu. Jej ramię nie zamarło, nie było unieruchomione; mogła swobodnie nim poruszać, z wyjątkiem kierunku, w którym znajdował się konik Diany.

Zdezorientowana Emily rozejrzała się dokoła. I wtedy w jednym z tych ułamków sekund, które wydają się wiecznością, zauważyła, że drzwi do piwnicy nie zostały zamknięte. Gdyby popchnęła Dianę, dziewczynka przejechałaby przez kuchnię i spadła na kamienną podłogę w piwnicy.

Mary Stebbins, kolejna młoda matka, także miała za sobą trudny dzień. W dodatku sąsiedzi zachowywali się hałaśliwie, więc cierpliwość Mary była na wyczerpaniu. Zirytowana, wybiegła z sypialni i udała się w kierunku kuchni. Na drodze znajdowały się otwarte drzwi do piwnicy.

- O ile pamiętałam, nikt z członków rodziny nie znajdował się wtedy w kuchni. Myślałam, że jest tam zupełnie pusto - opowiada.

Chcąc wylądować złość, Mary wyciągnęła rękę, by dla satysfakcji przynajmniej mocno zatrzasnąć drzwi do piwnicy. Ale dziwna siła powstrzymała ją od tego. Było to "ciśnienie", które pochodziło od czegoś niewidzialnego, czegoś miękkiego, to coś cofnęło jej rękę do tyłu. Po prostu nie mogła dokończyć zamierzonego ruchu.

Zdziwiona Mary rozejrzała się i zamarła. Na ostatnim schodku stała jej dwuletnia córeczka. Gdyby Mary pchnęła drzwi, straciłaby dziewczynkę, która najprawdopodobniej spadłaby ze schodów, lądując na cemencie.

W każdym z takich przypadków, ludzie drżą, gdy rozumieją, co się mogło zdarzyć. Potem cieszą się, że wszystko jest w porządku. Emily poczuła coś więcej: jakąś pewność.

- Było tak, jakby pewna cudowna istota powstrzymała mnie od strasznego błędu, mówiąc: "W porządku, byłaś niecierpliwa, ale cóż z tego? Nie zastanawiaj się nad tym zbyt wiele. Idź dalej".

- Nie wiem, czy tą istotą był mój anioł, anioł mego dziecka czy też kombinacja ich obu - mówi Emily - ale czasem czuję kochającego ducha, który stoi przy moim prawym ramieniu tak blisko, że niemal mogłabym go dotknąć palcami. Mamy szczęście, że pomagają nam takie duchy- i czasami chronią nas przed nami samymi.

## 21. Mały kawałek nieba

Większość dorosłych nie spotyka anioła w postaci odpowiadającej jego wizerunkowi w sztuce. Wydaje się jednak, że dzieci widzą anioły w wersji uskrzydłonej i z aureolą.

Pewna kobieta szła kiedyś z córką ulicą, wzdłuż muru. Nagle dziecko zatrzymało się. Matka nalegała, by szły dalej, lecz dziewczynka ani drgnęła. Wtem rozległ się huk i mur runął. Gdyby zrobiły jeszcze kilka kroków, niechybnie zginęłyby na miejscu. Kobieta, blada ze strachu, spytała córkę, dlaczego zatrzymała się właśnie w tej chwili.

- Nie widziałaś, mamo, tego pięknego, ubranego w białą tunikę mężczyzny? - zapytało dziecko. - Stał tuż przede mną tak, że nie mogłam przejść.

Jezus niósł dzieciom szczególne posłanie. Chciał, by mogły do niego swobodnie przychodzić, nie powstrzymywane przez dorosłych, gdyż ich niewinność i czyste serca należą do królestwa niebieskiego (Mk 10,14). Może właśnie dlatego dzieci łatwiej potrafią przekroczyć duchowe bariery, które tworzymy my, dorośli, i dojrzeć mały kawałek nieba. Ale nawet, gdy coś takiego ma miejsce, nie potrafimy w to uwierzyć.

Tak przynajmniej było w przypadku Laury Leigh Agnese z Bethpage, z Nowego Jorku. Jej trzyletni synek był, zgodnie ze świadectwem wszystkich znających go osób, nader miłym dzieckiem, troskliwym i uczciwym, choć uwielbiał opowiadać historie - czasami nieco ubarwione.

Pewnego ranka Danny przebiegł przez pokój i zahaczył o coś. Przerazona Laura widziała, niemal w zwolnionym tempie, jak synek uderza głową w ostry kant stołu. Zrobiła kilka kroków, wiedząc, że i tak jest za późno, by mu pomóc.

Lecz Danny wcale nie dotknął stołu. Wydawało się, że zamarł nagle w powietrzu. W ciągu kilku sekund znów znalazł się w pozycji pionowej i biegł dalej.

Zdziwiona Laura odtwarzała tę scenę w pamięci. Z pewnością dziecko leciało z tak dużą szybkością w kierunku stołu, że nie miało szansy cokolwiek się chwycić lub uchylić się. Po prostu w jakiś sposób chłopiec przestał upadać. Ten epizod był zaprzeczeniem prawa grawitacji!

Następnego dnia Laura Leigh zapomniała o tym wydarzeniu, aż nagle pochłonięty zabawą Danny spojrzął na nią i powiedział:

- Mamusiu. Widziałem piękną panią. Ze skrzydłami.

- Naprawdę, Danny? - Laura uśmiechnęła się. Jego historie były tak fantastyczne. - Jaka była ta pani?

- Miła - odpowiedział rzeczowo Danny. - Złapała mnie wczoraj tak, że nie uderzyłem się głową o stół.

Laura poczuła, że przeszedł ją dreszcz.

- Czy mówiła coś?

- O! Powiedziała, że będzie nade mną czuwać i chronić przed nieszczęściami.

Danny wrócił do zabawek, pozostawiając mamę zatopioną w myślach.

- Danny był tak mały, że nie uczyliśmy go z mężem o rzeczach duchowych - mówi Laura. -

Opowiadaliśmy mu o Bogu, ale nie wspominaliśmy o aniołach - sami o nich zbyt wiele nie wiemy. Dziecko, o czym matka była przekonana, nie posiadało żadnej wiedzy o aniołach ani ze szkoły, ani z kościoła czy telewizji. Teraz Danny opowiadał jej o pięknej pani, która była idealną odpowiedzią na to niewytłumaczalne wydarzenie.

Jednak Laura nie potrafiła tak łatwo uwierzyć swemu synkowi. Dzieci w tym wieku nie umieją przecież odróżniać faktów od fantazji. Ale Danny wydawał się tak pewny swego...

Gdy przyszła na świat córeczka, Laura umieściła nad jej kołyską wizerunek cherubinka.

- Czy twoja piękna pani właśnie tak wyglądała? - zapytała Danny'ego.

Chłopiec spojrzął na obrazek małego aniołka, potem popatrzył na mamę i wyglądał na bardzo zdziwionego. - Nie, mamo. To nie jest ta pani.

Laura nie chciała wymieniać słowa anioł.

- Ale ma przecież skrzydła. Czy nie są do siebie trochę podobni?

Danny pokręcił przecząco głową. Choć zazwyczaj uwielbiał opowiadać historie, tym razem było inaczej. Z pewnością, jego zdaniem, ta pani była prawdziwa.

Zatroskana Laura Leigh zatelefonowała do szwagierki, Roseann Sciaretta. Roseann nie tylko była głęboko wierzącą osobą, która potrafiła przekonać Laurę o tym jak wspaniałe są anioły, ale także znała ona doskonale samego Danny'ego.

- Danny nie kłamałby na taki temat - pocieszała Laurę. -Pozwól, bym coś sprawdziła.

Następnego dnia Roseann przyniosła do domu Laury pocztówkę z wizerunkiem anioła stróża. Anioł miał postać kobiecą, z której ramion rozpościerały się duże skrzydła.

- Spójrz, Danny - powiedziała, podając bratankowi obrazek. Oczy chłopca natychmiast się zaświeciły.

- Moja pani! - powiedział uśmiechając się. - Spójrz, mamusi, to ta pani, którą widziałem! Jest moim przyjacielem, który zawsze będzie nade mną czuwał! Czy mogę to zatrzymać?

Danny nigdy już więcej nie mówił o pięknej pani i dziś, cztery lata po tym zdarzeniu, najwyraźniej już o niej zapomniał. Ale bez wątplenia jest dobrym, delikatnym chłopcem, którego szczególnie interesują sprawy duchowe. A obrazek anioła wciąż oparty jest o jego lusterko.

## 22. Światło miłości

Skoro anioły są stworzeniami Boga, który jest światłem świata, to kolejnym sygnałem ich obecności staje się poświata lub nawet błysk jasnego światła. Malcolm Muggeridge, pisząc Coś pięknego dla Boga {Something Beautiful for God}, historię o Matce Teresie z Kalkuty, opisuje epizod, który miał miejsce podczas kręcenia przez BBC filmu dokumentalnego o tej świętej kobiecie. Scenariusz zawierał kilka scen, które miały być nakręcone wewnątrz założonego przez Matkę Teresę Domu Umierających. Były to źle oświetlone pomieszczenia, z małymi, wysoko usytuowanymi oknami i operator był przekonany, że nie sposób cokolwiek tam zarejestrować. Spróbowano jednak, ale by ta wizyta nie zakończyła się całkowitym fiaskiem, nakręcono też kilka ujęć na zewnątrz, na słonecznym podwórku. W efekcie okazało się, że zdjęcia zrobione wewnątrz skąpane były w pięknym, delikatnym blasku, podczas gdy partie nakręcone w słońcu były raczej ciemne i zamazane. Coś takiego nie miało prawa zaistnieć.

- Jestem przekonany, że to technicznie niedostępne światło jest faktycznie czymś nadprzyrodzonym - pisze Muggeridge. - Dom Umierających Matki Teresy otacza jaśniejąca miłość, taka jak aureole, które artyści uczynili widocznymi... Nie dziwi mnie, że ta luminescencja została zarejestrowana na taśmie filmowej 11.

To światło miłości występuje częściej niż nam się wydaje. Spójrzmy przykładowo na następującą historię. Pewnego sobotniego, zimnego ranka w Antioch, w stanie Illinois, Chad i Peggy Anderson krzatali się w swoim domu po kuchni. Peggy, pielęgniarka, wybierała się do pracy na poranną zmianę w szpitalu McHenry, trwającą od siódmej do piętnastej. Pobudka i ubieranie, podobnie jak innym pracującym kobietom, zabierało jej sporo czasu. Chad wiedział o tym, więc sam zatroszczył się o dwóch synów oraz dwoje wnucząt, które tymczasowo u nich mieszkaly. Wyjrzał przez okno, zmarszczył brwi i powiedział:

- Peg, pada śnieg.

- Nie tak mocno - Peggy rzuciła okiem przez kuchenne okno.

- Nie... ale uważam, że powinnaś wziąć lincolna, a nie swoją małą corvette. Na wszelki wypadek. -Dobrze...

Peggy nie bała się jazdy w śniegu, ale od szpitala dzieliło ją dwadzieścia mil krętej drogi. Ponieważ duże samochody są bezpieczniejsze, posłuchała rady Chada.

Zimna, biała powłoka nadała wszystkiemu nowy, świeży wygląd, więc choć Peggy była jedynym kierowcą na drodze, jazda sprawiała jej dużą przyjemność - aż do skrętu na most, około ośmiu mil od szpitala. Śnieg pokrywający jezdnię był bardziej śliski, niż się tego spodziewała, a poniżej, jakiś jard lub półtora, znajdowało się zamrożone bagno. Peggy spróbowała zwolnić, lecz jej duże auto zaczęło obracać się wokół własnej osi. Peggy skupiła się, próbując przypomnieć sobie, co należy uczynić w takiej sytuacji, by wyprowadzić auto na prostą. Straciła jednak kontrolę i lincoln nieuchronnie zmierzał ku barierce, za którą znajdowało się bagno. Było za późno. Czy ma zginąć w tej wodnej pułapce? A jej mali chłopcy - co się z nimi stanie?

- Boże - zawołała, gdy samochód pędził w stronę poręczy -pomóż mi!

W polu widzenia nie było żadnych pojazdów i światła auta Peggy stanowiły jedyną iluminację. Lecz nagle w mroku poranka wewnątrz obracającego się samochodu oświetlił ciepły blask. W tej samej chwili Peggy poczuła nieopisany spokój. Światło ogrzewało ją, dając ukojenie. Było ono po prostu... niebiańskie. Rozumiała - nie wiedząc dokładnie, jakim sposobem - że nie ma powodu do obaw.

Samochód wciąż się poruszał -jednak w jakiś sposób znalazł się po drugiej stronie mostu, nie dotknąwszy żadnej z barierek. Teraz staczał się powoli ku polanie. Zatrzymał się i światło natychmiast zniknęło.

- Przez kilka minut siedziałam zdziwiona, modląc się i wychwalając Boga - wspomina Peggy. - Potem wysiadłam i doszłam do drogi.

Autostrada była wciąż pusta, a w zasięgu wzroku znajdował się tylko jeden dom - był oświetlony i wyglądał ciepło oraz zachęcająco. Mężczyzna, który w nim mieszkał, okazał się bardzo gościnnie i uczynny. Peggy zatelefonowała do męża i opowiedziała historię, w którą sama wciąż nie potrafiła uwierzyć. Chad przysłał pomoc drogową, a sam zabrał ją małym autem, pełnym dzieci - i radości.

- Nic podobnego nigdy wcześniej mi się nie przydarzyło i nic równie cudownego nie przydarzyło mi się też potem - mówi Peggy, która obecnie hoduje z rodziną bydło w Nebrasce. - To doświadczenie dało mi głębsze zrozumienie tego, czym jest całkowite zaufanie Bogu.

Peggy wciąż opowiada ludziom o dniu, gdy spotkała na moście anioła - który pozwolił jej dotknąć nieba.

### 23. Anioł w Andach

Raymond Edman urodzony w 1900 roku, był misjonarzem, wykładowcą, profesorem historii oraz, przez dwadzieścia pięć lat, prezesem college'u w Wheaton, w stanie Illinois, będącym al-ma mater wielbnego Billy'ego Grahama, a także wielu innych znanych chrześcijańskich przywódców. Dr Edman napisał dziewiętnaście książek i wydawał Alliance Witness, ale najbardziej znany był chyba ze swego oddania Bogu.

- Był mistykiem w najlepszym tego słowa znaczeniu - powiedział Billy Graham podczas pogrzebu w 1967 roku. - Część życia zawsze wiódł w niebie.

Dr Edman mocno wierzył, że anioły uczestniczą w życiu ziemskim i że czasami ich praca wymaga przybrania ludzkiej postaci. W takich przypadkach "nic w ubiorze czy mowie nie różni ich od innych obecnych ludzi. Tylko wnikliwe serce zrozumie, i to zazwyczaj po jakimś czasie, że nieznajomy, który pomógł w potrzebie, był jednym z Bożych aniołów". Jako przykład dr Edman opisuje w Wheaton College Bulletin własne przeżycie:

Od 1923 do 1928 roku Edman wraz z żoną przebywali jako misjonarze w Andach, w Ekwadorze. Mieszkali na obrzeżach miasta, gdzie mieli dostęp zarówno do hiszpańskojęzycznych mieszkańców jak i nieśmiałych, podejrzliwych Indian, którzy mijali ich dom w drodze na targ.

Jednak zadanie Edmanów nie było łatwe.

- Ludzie byli nieprzyjaźnie nastawieni, a niektórzy byli wręcz fanatykami, którzy nie tolerowali naszej obecności w mieście - wspomina Edman. - Pewnego razu zebrała się gromada ludzi, by obrzucić nas wyzwiskami i kamieniami. Indianie z wiosek obawiali się nawiązania z nami dobrych stosunków ze względu na opinię ludzi z miasta. W efekcie było nam czasami trudno zakupić podstawowe do życia produkty - owoce, warzywa czy węgiel drzewny do kuchennego pieca.

Ale od tych fizycznych trudności jeszcze cięższa była chyba samotność. Młode małżeństwo nigdy się nie bało, ale całkowity brak jakichkolwiek sprzymierzeńców - choćby jednego przyjaciela w tym wrogim otoczeniu - sprawiał, że ich izolacja stawała się coraz dotkliwsza. Byli świadomi, że obcy mogą znieważyć ich lub włamać się do domu i ukraść coś, dlatego okratowana brama do ich domu była nieustannie zamknięta, co jeszcze bardziej zwiększało uczucie izolacji.

Małżonkowie często karmili głodnych przybyszów lub też usiłowali zakupić jakieś produkty od przechodzących Indian. Pewnego dnia, gdy jedli na tarasie na tyłach domu, usłyszeli dzwonek u bramy. Gdy Edman wyszedł z kluczem, ujrzał bosą Indiankę uderzającą o kraty kłódką. Miała na

sobie paciorki, duży, ciężki kapelusz kobiet z gór oraz sukienkę z szorstkiej wełny i kolorowy, błyszczący pasek domowej roboty. Najej plecach wisiał tobolek i wydawało się, że nie ma żadnych towarów do sprzedaży. Edman nigdy jej wcześniej nie widział.

Gdy podszedł, zaczęła cicho mówić mieszaniną hiszpańskiego i dialektu plemienia Quichua, mową typową dla Indian mieszkających w pobliżu miasta. Wskazując na werset z Ewangelii, który Edmanowie zawiesili nad werandą, zapytała:

- Czy jesteście tymi ludźmi, którzy przyszli, by opowiedzieć nam o żywym Bogu?

Edman stał zadziwiony. Nigdy nikt nie zapytał go o to.

- Tak, Mamita (mamo), odpowiedział. - To właśnie my.

Kobieta wzniosła ręce i zaczęła się modlić - o błogosławieństwo dla ich domu, odwagę w kroczeniu po ścieżkach Boga i radość z ich pracy. W końcu, pobłogosławiła Edmana, cofnęła dłoń, uśmiechnęła się, ukloniła i odeszła.

Był tak zaskoczony jej pełnym przyjaźni poparciem, że aż zaniemówił. Po chwili zdał sobie sprawę, że jest gorąco i powinien był zaprosić tę Indiankę, by weszła i odpoczęła. Szybko otworzył bramę i wyszedł, aby ją zawołać. Minęła zaledwie chwila i kobieta z pewnością nie była w stanie odejść dalej niż pięć, dziesięć jardów. Jednak jej nie było.

Gdzie mogła tak szybko zniknąć? Od bramy do rogu ulicy było co najmniej pięćdziesiąt jardów i na tym odcinku nie było żadnego innego wyjścia. Edman pobiegł do zakrętu - gdyby doszła tak daleko, powinien ją zobaczyć - ale znów nie było tam żadnej kobiety ani też ulic, w które mogłaby skręcić. Podszedł do najbliższej, otwartej bramy i zapytał dwóch reperujących koło Indian, czy nie widzieli przechodzącej Indianki.

Oboje spojrzeli na niego:

- Nie, proszę pana.

- Mam na myśli, że szła tu przed chwilą.

- Jesteśmy tu od ponad godziny - odrzekli - i nikt tu nie wchodził ani nie przechodził obok nas.

Edman pośpieszył z powrotem na róg ulicy, ale w zasięgu wzroku nie było żywej duszy.

Zamyślony powrócił do domu i opowiedział o wszystkim żonie.

Przez następnych kilka dni Edman był dziwnie poruszony i spokojny o powodzenie ich trudnej misji. Wydawało się, że otacza go słodki, trudny do określenia aromat, coś co nie pochodziło z kwiatów ani z ogrodu. Dopiero potem zaczął stopniowo pojmować znaczenie tego wszystkiego.

- Zrozumiałem, że Wszechmocny nie miał pod ręką żadnego ze swych ziemskich sług i aby pokrzepić dwoje młodych misjonarzy, był tak dobry, że przysłał anioła z nieba - rozumował Edman. - Od tamtej chwili, przez wszystkie lata, podczas najcięższych życiowych prób jest przy mnie Boże błogosławieństwo, wypowiedziane przez kogoś, kto wyglądał dokładnie jak Indianka z plemienia Quichua.

## 24. Dłonie wybawcy

Miliony ludzi oglądają jednoczącą ludzką rodzinę Eternal Word Television Network (Sieć Telewizyjną Wieczne Słowo). Niezwykła założycielka EWTN, matka Mary Angelica jest katolicką zakonnica, która z garstką zakonnic, dwustoma dolarami i absolutną nieznajomością telewizji ("w porządku - przyznaje matka Mary Angelica - wiem tylko jak włączyć odbiornik") stała się jedyną kobietą-właścicielką religijnej sieci telewizyjnej

Ludzie odwiedzający EWTN w pobliżu Birmingham, w stanie Alabama, zawsze są pod wrażeniem tego, co udało się osiągnąć Bogu i tej małej zakonnicy. Klasztor, budynki sieci i antena satelitarna, drukarnia i kaplica w jakiś dziwny sposób znalazły się tam, pośrodku Protestant Bibie Belt. Matka Angelica twierdzi, że Bóg powołał ją do służby w mediach w 1981 roku, a ona się temu poddała i wszystko jakoś się ułożyło.

Matka Angelica nie traktuje siebie zbyt serio i chyba właśnie dlatego jej emitowany dwa razy w tygodniu show: "Matka Angelica na żywo", jest ulubionym programem wybieranym przez widzów. W studio obecna jest publiczność, dzwonią rozmówcy z całego kraju oraz przychodzą znani goście, jednak nie wszystko jest tu dopięte na ostatni guzik. Bywa, że coś się wali, a wtedy matka Angelika

lubi się pośmiać i zrobić na stronie żartobliwą uwagę.

Pomimo babcinego wyglądu, w swych poglądach na moralność jest nieugięta i pragmatyczna. Umie też pocieszać ludzi i wyrazić współczucie. Często pomaga w eterze anonimowym rozmówcom, daje rady nieszczęśliwym rozwiedzionym, delikatnie upomina uzależnionych od narkotyków, niesie Boże uzdrowienie "tym, którzy nie znajdują innej drogi".

- Chcę być cierniem w ludzkim oku - przyznaje. - Chcę być dla nich wyzwaniem; drugim Janem Chrzcicielem, który mówi: bądźcie gotowi.

Tylko nieliczni widzowie wiedzą, że matka Angelica, która przyszła na świat jako Rita Rizzo, nie miała łatwego dzieciństwa. Po nieszczęśliwym małżeństwie jej rodzice rozwiedli się, gdy miała sześć lat, co wykluczyło ją ze społeczności kościoła w Canton, w stanie Ohio. Nie robiły na niej korzystnego wrażenie również same zakonnice.

- Pamiętam, jak obserwowałam je modlące się w kościele. Przysięgałam sobie, że nigdy nie będę się do nich zaliczać - opowiada Matka Angelica. - Miały skwaszony wyraz twarzy, a ich nakrycia głowy były zbyt duże - byłam przekonana, że są najniezwyklejszymi osobami na świecie.

Aż pewnego dnia sama doświadczyła chwili łaski, dotyku przeznaczonego właśnie dla niej.

Matka Angelica często opowiada tę historię. Któregoś wieczora szła gdzieś w centrum miasta. Tego dnia czuła się szczególnie smutna i samotna. Szła zamyślona, nie zwracając uwagi na to, co się wokół dzieje.

- Zaczęłam właśnie przechodzić przez zatłoczoną ulicę, gdy usłyszałam za sobą straszny kobiecy krzyk - wspomina.

Rita obejrzała się, spodziewając się, że ujrzy kogoś, kto znalazł się w niebezpieczeństwie. Zamiast tego zobaczyła pędzący wprost na nią samochód, oślepiając ją światłem. Nie było czasu, by gdzieś się schronić. Rita zadrżała, zamknęła oczy i czekała na fatalne uderzenie.

Zamiast tego poczuła dwie silne dłonie unoszące ją do góry. Chwilę potem zamrugała oczami i z niedowierzaniem rozejrzała się dokoła. Stała na chodniku!

Zebrał się tłum. Gapie spodziewali się, że ujrzą makabryczny wypadek i poturbowane ciało dziecka. Widzieli jednak zdrową, choć przestraszoną dziewczynkę. Byli przekonani, że przerzuciła ją siła uderzenia. Zadziwiał tylko zupełny brak ran.

Kierowca autobusu, który z wysoka oglądał to zdarzenie, podawał nieco inny scenariusz. Upierał się, że Rita w jakiś sposób podskoczyła i uniosła się wysoko w powietrze, unikając zderzenia. Coś takiego wydawało się nieprawdopodobne, więc od razu go zakrzyczano.

Rita wróciła do domu i opowiedziała matce o całym zdarzeniu. Potem obie podziękowały Bogu za tę chwilę łaski. Zrozumiały, że mimo codziennych problemów, ktoś czuwa nad nimi i osłania je.

Od tego momentu Rita zaczęła pokładać zaufanie w aniołach. Gdy wstąpiła do zakonu klarysek, przybrała imię właśnie na cześć aniołów. Potem sama założyła klasztor imienia Pani od Aniołów, gdzie nadal mieszka, pisze książki i kieruje siecią telewizyjną. Jej życie jest świadectwem siły, jaką niesie wiara.

Ale matka Angelica nie zapomniała tej chwili, w której poczuła dłonie wybawcy i dowiedziała się, że miłość Boża nigdy nie zawodzi.

## 25. Przyjaciel w potrzebie

Było Święto Pracy i Sandy Smith (dziś Waters) miała już wkrótce ukończyć pierwszy rok college'u. Ubiegłej wiosny zmarła jej matka i dziewczyna wciąż jeszcze nie pogodziła się z tą stratą. Tego dnia wraz z przyjaciółką Bobbie, postanowiły pożegnać lato ostatnim wypadem do parku Hocking Hills State, w południowej części stanu Ohio.

Kiedy dziewczęta wjechały na drogę nr 23, Sandy, która miała kłopoty z sercem, poczuła jakiś ból. - Zjechałam na pobocze - wspomina Sandy. - Był tam żwir i gdy usiłowałam wrócić na drogę, zbyt mocno przekręciłam kierownicę. Auto szarpnęło i przeokoziłkowało kilka razy w dół niedużego pagórka. Sandy była pewna, że to już ich koniec.

-Ujrzałam tę scenę w zwolnionym tempie, podobnie jak inni ludzie, którzy przeszli przez coś takiego - opowiada. - Jednak zanim samochód się zatrzymał, zemdlałam.

W cudowny sposób skończyło się na złamanym nosie, ale krew była wszędzie. Bobbie, która nie straciła przytomności, zdołała otworzyć drzwi i jakoś dojść do autostrady, gdzie zatrzymała ciężarówkę.

Sandy obudziła się w zacisznym pokoju w Delaware Memorial Hospital. Jaki jest jej stan? Co z Bobbie? Popatrzyła na zakrwawione ramiona i ubrania. Samotna i przestraszona zaczęła płakać.

- Pragnęłam tylko jednego - towarzystwa mamy - mówi Sandy. - Zawołałam, by przyszła i pomogła mi. Ale nie żyła i nikt nie przyszedł.

Sandy ponownie zemdląca, a kiedy przebudziła się ponownie, ktoś przy niej siedział, głaszcząc jej dłoń, przynosząc ulgę w cierpieniu.

- Nie jestem pewna, czy była to kobieta, gdyż ból był tak silny, że nie mogłam odwrócić głowy. Ale wiem, że miała długie, niemal białe włosy i jasną skórę - wspomina Sandy. - Miała na sobie białe ubranie, ale nie widziałam, czy nosiła spodnie, czy spódnice.

Pod wpływem kojącego uczucia płynącego z tej przyjaznej dłoni Sandy uspokoiła się. Wydawało się, że od tej postaci rozchodzi się pewien odgłos. Coś podobnego do pomruku wentylatora, tyle że głębszego - jakby tysiące ptaków uderzało skrzydłami. Sandy poczuła, jak ogarnia ją uczucie spokoju i miłości. Z tego odgłosu, który wypełniał samotny pokój, płynęła właśnie miłość.

- Brzmiało to jak piosenka, ale nie w tradycyjnym pojęciu tego słowa. Tak jakby miliony głosów mieszały się w najbardziej niezwykłych tonacjach... Trudno to opisać. Wiem, że było to fizyczne doświadczenie. Nie miałam halucynacji wywołanych ranami. Czułam, że była to istota nadprzyrodzona, która przyszła, by mnie pocieszyć. Ogarnęło mnie poczucie tak niesamowitego spokoju, że nie sposób tego wyrazić.

Sandy zapadła w spokojny sen, a gdy obudziła się po raz trzeci, pielęgniarka obmywała właśnie jej twarz. Sandy domyśliła się, że to właśnie ona była jej "postać w bieli".

- Czy potrzywasz mnie za rękę, gdy już skończysz? - zapytała. - Tak, jak wcześniej?

Zaskoczona siostra spojrzała na dziewczynę.

- Nikt ciebie nie trzymał za rękę - powiedziała.

- Ależ była tu ta ubrana na biało blondynka - odpowiedziała Sandy. - Myślałam, że to pani. Nie siedziała pani przy mnie i nie śpiewała mi?

- Nie miałam na to czasu - tłumaczyła siostra. - Jest Święto Pracy i brakuje nam personelu.

- Ale ktoś... - zaczęła Sandy.

- To musiał być sen - uspokajała. - Przez cały czas, odkąd ciebie przynieśli, znajdowałam się po drugiej stronie drzwi i nikt tu nie wchodził. Wszyscy zajmowali się w sali przyjęć twoją koleżanką i innymi pacjentami. Na dyżurze nie ma zresztą żadnych jasnowłosych pielęgniarek.

Sandy nie zadawała więcej pytań. Zaczęła zdawać sobie sprawę, że jej gość był kimś niezwykłym, którego przysłano, gdy strasznie potrzebowała matki i tylko ta istota mogła przynieść jej pocieszenie.

- Był to kluczowy moment mego życia - mówi dziś Sandy. - Przeżywałam wówczas duchowe rozterki, zastanawiałam się, czy Bóg istnieje, czytałam dużo dzieł filozoficznych. Ta wizyta zmieniła moje poglądy na religię. Uwierzyłam też, że życie, pomimo śmierci matki, może być znów piękne. Spokój, którego wtedy zaznałam, pozostawał we mnie przez długi czas.

Od tamtego dnia Sandy przeżyła wiele radosnych chwil. Rzadko już odczuwa ten nie dający się opisać spokój ducha - a kiedy to następuje, wie, że jest przy niej jej anioł. Podobny szelest usłyszała jeszcze raz, w dniu swego ślubu.

- Tak chyba czuje się człowiek w niebie - mówi Sandy, która mocno wierzy w anioły i wszędzie ich szuka.

- Podejrzewam, że nie raz je spotykam, choć ich nie rozpoznaję - mówi. - Jestem pewna, że jeszcze kiedyś spotkam tę przyjaciółkę.

## 26. Dwukrotnie pobłogosławiony

Można wyciągnąć logiczny wniosek, iż ludzie, których dotknęła niebiańska istota oceniają siebie samych znacznie gorzej, niż czynią to w stosunku do nich goście z nieba.

- Nie jestem szczególnie święty lub święta - mówi większość z nas. - Mnie anioły się nie ukazały. Nie powinniśmy jednak błędnie oceniać tych istot. Mimo wszystko, ich zadaniem jest właśnie służba rodzajowi ludzkiemu.

Bob Lessnau wychował się w rodzinie chrześcijańskiej, ale gdy miał szesnaście lat, odsunął się od Boga.

- Jak każdy młodzieniec wyobrażałem sobie, że wciąż obrażam Boga moimi grzechami - mówi Bob. - Postanowiłem więc, że zrywam z religią.

Bob służył w Wietnamie, wrócił do Michigan, zaczął naprawiać telefony, ożenił się i doczekał trojga dzieci.

- W ciągu tych lat zacząłem się zastanawiać nad tym, co przeszedłem w Wietnamie. Czuję, że ktoś mnie tam osłaniał i postanowiłem przemyśleć moją postawę wobec Boga - opowiada Bob. - Nawet osiósł by się zorientował, że Bóg wcale nie czeka na to, aby zepchnąć mnie do piekła. Robił wszystko, co w Jego mocy, by uchronić mnie przy życiu, abym mógł się opamiętać!

Bob nie zaczął jeszcze żyć zgodnie z tą chlubną intencją, gdy pewnego dnia wszedł do restauracji Big Boy na Biddle Street w Wyandotte, w stanie Michigan. W środku znajdowało się parę osób, ale nie było tłoczno. Usiadł przy barze i zamówił obiad. Nie znał nikogo z klientów i po obu jego stronach, na stołkach, siedzieli sami nieznajomi.

Bob nie zauważył, by ktoś się do niego zbliżył, gdy nagle poklepał go po ramieniu ubrany w garnitur mężczyzna o wyglądzie naukowca. Bob obrócił się.

Mężczyzna spojrzał na niego i powiedział:

- Chcę, abyś poszedł do kościoła.

Nie krzyczał, lecz jego głos z pewnością musieli słyszeć wszyscy w bezpośredniej bliskości. Bob poczuł się oszołomiony i zawstydzony.

- Dlaczego ja? W tym czasie nie chodziłem do kościoła - wciąż paliłem trawkę i nie zachowywałem się jak święci - ale przecież nie było tego w żaden sposób po mnie widać - mówi. - Pomyślałem, że facet najprawdopodobniej nagabuje ludzi do swego kościoła. Nie mieszkałem w Wyandotte i powiedziałem mu to.

- Nie mówię, że masz pójść do konkretnego kościoła - odrzekł. - Powiedziałem, że chcę widzieć ciebie w kościele.

- Dosłownie na ułamek sekundy obróciłem się na stołku, by zastanowić się nad tym dziwnym komentarzem i powtórnie odwróciłem się. Chciałem zapytać go, skąd wie, że nie chodzę do kościoła.

Ale mężczyzny już tam nie było. Bob nie mógł go nigdzie dojrzeć. Minęło zaledwie kilka sekund i w tym czasie nie mógł dotrzeć do drzwi. Nawet gdyby biegł, co z pewnością zwróciłoby uwagę innych gości. Po prostu nie było go.

Poza tym nic się nie zmieniło. Ludzie jedli i rozmawiali. Ci, którzy siedzieli obok Boba, najwyraźniej nic nie zauważyli ani niczego nie usłyszeli. Czyżby Bob był jedyną osobą w restauracji, która dostrzegła tego dziwnego gościa?

Jeszcze tego wieczora Bob przedyskutował tę historię z żoną, Sandy.

- Zdecydowaliśmy, że jeśli Bóg chciał, byśmy poszli do kościoła i poczynił ku temu pewne starania, to musimy temu poświęcić należną uwagę.

Małżonkowie obawiali się, że ich małe dzieci będą dokazywać podczas nabożeństwa, ale i tak przyłączyli się do społeczności kościelnej. Bob postanowił rzucić marihuanę, pracował nad swoim życiem duchowym i zaprzyjaźnił się z innymi parami małżeńskimi.

Co więcej, Bob i Sandy niepotrzebnie martwili się o dzieci.

- Dzieciaki były grzeczne. Każdego tygodnia siedziały cicho i posłusznie - wspomina Bob. - Jak małe aniołki.

Ale Bóg nie skończył z Bobem. Pewnego dnia, kilka lat później, Bob reperował samochód przyjaciela, Dodga Dart, wyprodukowanego w 1971. Auto stało na niedużym wzniesieniu, a Bob leżał pod bakiem, ze stopami w kierunku przodu pojazdu. Przyjaciel udał się do sklepu po części zapasowe.

- Zapomniałem, że usunięcie kołków spod kół miało prawo spowodować osuwanie się samochodu -



tłumaczy Bob. -Auto było na hamulcu, lecz i tak zaczęło się powoli toczyć do tyłu.

Bob spróbował umknąć na bok i już prawie mu się to udało, gdy nagle zahaczył stopą o koło, wykręcając łydkę. Zamarł, gdy zdał sobie sprawę, że pagórek był wystarczająco stromy, by poruszyć auto, ale nie dość stromy, by spowodować pełen obrót koła, pod którym uwięzła jego stopa. Nie mógł się ruszyć.

Ból atakował falami. Bob czuł, jakby jego stopa była miażdżona na małe kawałki. Na jego krzyk przybiegła Sandy i inne sąsiadki.

- Podniesiemy koło Bob i wydostaniesz się! - krzyczała Sandy. Ale ich wysiłki tylko pogorszyły sprawę. Z powodu nachylenia drogi każda próba podniesienia opony sprawiała, że jeszcze mocniej przygniatała nogę ofiary. Gdyby koło mogło wykonać pełen obrót, Bob zostałby uwolniony.

Wkrótce dokoła zebrało się już co najmniej siedmiu sąsiadów. Niektórzy próbowali nadal podnosić koło, ale wszystko na próżno.

- Powinni popchnąć koło od tyłu - wspomina Bob. - Nikt jednak nie myślał jasno.

Wydawało się, że został tam uwięziony już na zawsze. Poprzez mgłę bólu i strachu, mężczyzna zawołał:

- Boże, pomóż mi!

Natychmiast Bob ujrzał wielkiego mężczyznę biegnącego w jego kierunku, który chwycił za błotnik z przodu pojazdu i podniósł go, uwalniając nogę Boba. Bob zawył z ulgi i wytoczył się spod auta. Wszyscy tłoczyli się wokół niego.

- Wszystko w porządku? - zapytał ktoś. - Nie powinienes zrobić zdjęcia rentgenowskiego?

- Nie - odparł Bob, który poruszył palcami i nogą w kostce. Noga nie nosiła żadnych śladów zmiżdżenia.

- Wszystko w porządku - powiedział do sąsiadów, którzy powoli zaczęli się rozchodzić.

Bob rozejrzał się, szukając mężczyzny, który bez wysiłku podniósł samochód.

- Biorąc pod uwagę sprężystość resorów, to nawet uniesienie auta na wysokość dwudziestu cali nie spowodowałoby jego oderwania od ziemi. Należało podnieść samochód znacznie wyżej, by uwolnić stopę. A nikt inny mu nie pomógł.

Lecz nigdzie nie było już tamtego człowieka. Nikt też nie pamiętał, jak biegł, by udzielić pomocy.

- Ten wysoki facet, który biegł przez trawnik... ? - pytał każdego Bob, ale tylko patrzono na niego ze zdziwieniem i kręcono głową.

- Prócz nas nikogo tu nie było - upierali się sąsiedzi. -Z pewnością ktoś zauważyłby tu obcego.

Również Sandy nikogo takiego nie spostrzegła.

Tego popołudnia na ich ulicy nie było żadnych dostawców ani mechaników. Nikt nie widział, aby zatrzymał się jakiś samochód. Co istotniejsze, nikt też nie widział ani nie słyszał odjeżdżającego samochodu. Po prostu nie było żadnego wytłumaczenia, dlaczego auto nagle uwolniło stopę Boba. W każdym razie żadnego logicznego wytłumaczenia.

- Jestem w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przekonany, że był to anioł. Pojawił się bowiem idealnie w chwili, gdy był potrzebny, miał niezwykłą siłę i szybko zniknął - mówi Bob.

Ten muskularny nieznajomy wcale nie był podobny do gościa z restauracji Big Boy. Bob jednak uważa, że obaj byli aniołami.

Ale dlaczego Bob nie ma stuprocentowej pewności?

- Może dlatego, że ten jeden procent pozostaje na wiarę -tłumaczy. - Mam wybór. Te doświadczenia mogę przypisać szczęściu. Albo Bogu.

Bob wybrał Boga.

## 27. Ześlę moje anioły

Istnieje wiele poglądów na temat aniołów stróżów. Niektórzy uczeni utrzymują, że każdy z nas ma ich dwóch. Usłyszawszy następującą historię, która wydarzyła się Hope Price z Portland, w stanie Oregon, można z pewnością uwierzyć, że jeden rzeczywiście jest wieloma.

Jeśli jest prawdą, że każdy z nas ma anioła stróża, to mój widziany był, o ile mi wiadomo,

trzykrotnie - za każdym razem przez inną osobę.

Moja matka, Minnie Metcalf Miller, opowiadała, że gdy miałam trzy tygodnie i byłam bardzo mała, gdyż byłam wcześniakiem, pewnej nocy obudziła ją piękna młoda dziewczyna, która nachylała się nad jej łóżkiem.

Matka w jakiś sposób dowiedziała się od tego pięknego gościa, że jej nowo narodzone, śpiące w drugim pokoju dziecko, potrzebuje jej. Najwyraźniej była świadoma, że czeka ją niełatwe przejście. Odpowiednio się ubrała i poszła do mnie. Byłam sina na twarzy i nie mogłam złapać oddechu. Potem nastąpiła długa walka z zapaleniem płuc, podczas której mama przez kilka nocy nie zdejmowała z siebie ubrania. Mówiła, że piękna dziewczyna była przy niej przez cały czas podczas tych trudnych chwil.

Jedna z przyjaznych sąsiadek również ją widziała i spytała:

- Kim jest ta piękna kobieta, która jest z tobą, odkąd zachorowało dziecko? Czasami widzę, jak wychodzi na werandę.

Gdy nie zagrażało mi już żadne niebezpieczeństwo, dziewczyna zniknęła.

Po latach, w roku 1934, znów wróciła, aby mi pomóc. Teraz ja sama miałam już małe dzieci i byłam tuż po rozwodzie. Dowiedziałam się od lekarza, że muszę przejść poważną operację i pewna bardzo religijna kobieta imieniem Ludę pomagała mi w pracach domowych. Podczas mego pobytu w szpitalu, właśnie ona miała zaopiekować się trojgiem moich dzieci.

W każdym razie Ludę nie była zadowolona z pracy u nas, dotąd bowiem pracowała w bogatych domach wraz z inną służbą. Pewnego popołudnia Ludę weszła do pokoju z odkurzaczem, właśnie w chwili, gdy obcy kot odwiedzający naszego kota, wyskakiwał przez okno, rozbijając szybę. Dla Ludę była to przysłowiowa kropla. Obrażona oznajmiła, że opuszcza nas następnego ranka, gdyż po prostu nie może już tego znieść.

Zastanawiałam się, co mam zrobić! Nie mogłam zostawić w domu trojga samotnych dzieci.

Ostatecznie postanowiłam, że zadzwonię do lekarza i powiem, że nie mogę poddać się operacji.

Jednakże, wczesnym rankiem następnego dnia Ludę weszła do mego pokoju w doskonałym humorze. Miała na sobie biały uniform.

- Śniadanie gotowe! - uśmiechnęła się.

- Ale dlaczego Ludę robisz śniadanie przed odejściem? - spytałam.

- Pani Price - odpowiedziała - zmieniłam zdanie. Nie odchodzę. W nocy miałam odwiedzinę.

Piękna, młoda dziewczyna-anioł, przyfrunęła do mego łóżka przez tę dziurę, którą wybił kot. Cała jaśniała bielą i otaczało ją światło. Rozświetlało ono cały mój pokój. Poprosiła, bym nie odchodziła, gdyż pani mnie potrzebuje.

Poszłam więc do szpitala spokojna, że dzieci są pod opieką Ludę.

Za każdym razem mój anioł był widziany przez dobrego człowieka, z dużym zrozumieniem spraw duchowych. Z pewnością były to szlachetne osoby, które były w stanie ujrzeć anioła.

Wydaje się, że ten cudowny anioł ukazuje się wtedy, gdy najbardziej go potrzebują. Mam nadzieję, że zawsze tak będzie. Może pewnego dnia sama ją zobaczę.

## 28. Nocni posłańcy

Anioły czynią dla nas różne rzeczy, ale jednym z ich głównych zadań jest niesienie pomocy. Oto historia, która przydarzyła się neurologowi z Filadelfii, dr. S. W. Mitchellowi. Po dniu ciężkiej pracy obudziła go mała dziewczynka pukająca do drzwi. Dziecko, biednie ubrane i mocno zdenerwowane, powiedziało mu, że matka jest chora i potrzebuje lekarza.

Dr Mitchell poszedł z dziewczynką w śnieżną noc i zastał jej matkę ciężko chorą na zapalenie płuc. Udzielił kobiecie pomocy medycznej i pochwalił inteligencję oraz determinację jej małej córeczki.

Chora dziwnie na niego popatrzyła i powiedziała:

- Moja córka zmarła miesiąc temu.

Dr Mitchell zdumiony i zmieszany poszedł do przedpokoju. Wisiał tam noszony przez dziewczynkę płaszcz, w którym poprowadziła go pod drzwi mamy. Pomimo padającego śniegu, ubranko było zupełnie suche.

Mamy też sprawozdanie ojca O'Keeffe z Cork, w Irlandii, którego kiedyś wezwał przystojny, młody mężczyzna, prosząc, by udzielił pomocy umierającej kobiecie. Ksiądz poszedł za młodzieńcem do ubogiej dzielnicy Cork, gdzie nie było nic prócz zapadających się stodół.

- Gdzie znajdę tę osobę? - spytał swego przewodnika.

- Jesteśmy ojciec już blisko - odpowiedział młody człowiek i w tej samej chwili zniknął.

Ksiądz stał zdumiony i zagubiony, gdy wtem usłyszał w pobliżu jęki młodej kobiety umierającej na stercie obornika. Opowiedziała mu, że pochodzi z zamożnej rodziny i niegdyś uczęszczała do szkoły klasztornej, w której siostry powiedziały jej, że jeśli będzie w potrzebie, ma wzywać swego anioła stróża.

Kobieta ta zeszła na złą drogę i wiodła grzeszne życie, a teraz przyszło jej umierać w samotności.

Przypomniały jej się dawne nauki i zaczęła błagać swego anioła, aby sprowadził do niej księdza.

Dowiedziałam się, że podobny incydent miał miejsce w Chicago. Pod koniec lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku ojciec Arnold Damien, jezuita, wybudował kościół Świętej Rodziny, który istnieje do dziś i znajduje się na zachód od Uniwersytetu Illinois's Circle Campus, na Roosevelt Road. Ojciec Damien był doskonałym kaznodzieją i bardzo dużo podróżował. Rozwinął też stowarzyszenie ministrantów w parafii Świętej Rodziny. W przyszłości, przez kolejne lata dziewiętnastego wieku, mnóstwo chłopców zostało tu przygotowanych do służenia do Mszy.

Mijały lata. Ojciec Damien postarzał się i był już na częściowej emeryturze. Pewnej mroźnej i wietrznej nocy do drzwi probostwa Świętej Rodziny zadzwoniło dwóch chłopców. Wy tłumaczyli dozorczy, że ich babcia jest poważnie chora i potrzebuje kapłana, by ją przygotował do śmierci.

- Jest dziś zbyt zimno i pada deszcz - odpowiedział młodzieńcom dozorca. - Ksiądz przyjdzie jutro rano.

Lecz Ojciec Damien usłyszał dzwonek do drzwi i zszedł do chłopców.

## 29. Głos z zaświatów

Margaret wychodziła z psem każdego ranka; jej mąż, Paul (imiona nie są prawdziwe), każdego wieczora. Naprzeciwko ich domu znajdował się nieduży park, gdzie Paul zazwyczaj szedł z psem. Był człowiekiem bardzo skrytym, który rzadko ujawniał swe uczucia.

Pewnego kwietniowego wieczora, około dziewiątej, Paul wybrał się z czworonogiem na tradycyjną przechadzkę.

- Po kolacji nigdy nie chodzę do garażu - opowiada Margaret - ale tamtego wieczora akurat po coś tam zeszłam. Drzwi od garażu były otwarte i pomimo, że na dworze było prawie ciemno, doskonale widziałam idącego po chodniku Paula.

Paul musiał poczekać kilka minut, gdyż na drodze był nieustanny ruch. Gdy tam stał, Margaret usłyszała głos

-Paul!

To wszystko.

- Był to głos mężczyzny, najprzyjemniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałam - mówi. - Wzdłuż podjazdu do naszego domu rosną krzewy i pomyślałam, że to schowany za nimi sąsiad zawołał Paula. Ale znam jego głos i ten cudowny głos nie należał do niego. Poza tym wiedziałam, że sąsiada nie ma w domu.

Wydawało się, że Paul niczego nie usłyszał. Być może był to wytwór jej wyobraźni. A może szum wiatru? Ale akurat nie było żadnego wiatru. Może ktoś z przejeżdżającego samochodu? Lecz głos pochodził z kierunku, w którym stała Margaret, jakby ten ktoś znajdował się blisko niej.

Zdezorientowana kobieta zastanawiała się właśnie co ma uczynić, gdy znów, kiedy jej mąż zaczął schodzić z krawężnika, miły głos zawołał jego imię:

-Paul!

Margaret zobaczyła, jak Paul zatrzymuje się. Czyżby tym razem usłyszał wołanie?

Niesamowite, w tej samej chwili po drugiej stronie ulicy zaczęło upadać olbrzymie drzewo.

Osuwało się, jakby w zwolnionym tempie, aż z hukiem uderzyło o ziemię. Najwyższe gałęzie niemal dotykały jezdni. Drzewo leżało dokładnie w tym miejscu, gdzie byłby znajdował się Paul,

gdyby chwilę wcześniej nie powstrzymał go ów głos. Oniemiała Margaret wpatrywała się w drzewo. Paul, w typowy, opanowany sposób przeszedł przez ulicę, obszedł leżące drzewo, przez chwilę popatrzył na nie i poszedł dalej. Do powrotu do domu miał czas na rozmyślanie.

- Ktoś mnie zawołał - powiedział po powrocie. - Dwa razy. Słyszałaś ten głos?

- Tak, zastanawiałam się, czy ty też słyszałaś.

- Ale nikogo nie było. Przynajmniej ja nikogo nie widziałem.

- Ja też nie - powiedziała Margaret - a z garażu miałam dobry widok.

Spojrzeni na siebie.

- A więc - powiedział spokojnie Paul - musiał to być mój anioł stróż.

Margaret wielokrotnie odtwarzała w pamięci ten epizod, a jej mąż opowiedział o nim rodzinie i kilku sąsiadom. Jednak żadne z nich nigdy nie spotkało tego, któremu należało podziękować.

### 30. Mistrzowie budownictwa

W połowie dziewiętnastego wieku, nieduża grupa odważnych, katolickich zakonnic wyruszyła w drogę z Kentucky do spalonego słońcem Santa Fe, w Nowym Meksyku. Podróżowały łodzią i wozem, aby założyć tam szkołę. Wylądowały na odludziu. Otaczali ich tamtejsi Amerykanie i Meksykanie. Zanim siostry z Loretto nauczyły się hiszpańskiego, mieszkały w małym domku z wypalanej na słońcu cegły. Potem meksykańscy cieśle wybudowali im większy klasztor, szkołę i kaplicę.

W końcu rozrastającej się społeczności nie wystarczył już mały kościółek i w 1873 roku zaczęto wznosić większy, kamienny budynek. Kaplica Loretto, ku czci założyciela zakonu, biskupa francuskiego pochodzenia, miała być pierwszą neogotycką budowlą na zachód od Mississipi. Była niesłychanie dużą świątynią jak na południowo-zachodnie standardy - siedem i pół metra szerokości, dwadzieścia dwa i pół metra długości oraz dwadzieścia pięć i pół metra wysokości, z chórem w tylnej części budynku.

Prace przebiegały bez zakłóceń, lecz gdy budynek był już niemal ukończony, siostry zdały sobie sprawę, że popełniono niewybaczalny błąd. W planach pominięto schody lub inne połączenie z chórem, a teraz nie sposób już było tego naprawić. Matka Magdalena, przełożona zakonu, skonsultowała się z różnymi ekspertami, ale werdykt wciąż był ten sam: nie sposób wybudować schodów. Strych był niezwykle wysoki i zwyczajne schody zajęłyby zbyt dużo miejsca. Były tylko dwie alternatywy: wspinać się na strych po drabinie, co tylko kilka sióstr było w stanie uczynić; lub opuścić cały balkon i przebudować go, co z kolei oznaczałoby finansową katastrofę.

W typowy dla osób pokładających ufność w wierze sposób, siostry zdecydowały nie podejmować natychmiastowych działań, lecz po prostu modlić się i czekać. Odmawiały nowennę, dziewięciodniową modlitwę do św. Józefa, patrona cieśli, prosząc go o wykonalne i, jak można przypuszczać, niedrogie wyjście z sytuacji.

Ostatniego dnia nowenny do klasztoru przybył siwowłosy mężczyzna; przyjechał na osiołku i wiozł ze sobą skrzynkę z narzędziami.

- Słyszałem, że macie kłopot z kaplicą- powiedział do matki Magdaleny. - Czy pozwolicie mi wybudować schody?

- Wszelkimi sposobami - odrzekła matka. Zdziwiła się, jak zamierza tego dokonać. Wedle tego co mówiono, człowiek ów miał tylko młotek, piłę i kątownicę. Brak było też jakichkolwiek dowodów na to, że zamawiał drewno, choć niektórzy świadkowie widzieli kadzie z wodą, w których moczył deski.

Sprawozdania różnią się co do czasu wykonywania pracy -niektóre mówią o sześciu, inne o ośmiu tygodniach. W końcu jednak budowniczy zniknął. Matka Magdalena chciała mu zapłacić, lecz nigdzie nie mogła go znaleźć. Nikt z miejscowego składu drewna nie miał pojęcia o projekcie ani o rachunkach za materiały. Po dziś brakuje jakichkolwiek dowodów, iż zapłacono za tę pracę.

Ale cóż to była za robota! Gdy siostry udały się na inspekcję do kaplicy, ujrzały spiralne schodki wiodące na chór, tak zmyślnie wykonane, że zajmowały minimalną przestrzeń. Były połączone jedynie kołkami - bez żadnych gwoździ. Każdy schodek składał się z kilku kawałków, idealnie

wygiętych i dopasowanych. Konstrukcja wykonywała dwa pełne obroty o 360 stopni, pomimo że nie podpierał jej żaden słup ani wsparcia po bokach. Ekspertom nie udało się zidentyfikować rodzaju drewna, z którego zbudowano schody z pewnością nie była to żadna lokalna odmiana drzewa z terenu Nowego Meksyku. Gdzie więc cieśla ją zdobył? Konstrukcja stoi po dziś taka, jaką ją stworzono przed ponad stu laty, nie licząc drobnych modyfikacji i dodanej barierki. Jest cudem w dziedzinie projektów, niewytłumaczalnym dla wielu architektów, inżynierów i ekspertów budownictwa, którzy odwiedzają to miejsce.

Siostry oczywiście milczą na temat pochodzenia budowniczego - możemy tu jedynie snuć domysły. Pozostawił on po sobie wspaniałą robotę i zakon będzie mu za to wdzięczny po wsze czasy.

Podobny przypadek miał miejsce w Covington, w stanie Kentucky. W 1938 roku wielbny Maurice Coers udał się wraz z żoną do Ziemi Świętej. Podczas podróży ogromne wrażenie wywarł na nich grobowiec uznawany za autentyczne miejsce pochowania Jezusa. Pewnego dnia wielbny Coers zdecydował, że wybuduje jego replikę w Ameryce. Byłoby to święte miejsce dla ludzi wszystkich wyznań, których nie stać na podróż do Ziemi Świętej.

W połowie lat pięćdziesiątych wielbny Coers, który pracował w Covington, podzielił się swym marzeniem ze zgrupowaniem kościelnym. Plan spotkał się z entuzjastycznym poparciem i wielbny Coers znalazł idealne miejsce na grobowiec - piękne wzgórze z widokiem na rzekę Ohio. Do przedsięwzięcia przyłączyli się ludzie z całego Covington i plany rozrosły się tak, iż objęły również reprodukcję zakładu stolarskiego z pierwszego wieku, kaplicy oraz księgarni. Coers nazwał to wszystko Ogrodem Nadziei.

Grobowiec i ogród były już gotowe, odprawiano już nawet nabożeństwa na dziedzińcu przez grobowcem, gdy nagle pojawiły się trudności. Zimą 1958 roku wzgórze zaczęło się osuwać, powodując uskoki i opadanie dziedzińca.

- Latem wzięto pożyczkę, czterdzieści tysięcy dolarów, na cementowe umocnienia gruntu i betonowe wlewkę u podstawy wzgórza - wspomina jeden z parafian. Robotnicy przebudowali również dziedzińiec i umocnili go dużą ilością betonu.

Lecz następnej zimy cały teren łącznie z dziedzińcem ponownie zaczął się osuwać. Na miejsce przybyli wybitni inżynierowie, aby dokonać ekspertyzy. Werdykt brzmiał jednoznacznie: w tym miejscu nie sposób wybudować bezpiecznego Ogrodu Nadziei. Jednak nie było już pieniędzy, by wznieść go gdzieś indziej.

- Była to załamująca wiadomość - mówi dziś wdowa po Maurice Coers. - Ogród Nadziei był dla mego męża marzeniem, które staje się rzeczywistością, a potem okazało się, że wszystko to jest niemożliwe.

Pewnego upalnego, sierpniowego dnia 1959 roku, zebrało się w ogrodzie kilku przygnębionych wiernych, którzy omawiali sytuację. Cóż powinni zrobić? Wyciąć więcej drzew? Przebudowywać? Wylać u podstawy wzgórza więcej cementu? Czy też może porzucić całe to przedsięwzięcie? Nikt z nich nie zauważył nieznajomego idącego w ich kierunku. Po prostu nagle pojawił się przed nimi.

- Szukam wielbnego Coersa - powiedział.

Wszyscy spojrzeli na niego. Był ogromnym mężczyzną, około stu pięćdziesięciu kilo i miał na sobie ogrodniczkę. Ktoś pobiegł po kapłana.

- Czy macie tu kłopoty z osuwaniem się gruntu? - zapytał olbrzym.

- Owszem - przyznał Coers. - Ziemia jest już pełna cementu i betonu, ale wydaje się, że nic nie może powstrzymać wzgórza i wszystkiego, co na nim się znajduje, przed osunięciem się w dół.

- Pokażcie mi to - zaproponował przybysz.

Wielbny Coers uczynił to, będąc pod wrażeniem dostojności gościa oraz jego pewności siebie, podczas gdy pozostali nadal rozmawiali i chodzili dokoła. Gdy kapłan wrócił, był bardzo podekscytowany. Mężczyzna w ogrodniczkach, jak się wydawało, był inżynierem doświadczonym w budowaniu kolei, w szczególności zaś na górskich, zachodnich terenach.

- Kazał mi wszystko zapisać i tak uczyniłem - opowiadał wielbny pozostałym, machając kartkami papieru. - Najwyraźniej potrzebujemy robotników, którzy by wybudowali pewien rodzaj ściany, stosowany w kolejnictwie, aby wesprzeć zbocza gór... - Coersa znów wypełniał entuzjazm i radość.

Nikt nie zauważył, że człowiek w ogrodniczkach zniknął.

Najęto robotników i wybudowano ścianę jeszcze przed wyznaczonym terminem.

Nadeszła zima, która zaatakowała tak ostro, jak rzadko kiedy w Kentucky. Mrozy i odwilż były na porządku dziennym i wszyscy w Covington zamarli w oczekiwaniu. Był to najtrudniejszy test dla ich ściany. Lecz pomimo żywiołów nic nawet nie drgnęło.

Dziś wzgórze w Covington jest popularnym miejscem pielgrzymek, a w kaplicy wciąż odbywają się śluby, msze i seminaria. Narzędzia w zakładzie stolarskim liczą wiele stuleci i są darem premiera Izraela, Davida Ben-Gurion. Fragment Ściany Płaczu, flaga Egiptu i kamień z góry na której Jezus głosił swe kazania, mieszają się z witrażami i rzeźbami podarowanymi przez kościoły różnych wyznań; projekt ma naprawdę ekumeniczny charakter.

Tylko nieliczni goście zwracają uwagę na ścianę, choć ten cud przypadkowego inżyniera jest niezwykle konstrukcją i niezwykle projektem. Nikt nie potrafi wytłumaczyć, kto jest jego autorem. Konstruktor nigdy bowiem nie wystawił żadnego rachunku. Nie należał on też do stowarzyszenia inżynierów ani do zarejestrowanych inżynierów w Stanach Zjednoczonych. Nigdy też nie widziano go w tej okolicy, co nietrudno stwierdzić ze względu na jego charakterystyczny wygląd.

Ale ściana stoi i, podobnie jak schody w Santa Fe, stanowi milczące świadectwo spraw, których nie sposób normalnie dostrzec.

### 31. Gość Julii

Eleanor Duffin z Justice, w stanie Illinois, podzieliła się z nami historią usłyszaną od matki, która urodziła się w 1884 roku.

Julia Zulaski była bardzo skrupulatną kobietą, poświęcającą dużo czasu na wtajemniczanie dzieci w sprawy duchowe. Rankiem, zanim ubrała Eleanor i jej troje rodzeństwa, Julia zwykła prosić anioły dzieci, aby czuwały nad ich bezpieczeństwem. Wieczorem Julia kładła dzieci do dużego, podwójnego łóżka, gasiła światło i klękała, aby pomodlić się za nie w półmroku.

- Wszyscy czworo przyszliśmy na świat w niecałe cztery lata i byliśmy tak mali, że mieściliśmy się w rym łóżku - opowiada Eleanor.

Dzieci tuliły się do siebie i czuły się bezpieczne, widząc matkę pogrążoną w modlitwie.

Pewnej nocy, gdy Eleanor i jej rodzeństwo już pozasypiali, Julia pozostała klęcząc w ich pokoju.

Modląc się zauważyła, że ściana w sypialni zaczyna się jarzyć. Czyżby zapalono coś po drugiej stronie? Zanim wstała, by zbadać sprawę, ściana zajaśniała blaskiem i pokryła ją intensywna jasność.

Potem zaskoczona młoda kobieta ujrzała dużego anioła, wlatującego przez zamknięte okno.

Wyglądał na silnego, potężnego, jak na obrazkach, które Julia widziała w książkach. Przez chwilę wydawało się, że unosi się opiekuńczo nad łóżkiem, w którym spała czwórka dzieci. Potem Julia zobaczyła w pełnej przerażenia ciszy, jak anioł przelatuje przez pokój i znika przenikając przez inną ścianę, podczas gdy pokój ponownie pogrążył się w ciemności.

- Matka nie opowiadała mi o tym, zanim nie skończyłam kilkunastu lat - mówi Eleanor - a wspomniała mi o tym tylko jeden raz.

Wyglądało na to, że owe wspomnienie było zbyt cenne, by wyrazić je słowami, szczególnie jeśli inni nie potrafiliby pojąć jego majestatu i znaczenia.

Julia Zulaski wiodła szczęśliwe życie, poświęcając dużo czasu służbie innym ludziom. Być może wiedziała, że nie ma o co się martwić. Jej anioł był przecież gdzieś w pobliżu.

### 32. Szara dama

Pomoc anielska ma czasami przebieg dramatyczny. Ale może też ona nadejść w sposób łagodny i delikatny, tak że uratowana osoba uświadamia sobie nadprzyrodzony aspekt długo po samym zdarzeniu. Wie o tym dobrze Jean Doktor z Oceanside, w Kalifornii.

W 1980 roku mąż Jean, John, zapadł na dziwną chorobę. Był zdrowym sześćdziesięcioletkiem,

który codziennie uprawiał jogging, ale gdy pewnego dnia powrócił z podróży służbowej, miał niewielką gorączkę, która jednak wkrótce wzrosła do 39 stopni. Lekarz podał Johnowi antybiotyki, jednak gorączka nie ustała, a pacjent zaczął się dziwnie zachowywać.

- Cokolwiek powiedziałam do Johna, wydawało się, że w jego odpowiedzi słyhać dwa głosy - wspomina Jean. Jeden przypominał znajome tony męża, wówczas słabe i zanikające. Natomiast wyraźniej było słyhać drugi głos, głęboki i pocieszający, który zdawał się mówić: - Przejdziesz przez to, John.

Jean ponownie zadzwoniła do lekarza, donosząc mu nie tylko o symptomach choroby, ale też o zjawisku dwugłosu.

- Na pewno ma halucynacje z powodu wysokiej gorączki - powiedział lekarz. - Proszę natychmiast przywieźć go do szpitala.

Jean uczyniła tak i choć diagnoza brzmiała: zapalenie płuc, to jednak John wkrótce poczuł się lepiej i wypuszczono go do domu. Ale dziwne objawy powróciły i John znów pospieszył do szpitala, gdzie popadł w stan półświadomości.

- Lekarz poinformował nas, że John słyszy nasze głosy, ale nie jest w stanie na nie odpowiedzieć - natomiast potrafi powtarzać wszystko, co do niego powiemy - mówi Jean. - To był koszmar. Mój zdrowy, dający poczucie bezpieczeństwa mąż słabł na mych oczach.

W ciągu najbliższych dni John tracił i powracał do przytomności. Obejrzało go czterech specjalistów. Badano rdzeń kręgowy i krew, uwzględniono nawet możliwość zatrucia chemicznego, ale wciąż nic nie było wiadomo. Nic do siebie nie pasowało -i nic nie można było zrobić.

Pewnego sobotniego wieczora w pokoju ojca zebrała się trójka dzieci państwa Doktor. Wszyscy byli wstrząśnięci złym stanem zdrowia taty. Wydawało się oczywiste, że wymyka się im, a oni nie potrafią temu zaradzić. Jean cicho płakała wyczerpana i przerażona.

- Boże, proszę... - modliła się, trzymając odrętwiałą dłoń małżonka - pozwól mi go zatrzymać. Potrzebuję go... Kocham...

W niedzielę rano Jean była sama w pokoju, obserwując ściągniętą, bladą twarz Johna. Usłyszała pukanie do drzwi, po czym do środka weszła starsza pani, elegancko ubrana w szary jedwab, z pięknie uczesanymi siwymi włosami. Miała ze sobą mały, złoty pojemnik, w którym znajdowały się Hostie i Jean uznała, iż jest to katolickim "świeckim szafarzem", który roznosi wśród pacjentów Eucharystię.

- Postaw brata Johna - powiedziała do Jean stanowczym, choć przyjaznym tonem.

Brata Johna? Kimże była ta kobieta? Jean była pewna, że świecki szafarz nigdy nie wtrąca się w leczenie chorego.

- To niemożliwe - zaprotestowała. - Mój mąż nie może się ruszać.

- On musi wstać - powtórzyła szara dama delikatnie, choć z wymówką. Jean irytował jej despotyzm. Co będzie, jeśli przyjdzie pielęgniarka i zastanie ją tarłozącą Johna? Jednak Jean poczuła się zmuszona posłuchać tej energicznej, lecz dziwnie uspokajającej nieznanym. Chwyciła Johna i podciągnęła go do pozycji siedzącej. Kobieta spoglądała na nią, spokojna i milcząca. John chwiał się, lecz nie protestował. W jakiś sposób, dzięki pomocy żony, udało mu się stanąć. Szara dama chwyciła dłonie ich obojga i Jean poczuła, jak uderza w nią fala zimnego prądu.

- Naj szczerzej błagamy o uzdrowienie brata Johna - wyszeptała szara dama. - Niech dotknie go miłość Jezusa. Niech natychmiast stanie się zdrowy.

Położyła Hostię na języku Johna, zamknęła z trzaskiem złote pudełeczko, odwróciła się i opuściła pokój. Jean zaprowadziła Johna do łóżka, gdzie natychmiast zapadł w głęboki sen.

Cóż za dziwaczny epizod, zastanawiała się Jean. Miała szczęście, że personel szpitalny nie przyłapał jej, jak wyciągała Johna z łóżka! Jednak to miło ze strony pielęgniarki, że pozwoliła na złamanie zasad odwiedzin. Wdzięczna Jean wychyliła głowę z pokoju.

- Dziękuję, że pozwoliła pani przyjąć Johnowi Komunię - powiedziała do siedzącej za kontuarem pielęgniarki, która spojrzała na nią jakoś dziwnie.

- Siedzę tu co najmniej dwadzieścia pięć minut - odpowiedziała - i nie widziałam, by ktoś wchodził do pokoju.

Zdziwiona Jean podeszła do kobiety stojącej przy drzwiach do drugiego pokoju.

- Czy nie widziała pani kogoś przechodzącego tędy?

- Nie-pokręciła przecząco głową- a jestem tu około pół godziny.

Jean zajrzała do wszystkich pokoi na piętrze, a potem sprawdziła poczekalnię i hali na dole.

Nigdzie nie było śladu szarej damy, która też nie zameldowała się w rejestracji. Istniała grupa katolików roznoszących Komunię, ale nie było wśród nich kobiety w tym wieku i o tym wyglądzie. Zdesperowana Jean poddała się. Było to coś niepojętego, ale lepiej było o tym zapomnieć, tym bardziej, że John na tym nie ucierpiał.

John przespał cały dzień, a kiedy się obudził o czwartej trzydzieści po południu, nagle usiadł na łóżku. Jean zamarła w oczekiwaniu. Czyżby znów miał halucynacje? Lecz nie.

- Czy dzieci czekają na dole? - zapytał.

- Tak. Czy chcesz, bym po nie poszła?

- Nie, ubiorę się i zejdę do nich.

- Absolutnie, nie! - wykrzyknęła Jean. - Jesteś bardzo chory. Taki wysiłek mógłby ci zaszkodzić...

- Szczerze powiedziawszy, czuję się bardzo dobrze - odpowiedział.

Jean bliżej mu się przyjrzała. Woskowa cera Johna zaróżowiła się, wyglądał lepiej niż w ciągu ostatnich tygodni. Nieco spokojniejsza podała mu kaptcie i szlafrok. Wyraz ulgi i radości na twarzach dzieci do końca rozwiał jej podejrzenia. Jej mąż zdrowiał.

Lekarz dokładnie przebadał Johna i następnego dnia przyznał zupełnie skonsternowany:

- Gorączka zniknęła, wzrok przejrzysty, nie ma żadnych śladów choroby, więc pacjent mógłby wracać do domu - powiedział. - Po prostu nie potrafię tego wytłumaczyć.

Jean nie widziała powodów, aby opowiadać mu o szarej damie, nie doktorowi medycyny. John w ciągu dwóch tygodni powrócił do normalnego życia i jest zdrow po dziś dzień.

Przez długi czas Jean odrzucała teorię, że tajemniczy gość był aniołem. Czyż anioły nie pojawiają się w długich tunikach i ze złotymi aureolami? Natomiast szara dama działała skutecznie, z rozsądkiem i opanowaniem, całkowicie kontrolując sytuację.

- Wydawała rozkazy, modliła się i wypełniwszy misję - zniknęła - mówi Jean. - Była najmniej anielskim duchem, jakiego można sobie wyobrazić.

A jednak... któż mógłby wątpić w cudowne uzdrowienie? I czyż w ciągu choroby nie było pocieszających znaków, dowodów, że John nie był sam w tych trudnych chwilach... czyż Jean nie słyszała "drugiego głosu", który ją pocieszał?

- Uważam, że ludzie często doświadczają takiego szczególnego dotknięcia - mówi Jean - ale boimy się, że inni wydrwią nas, gdy im o rym opowiemy. Jednak ja tam byłam i widziałam zmianę, która zaszła w Johnie i teraz uważam życie za dar miłości.

Jean nigdy nie zapomni żarliwej modlitwy, którą szeptała w kryzysowych chwilach choroby:

"Boże, proszę... pozwól mu żyć... Potrzebuję go... ześlij cud".

Bóg wysłuchał ją i przysłał posłańca.

### 33. Ratunek na torach

Pewnego gorącego dnia Carol Toussaint przejeżdżała swym dużym autem kombi przez Arlington Heights, w stanie Illinois. Była piąta po południu i miała właśnie odebrać syna z lekcji gry na gitarze. Pozostałe dwoje dzieci, Dave i Katie, siedziało na tylnym siedzeniu. Minał już czas, kiedy Carol zwykle rozpoczynała przygotowania do obiadu, a więc myślała tylko o tym, by jak najszybciej dotrzeć do domu.

Miała zielone światło. Skręciła w lewo z tłocznej autostrady i wjechała po niedużym wzniesieniu na tory kolejowe, które przebiegają przez miejskie tereny. Ale zanim przejechała zamierzony zakręt, nagle zgasł silnik. Utknęła- blokując kilka pasów, a koła jej auta spoczywały na torach.

Carol spróbowała kilkakrotnie zapalić silnik, ale zapłon nie reagował. Zmieniły się światła, samochody zaczęły trąbić, a niektórzy usiłowali wyminąć ją bokiem. Dave i Katie spoceni, zamknięci we wnętrzu auta wyczuli, że matka jest w kłopotcie i zaczęli marudzić. Było to najgorsze, co może spotkać kierowcę.

Nagle do otwartego okna samochodu podbiegł młody mężczyzna w białej koszuli i krawacie. Dave,



który miał wówczas około pięciu lat, twierdził, że człowiek ten wysiadł z małego, brązowego auta, które stało przed nimi.

- Wie pani, że jesteście w niebezpieczeństwie? - zapytał miękko, zachowując całkowity spokój pośród wyjących pojazdów.

- Z pewnością tak - odpowiedziała Carol. - Mąż zabije mnie, jeśli się spóźnię i nie przygotuję na czas kolacji! Jeśli oczywiście wcześniej nie zrobi tego jeden z tych kierowców...

-Nie to mam na myśli - ciągnął młodzieniec. - Za około pół minuty będzie tędy przejeżdżał pociąg. Muszę przesunąć pani samochód.

Carol zupełnie zapomniała, że o tej porze dnia pędziły tędy kolejki miejskie. Niektóre z nich zatrzymywały się tu, niektóre nie. Teraz dopiero spostrzegła, że nieopodal, na peronie, czeka kilka osób. Nawet jeśli najbliższy pociąg miał się zatrzymać, to i tak w nią uderzy - w tym miejscu bowiem wciąż jeszcze będzie gnał z ogromną prędkością!

Carol nie jest pewna, co uczyniła później - wpadła w taką panikę, że nic nie pamięta. Nigdy jednak nie zapomni reakcji tego spokojnego młodego człowieka. Nonszalancko podszedł do przodu pojazdu i lekko pchnął go jedną ręką. Ogromne auto z łatwością zjechało z torów, a gdy opadły szlabany i zabręczały dzwonki, wciąż jeszcze toczyło się do tyłu, aż wjechało na małe wzniesienie, gdzie powtórnie się zatrzymało.

Niemal natychmiast nadjechał z hukiem pociąg. Oniemiała Carol pojęła, że bez pomocy młodzieńca, jej rodzina już by nie żyła. Ale gdzie on był? Pociąg na chwilę zasłonił jej widok. Jakże mógł zniknąć na tym otwartym terenie?

W międzyczasie do samochodu Carol podeszło kilku przechodniów i kierowców.

- Czy potrzebuje pani pomocy? - pytali. - Może popchnąć samochód do stacji benzynowej?

Jakie to dziwne, pomyślała Carol. Nikt nie biegł ani nie był w żaden sposób podenerwowany.

Wszyscy zachowywali się, jakby jej auto dopiero teraz się zatrzymało. Wydawało się, że nikt nie zauważył, że przed sekundą jej dzieci i ona zostali ocaleni. Czyżby nie widzieli tego wszystkiego i tamtego młodego człowieka?

Ale jej dzieci widziały.

- Mamusiu, kim był ten facet, który nas popchnął? - spytał z tyłu David. - Dokąd on poszedł?

Jeśli przybył on małym, brązowym autem, to najprawdopodobniej również nim odjechał.

-Nie mam pojęcia, Dave - powiedziała skonsternowana Carol. Z pewnością była to zagadka. Minęło kilka dni, zanim zaczęła sobie uświadamiać, co się tak naprawdę wydarzyło.

Jeden z pomagających jej ludzi kierował ruchem, inny udał się po pomoc na stację benzynową.

Mechanicy wraz z pozostałymi pchnęli Carol w dół pagórka, do stacji. Choć mężczyzna w białej koszuli pchnął samochód jedną ręką, to teraz potrzeba było aż ośmiu osób, by ruszyć pojazd.

Tego wieczora mąż Carol nie dostał na czas kolacji. Otrzymał prezent o wiele cenniejszy.

#### 34. Błysk światła

W 1949 roku Norma i Phil Smith (ich imiona i nazwiska zostały zmienione) kupili swój pierwszy dom. Był to dwurodzinny domek z nie ukończonym strychem. Choć państwo Smith mieli kilkoro dzieci, to drugie piętro wynajęli rodzinie Taylorów z dwojgiem potomstwa. Norma szczególnie polubiła ich córkę, Margaret. Rodziny dobrze ze sobą żyły i gdy na świat przyszedł mały Tommy Smith, nastoletnie dzieci Taylorów z radością zostały jego rodzicami chrzestnymi.

Lecz coś zaczęło się dziać z Margaret. Rzuciła szkołę i cały czas siedziała w domu. Kiedy wiosną tego roku dom Smithów odwiedził ksiądz z parafii, by porozmawiać z jednym z dzieci, Norma zagadnęła go o Margaret.

- Martwię się o nią - powiedziała. - Nigdy nie wychodzi z domu i wydaje mi się, że tam u góry coś jest nie tak.

- Czy matka Margaret jest w domu? - zapytał ksiądz.

- Nie, pracuje w domu towarowym - odpowiedziała Norma. Dopiero później dowiedziała się, że pani Taylor już tam nie pracowała. Została zwolniona z powodu "nieodpowiedniego zachowania". Kapłan poszedł na górę, lecz nie zaobserwował tam nic niezwykłego. Norma, zaprzęgnięta

obowiązkami domowymi w tak dużej rodzinie, nie rozmyślała więcej na ten temat.

Kilka miesięcy później, czternastego czerwca, zniknął trzyletni Tommy Smith. Czworo starszych dzieci państwa Smith było w szkole, a Norma, oczekująca ósmego dziecka, z pozostałą najmłodszą dwójką została w domu. Nie mogła nigdzie znaleźć Tommy'ego i powiadomiła policję.

Wkrótce potem zadzwonił do niej krewny Taylorów, każąc Normie udać się na górę do sąsiadów, gdyż widziano Tommy'ego wchodzącego do ich mieszkania. Norma przy pomocy wytrycha weszła do środka i znalazła tam synka. Utopiła go w wannie pani Taylor. Smithowie zbyt późno zorientowali się, że sąsiedzi sami usiłowali zaopiekować się chorą psychicznie matką.

Najprawdopodobniej właśnie z tego powodu Margaret wciąż trzymała się blisko domu.

Jak radzi sobie człowiek, który staje oko w oko z taką tragedią? Jak można przeżyć coś takiego?

Gdy Norma opisuje rozpacz, którą musiała znosić przez następne miesiące, to któż z nas potrafi zrozumieć jej cierpienie? Reporterzy ze szczegółami rozpisywali się o wypadku. Dzieci Smithów, ofiary ciekawości kolegów szkolnych, zostały rozesłane po rodzinie, aby otrząsnęły się z szoku; większość z nich miała koszmary nocne i cierpiała na stany lękowe. Phil Smith nie potrafił normalnie funkcjonować, stracił pracę, uzależnił się od leków psychotropowych przynoszących ulgę w duchowym cierpieniu - aż w końcu popadł w alkoholizm. Trzydziestotrzyletnia Norma mocno cierpiała.

- Nie załamalam się - mówi. - Pomimo wszystko miałam sześcioro dzieci, którymi musiałam się opiekować, męża, który miał kłopoty i dziecko, które miało przyjść na świat. Sąsiedzi byli bardzo uprzejmi wobec mnie.

Była jednak pogrążona w smutku, od którego wydawało się, nie ma ucieczki i choć Taylorowie się wyprowadzili, Norma nie potrafiła się otrząsnąć. Zaczęła wierzyć, że już zawsze będzie tak cierpieć.

Pierwszego listopada, w dzień Wszystkich Świętych, Norma sama udała się na Mszę. Czula się bardzo samotna, na cztery tygodnie przed wyznaczoną datą porodu była wyczerpana psychicznie i fizycznie. Jej myśli same biegly ku Tommy'emu. Jak bardzo za nim tęskniła! Dlaczego tak straszna rzecz wydarzyła się zarówno im jak i rodzinie Taylorów? Tak, dużo się ostatnio modliła i wiedziała, że funkcjonuje właśnie dzięki sile Bożej. Ale jak długo będzie ona ją podtrzymywać? W tej samej chwili, poczuła, że nie może się ruszyć... Och, Tommy -jakże chciałabym wiedzieć, że u ciebie jest wszystko w porządku, pomyślała.

Nagle wewnątrz kościoła rozjaśniło oślepiające światło. Czyżby to była błyskawica? Ale nie - Norma poczuła, jakby jej duszę paliły słowa przesłania: Mamusiu, nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

- Nie były to słyszalne słowa. Nikogo nie widziałam ani nie był to głos dziecka, lecz wiedziałam, że mówi do mnie Tommy - opowiada Norma. - Przypominało to transfuzję krwi, to coś wniknęło we mnie i stało się częścią mnie. W mgnieniu oka ogarnęło mnie ekstatyczne poczucie szczęścia.

Poprzez łązy radości Norma rozejrzała się dookoła. Czy inni też zobaczyli ten olśniewający błysk? Ale ludzi zachowywali się jak zwykle, czytali, modlili się i byli zajęci swoimi sprawami. Nikt nie zauważył nic niezwykłego i wcale to Normy nie zdziwiło. W jakiś sposób wiedziała od samego początku, że słowa pocieszenia, światło i to niewiarygodne uniesienie były skierowane tylko do niej.

Pozornie nic się nie zmieniło. Norma nadal była tą samą kobietą w ciąży. Ale w ciągu następnych tygodni pogrążona była w błogim szczęściu. Jej mąż znalazł pracę i urodziła zdrowe, radosne dziecko, Faith. Gdy kiedykolwiek usiłowala opowiedzieć członkom rodziny o tym przeżyciu, wszyscy sugerowali, że była to halucynacja spowodowana urazem.

Ale życie Normy już nigdy nie było takie samo.

- Spytałam kiedyś eksperta, jak jest różnica pomiędzy halucynacją a wizją. Powiedział, że wizja prowadzi do odkrycia i spełnienia. Tego właśnie doświadczyłam - mówi.

Gdy w przeciągu następnych lat wraz z dziećmi przeżywała trudne chwile, zawsze w myślach wracała do zapewnienia, które dane jej było w dniu Wszystkich Świętych. Wierzyła, że jej synek jest w niebie i być może dzięki mocy anioła przesłał jej posłanie nadziei.

Uzyskała też błogosławieństwo, gdyż jej problemy rozwiązywały się, jeden po drugim. Wszystko rzeczywiście "było w porządku".

### 35. Uskrzydleni bojownicy

Mieszkańcy pewnej małej wioski gorąco modlili się, by mogli uniknąć rozlewu krwi na skutek szalejącej w kraju wojny. Lecz pewnej nocy wojsko otoczyło wioskę. Rankiem następnego dnia, kiedy wyrzeli z domów, zobaczyli gromadzących się żołnierzy. Bardzo ich to przstraszyło.

- Wszyscy zostaniemy zabici - powtarzali w panice.

Ale jeden z nich, młody człowiek, który często kierował modlitwą, wydawał się nieporuszony.

- Nie musimy się bać - mówił do przyjaciół. - Mimo wszystko, nasza armia jest potężniejsza niż ich.

- Ależ my nie mamy żadnej armii! - protestowali ludzie. Młodzieniec pomodlił się:

- Panie, otwórz im oczy!

I nagle wieśniacy ujrzeli drugą armią - zgromadzonych na stokach gór żołnierzy, gotowych do akcji i jaśniejących niebiańskim światłem. Wróg najwyraźniej też ich dojrzał, natychmiast zawrócił i uciekł. Od tej chwili zostawili mieszkańców wioski w spokoju.

Ta ekscytująca historia jest opisana w Biblii, w Drugiej Księdze Królewskiej (6,15-17). Wiele podobnych historii wydarzyło się też w naszych czasach, w szczególności misjonarzom.

O tym zdarzeniu opowiadała Corrie ten Boom. Miało ono miejsce podczas jednego z powstań w Kongo, kiedy rebelianci zaatakowali szkołę misyjną, w której mieszkało dwieście dzieci.

- Zamierzali zabić zarówno dzieci jak i nauczycieli - pisze. - W szkole wiedziano o niebezpieczeństwie i modlono się. Ich jedyną osłoną był płot i kilku żołnierzy, podczas gdy zbliżający się wróg miał ich kilkuset.

Kiedy powstańcy byli już całkiem blisko, wydarzyło się coś niezwykłego. Nagle odwrócili się i uciekli! To samo powtórzyło się drugiego i trzeciego dnia. Jeden z rebeliantów został ranny i zabrano go do szpitala misyjnego. Lekarz opatrujący jego rany, zapytał:

- Dlaczego nie napaśliście na szkołę, tak jak to mieliście w planach?

- Nie mogliśmy - powiedział żołnierz. - Zobaczyliśmy setki żołnierzy ubranych w białe uniformy i przstraszyliśmy się...

- W Afryce - tłumaczy Corrie - żołnierze nigdy nie noszą białych mundurów. A więc musiały to być anioły. Jakież to cud, że Pan potrafi otworzyć oczy wroga tak, że ujrzy on aniołów!

Wielebny John G. Paton był misjonarzem na Nowych Hebrydach w południowo-zachodniej części Pacyfiku. Pewnej nocy nieprzyjaźnie nastawieni tubylcy otoczyli jego siedzibę w celu podpalenia i wymordowania jego rodziny. John Paton i jego żona, sami i bezbronni, całą noc modlili się do Boga o pomoc. Nadszedł dzień i ze zdziwieniem stwierdzili, że wróg odszedł!

Ostatecznie wódz plemienia przyjął chrzest i wielebny Paton zapytał go, dlaczego owej nocy nie podpalili ich domu i nie zabili ich. Wódz odpowiedział, że zobaczyli wówczas wielu ludzi stojących na straży - całe setki w błyszczących strojach z mieczami w dłoniach. Wydawało się, że otaczająmiję i tubylcy bali się atakować. Dopiero wtedy wielebny Paton zdał sobie sprawę, że Bóg zesłał anioły, by ich chroniły.

Inny sługa usiłując dotrzeć do odległej norweskiej wioski, zmuszony był przemierzyć trudny górski szlak. W pewnym śliskim, stromym miejscu zatrzymał się, by się pomodlić i poprosić o pomoc anielską. W końcu bezpiecznie dotarł na miejsce.

Już w pierwszej chatce spotkał małżeństwo, które jak się dowiedział, obserwowało jego niebezpieczną przeprawę.

- Co się stało z twoim towarzyszem? - padło pierwsze pytanie.

- Jakim towarzyszem? - zapytał misjonarz.

- Z tym mężczyzną, który szedł z tobą.

- Nikogo ze mną nie było. Jestem sam.

- Czy to możliwe? - wykrzyknęli zdziwieni. - Obserwowaliśmy, jak schodziłeś. Jesteśmy pewni, że było was dwóch.

Około roku 1950 misjonarze Egbert i Hattie Dyk udali się do indiańskiej wioski Tseltał, położonej niedaleko od Santo Domingo. Niemal wszyscy mieszkańcy zostali chrześcijanami, byli jednak prześladowani przez sąsiadów. Pewnego dnia spakowali się i udali w nowe miejsce, gdzie założyli

chrześcijańską osadę. Państwo Dyk w końcu wyjechali stamtąd, a o tym, co wydarzyło się potem, dowiedzieli się od misjonarza, który zajął ich miejsce.

Niedaleko osady mieszkał pewien człowiek, Domingo Hernandez, który nienawidził swych chrześcijańskich sąsiadów. Jego pragnieniem było spalenie ich wioski oraz wybicie wszystkich mieszkańców. Pewnej nocy namówił przyjaciół, przygotował pochodnie, łodzie i ukradkiem przepłynął rzekę.

Ale zanim zaatakowali, w oknach domów chrześcijańskiej wioski ujrzeli jasne światła. Potem nad całą okolicą zajaśniał dziwny blask. Domingo Hernandez i jego przyjaciele tak się przestraszyli, że natychmiast zawrócili i uciekli, rzucając się do rzeki i przepływając ją w pław, aż przemoknięci dotarli do domów oddalonych blisko o milę.

Następnego ranka kobiety z wioski Hernandeza prały ubrania w rzece i zapytały chrześcijańskie kobiety z drugiej strony:

- Cóż to za dziwne światła paliły się wczoraj w nocy w waszych chatach?

- Jakie światła? - zapytały chrześcijanki. - Nie mieliśmy żadnych zapalonych świateł. Wszyscy spaliśmy.

Na koniec historia opowiedziana przez pielęgniarkę, ewangelicką siostrę, która odbywała służbę w Gdańsku, w 1945 roku, w czasie, gdy oddziały radzieckie zdobyły niemieckie miasto. Gwałcono miejscowe kobiety i przeżywano wówczas noce pełne strachu. Pielęgniarki zgromadziły tyle kobiet i dzieci, ile tylko mogły i znalazły im tymczasowe schronienie w małym domku. Często pracowały nocą i z powodu braku elektryczności używały resztek świec. Ich dom jako jedyny był oświetlony nocą, co tym bardziej narażało je na niebezpieczeństwo ze strony Rosjan. Jednak ludzie nazywali ich domek "oazą spokoju", gdyż wydawało się, że tam nic się nie może stać.

Pewnego razu jakaś kobieta przyprowadziła do nich swe dzieci, błagając pielęgniarki, by je przyjęły. Dzieci dostały świeckie wychowanie i nigdy nie widziały, jak ktoś się modli. Tego wieczora odprawiano Mszę i nowo przybyły chłopiec nie złożył rąk do modlitwy jak pozostali, lecz wpatrywał się w dal z szeroko otwartymi oczami. Śpiewano pieśń, prosząc Boga, by zesłał anioły, aby "wzniosły złotą broń dokoła naszych łóżek".

- Kiedy powiedzieliśmy "Amen", chłopiec podszedł do mnie i wyciągnął mnie na zewnątrz budynku - opowiada pielęgniarka. - Bił się w pierś i powtarzał: "Aż tam. Sięgali aż tam".

Spytała go, co ma na myśli. Chłopiec, wskazując na rynnę budynku, powtarzał w kółko:

- Sięgali aż do rynny!

- O czym ty mówisz? - spytała pielęgniarka. Dziecko opowiedziało jej, że gdy wszyscy śpiewali, on w każdym z rogów budynku ujrzał jaśniejącego światłem człowieka. Byli oni tak wysocy, że górowali nad dachem.

- Teraz zrozumiałam - mówi pielęgniarka - dlaczego nasz dom nazywano "oazą spokoju".

### 36. Towarzysz podczas burzy

Była godzina druga po południu, jednego z kwietniowych dni 1974 roku. Mieszkający w Louisville, stan Kentucky, Lynne i Glynn Coates korzystali z niespodziewanego urlopu z pracy. Ich starsi synowie mieli wkrótce wrócić do domu ze szkoły, a najmłodszy Collyn zwykle był w przedszkolu Southern Baptist Theological Seminary aż do piątej.

Małżonkowie siedzieli na werandzie i rozmawiali. Choć był to spokojny, wiosenny dzień, po niebie pędziły cienkie pasma chmur.

Glynn zmarszczyła brwi:

- Spójrz na niebo. Ostatni raz widziałam coś takiego, gdy miałam dwanaście lat i przyszło tornado. Louisville leży na szlaku tego żywiołu i wiosenne prognozy pogody rutynowo ostrzegają przed nim.

- Myślę, że wszyscy byli już tymi groźbami zmęczeni - przyznaje dziś Lynne. - Z pewnością nie spodziewałam się, że tornado naprawdę może nadejść.

Jednak nadeszło. Niebo pociemniało, zerwał się wiatr, a Lynne przestraszyła się nie na żarty. Starsi synowie wrócili do domu i kiedy zawyły ostrzegające syreny, Lynne zaczęła przygotowywać się aby zejść do piwnicy. Glynn szukał aparatu fotograficznego.

- Wejdę wysoko - powiedział do Lynne wspinając się na drzewo - i zrobię wspaniałe zdjęcia.  
- Czyś ty oszalała? - zawołała Lynne, przekrzykując narastający wiatr. - Właśnie usłyszałam w radio, że Brandenburg zostało zrównane z ziemią. Chodź do piwnicy! To wszystko dzieje się naprawdę! Rodzina zebrała się w piwnicy, nasłuchując dudnienia deszczu i wycia wiatru, który przypominał ryk zbliżającego się pociągu. Myśli wszystkich skupiły się na Collynie. Czy był bezpieczny? Dlaczego nie odebrali go wcześniej? Ale któż by się domyślił, że tym razem będzie to prawdziwe tornado?

Po kilku minutach burza minęła i rodzina wyszła na zewnątrz. Wydawało się, że oprócz drobnych uszkodzeń i zerwanych kabli, obyło się bez większych zniszczeń.

- Jadę po Collyna - oznajmił Glynn i natychmiast wyruszył w drogę. Wszyscy lepiej by się poczuli, gdyby najmłodsze dziecko było już razem z nimi.

Lynne zebrała starszych chłopców i wszyscy podziękowali Bogu za bezpieczne przeprowadzenie ich przez burzę. Znaleźli przenośne radio i włączyli je.

Słuchali raportów o zniszczeniach. Dowiedzieli się, że tornado przeszło dokładnie nad przedszkolem. W jednym z budynków zerwało dach.

- O Boże, Collyn! - zawołała Lynne i pognała do telefonu. Wykręciła numer przedszkola, ale dobiegły ją tylko szумы i brzęczenie typowe dla zerwanej linii. Tornado rzeczywiście przeszło nad tym terenem, powodując duże zniszczenia, pomyślała. Gdyby tylko wiedziała, że z Collynem jest wszystko w porządku! Ale co opóźniało przybycie Glynn'a? Miała złowieszcze przeczucia.

Przedszkole znajdowało się o piętnaście minut drogi. Glynn powinien już być wrócić.

Lynne nie mogła wiedzieć, że droga zabrała jej mężowi znacznie więcej czasu, gdyż znalazł się w centrum zniszczeń. Piętnastominutowa podróż trwała dwie godziny, gdyż zmuszony był omijać powyrywane drzewa, zerwane linie wysokiego napięcia, zburzone domy i, co najgorsze, chaotycznie biegających ludzi. Burza zniszczyła też olbrzymi park w pobliżu przedszkola i Glynn musiał zaparkować z dala od budynku, do którego nie było dojazdu.

W domu Lynne co raz usiłowała zadzwonić się do przedszkola, lecz numer nie odpowiadał.

Ogarniał ją coraz większy niepokój, a starsi synowie zaczęli płakać. Boże, dłużej już tego nie zniosą, modliła się. Tylko ty możesz mi pomóc. Proszę, czuwaj nad Collynnem i pozostałymi dziećmi, uchwycij je od nieszczęścia.

Jeszcze jeden raz spróbowała zadzwonić. Po kilku sygnałach telefon zaczął działać! Odezwał się spokojny, przyjemny, kobiecy głos.

- Proszę się nie martwić - odpowiedziała na pytania oszalałej Lynne - z dziećmi jest wszystko w porządku. Przed burzą zabrano je do innego budynku. Nauczyciele zostaną z nimi tak długo, aż odbiorą je rodzice.

Lynne odłożyła słuchawkę, a synowie zaczęli krzyczeć z radości. Collyn był bezpieczny! Musieli tylko poczekać.

Po przeszło dwóch godzinach przyjechał Glynn z Collynem. Glynn opowiedział o tym, jak znalazł kartkę na drzwiach przedszkola informującą rodziców, że dzieci zostały zabrane do innego budynku. Poszedł tam i znalazł Collyna. Synek nie wiedział nic o tornado, prócz tego, że na dachu jednego z domów zauważył złamanego kurka.

Pierwszego dnia po powrocie do przedszkola, Lynne towarzyszyła Collynowi. Chciała poznać nazwisko kobiety, która przekazała jej przez telefon tę uspokajającą wiadomość.

- Chciałabym jej podziękować - powiedziała nauczycielce, która spojrzała na nią zdziwiona.

- Ależ pani nie mogła z nikim rozmawiać - powiedziała.

- Jednak rozmawiałam - zapewniała ją Lynne. - Może pani zapytać moich starszych synów.

Szalałam z niepokoju i ta kobieta powiadomiła mnie, że Collyn jest bezpieczny.

- Pani Coates, to naprawdę niemożliwe - upierała się nauczycielka. - Zostawiliśmy na drzwiach kartkę, zamknęliśmy drzwi i, jeszcze zanim nadeszło tornado, wyszliśmy z dziećmi. Nikogo tu nie było. Proszę też nie zapominać, że linie telefoniczne były pozrywane. Nikt tu nie był w stanie się zadzwonić - i nikogo też tu nie było.

Anioły nazwano kiedyś "towarzyszami podczas burzy". Rodzina Coates w szczególny sposób poznała znaczenie tej cudownej obietnicy.

### 37. Anioły i Padre

Padre Pio urodził się w rodzinie prostych rolników, w gospodarstwie w Pietrelcina, we Włoszech. Był mnichem, który został naznaczony stygmatami na dłoniach, stopach i na boku, podobnie jak założyciel jego zakonu, św. Franciszek. Choć sam był słabego zdrowia, poświęcił swe życie na budowanie domów dla chorych, kalekich i starych ludzi.

Padre Pio miał szczególnie ciekawe kontakty z aniołami. Mówi się, że swego anioła stróża spotkał jeszcze jako dziecko i od czasu do czasu korzystał z jego rad; później komunikowali się z sobą zarówno w pełnych modlitwy jak i żartobliwych dialogach. Zdarzało się, jak twierdzą świadkowie, że Padre Pio potrafił czytać i mówić językami, których nie znał. Pytany o to, odpowiadał, że to anioł stróż jest jego tłumaczem. Zdarzało się, że inni mnisi słyszeli głosy śpiewające w niebiańskiej harmonii, lecz nie potrafili zidentyfikować źródła muzyki. Padre tłumaczył im, że są to głosy aniołów, które eskortują dusze do nieba.

Czasami Padre Pio posyłał swego anioła do kogoś, kto potrzebował pomocy. Na przykład ojciec Alessio Parente miał za zadanie codziennie odprowadzać słabowitego Padre z kaplicy do klasztornej celi. Lecz ojcu Parente nierzadko zdarzało się zapaść. Często nie słyszał budzika lub w półśnie wyłączał go.

- Za każdym razem, gdy zasnęłam - mówi - słyszałam we śnie głos, który mówił: "Alessio, Alessio, wstawaj!" oraz pukanie do drzwi. Uświadamiałem sobie, że jestem spóźniony, wyskakiwałem z łóżka i wybiegałem na korytarz, by zobaczyć, kto mnie woła, lecz tam nikogo nie było. Gnałem potem do kościoła, gdzie niezmiennie znajdowałem Padre Pio udzielającego pod koniec Mszy świętej ostatniego błogosławieństwa. Pewnego dnia siedziałem przy Padre czując się zawstydzonym moim brakiem punktualności. Usiłowałem mu wytłumaczyć, że nigdy nie słyszę budzika, ale on mi przerwał: "Rozumiem - powiedział. - Ale czy uważasz, że każdego dnia będę wysyłał mego anioła stróża, aby ciebie budził? Lepiej idź i kup sobie lepszy budzik". Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, kto puka do mych drzwi i wzywa mnie we śnie.

Padre Pio wierzył, że ludzie mogą wysyłać swe anioły, by pomagały innym lub się za nich wstawiały. Zachęcał licznych przyjaciół, by posyłali do niego anioły, jeśli nie będą w stanie przyjść sami.

- Twój anioł może przynieść wiadomość od ciebie - zwykł mówić - a ja pomogę ci, jak tylko będę potrafił.

Pewnego razu angielski przyjaciel Padre, Cecil, został ranny w wypadku samochodowym. Jego znajomy udał się na pocztę, by wysłać telegram do Padre Pio, prosząc o modlitwę za niego. Kiedy ów człowiek nadawał depeszę, urzędnik podał mu telegram od Padre, który zapewniał go, że modli się za Cecila.

Później Cecil powrócił do zdrowia, a jego przyjaciel udał się z wizytą do Padre Pio.

- Skąd wiedziałeś, Ojcze, o tym wypadku? - zapytał. - Otrzymaaliśmy telegram, zanim sami zdążyliśmy wysłać nasz.

- Czy sądzisz, że anioły latają wolniej od samolotów? - odpowiedział, uśmiechając się, mnich.

Innym razem młoda Włoszka, usłyszawszy o świętym mnichu, posłała do niego anioła, prosząc o zdrowie dla wuja Freda. Potem dziewczyna zdecydowała się odwiedzić po raz pierwszy Padre Pio. Gdy podeszła do niego, zażartował:

- Twój anioł nie pozwolił mi spać przez całą noc, prosząc o uleczenie wuja Freda!

Matka beznadziejnie chorego noworodka również posłała anioła dziecka, prosząc Padre Pio o modlitwę. Gdy tylko to uczyniła, ujrzała, jak maleństwo drży, jakby ktoś je dotknął. Choć lekarze nie dawali temu wiary, dziecko szybko odzyskało zdrowie i wróciło do domu z oddziału intensywnej terapii.

- Gdy opowiadam ludziom te historie, komentarze zawsze są takie same: "O tak, Padre Pio był świętym człowiekiem!" lub "Jestem nędznym grzesznikiem, dlaczego anioły miałyby mi pomagać?" - mówi ojciec Parente. Tak, Padre Pio był niezwykle świętym człowiekiem, ale uważam, że anioły równie dobrze mogą służyć każdemu spośród nas - jeśli tylko wierzymy.

Gdy Padre Pio zmarł 22 września, kilku amerykańskich turystów widziało we Włoszech anioły na tle nocnego nieba... anioły, które cicho zniknęły wraz ze wschodem słońca.

### 38. Niebiańskie wskazówki

Wydaje się, że anioły pomagają też wskazując prawidłowy kierunek. Weźmy na przykład dziesiętnastoletnią Charlotte, studiującą przed kilkanaście laty na Pacific Union College w Angwin. Charlotte pracowała w niepełnym wymiarze godzin w jednym z miast nieco oddalonym od uczelni. Do pracy dojeżdżała autobusem, wdzięczna, że te dodatkowe oszczędności pomogą jej pokryć koszty nauki oraz inne wydatki.

Pewnego wieczora, gdy zmęczona i nieco roztrzęsiona wracała do Angwin, wsiadła do złego autobusu. Zbyt późno zorientowała się, iż popełniła błąd. W efekcie znalazła się na dużym dworcu San Francisco.

Charlotte przestraszyła się. Nie była tam, gdzie powinna być, a co gorsze, otaczali ją sami obcy ludzie. Marynarze, właśnie wracający z rejsu, zaczęli znacząco na nią spoglądać. Jakiś pijak usiłował nawiązać rozmowę. Pospiesznie odeszła.

Ale dokąd miała pójść? Jak miała znaleźć autobus do Angwin, ukrytego, małego miasteczka, w tym ogromnym budynku, pełnym krzyżujących się tuneli? Charlotte, nie przyzwyczajona do miejskiego życia, rozejrzała się za kimś, kto mógłby jej pomóc, ale na stanowisku, na którym wysiadła, nie było żadnej kobiety. W polu widzenia nie było też żadnego policjanta. Biuro informacji na noc zamykano. Dokoła byli tylko obcy ludzie i snujący się miejscowi bezdomni.

I wtedy przypomniała to sobie. Dziekan w college'u sprawdzał kiedyś, czy wszyscy studenci znają na pamięć Psalm 34: "Anioł Pana zakłada obóz warowny wokół bojących się Jego i niesie im ocalenie".

- Nigdy nie wiadomo - mówił dziekan - kiedy będziesz tego potrzebować.

Charlotte szybko odszukała żeńską toaletę, zamknęła za sobą drzwi i upadła na kolana. Drogi Boże - modliła się - zgubiłam się i boję się. Proszę, pomóż mi odnaleźć drogę do domu. Wedle twego świętego słowa, przynieś mi ocalenie. Amen.

Charlotte otworzyła drzwi i wyszła na główny hali dworca. Właśnie minął ją młody mężczyzna. Od razu zauważyła, że niesie coś, co wygląda jak Biblia. Biblia! - pomyślała Charlotte. Może jest jednym ze studentów Pacific Union powracających do szkoły! W każdym razie, zdecydowała, że pójdzie za nim. Z pewnością można było zaufać człowiekowi z Biblią.

Prowadził ją przez kilka długich korytarzy, przeszedł tunelem do innej części terminalu i wszedł po schodach na odległe stanowisko. Charlotte pomyślała, że sama nigdy by tu nie trafiła. Nagle zauważyła, że na autobusie widnieje duży napis ANGWIN! Pojazd był już gotowy do odjazdu. Ostatni autobus z San Francisco tej nocy. Jakież miała szczęście!

Charlotte wsiadła do środka, wciąż trzymając się blisko młodego człowieka, za którym podążała. Tylko jedno miejsce było wolne, lecz on przepuszczał ją, odwracając się plecami, jakby chciał porozmawiać z kierowcą. Charlotte usiadła nie spuszczając z niego oczu. Ogarnęło ją uczucie ulgi i wdzięczności, ale zdziwiona zauważyła, że kierowca najwyraźniej wcale nie widzi tego młodego człowieka!

W pewnym momencie młodzieniec odwrócił się i wysiadł z autobusu. Nikt w ogóle nie zwrócił na niego uwagi. Tylko Charlotte wyjrzała przez okno i odprowadziła go kawałek wzrokiem. Choć miała dobrą widoczność, człowiek ten po prostu zniknął. Zgasł jak światło - pomyślała Charlotte. Kiedy kierowca zamknął drzwi i pojazd ruszył, Charlotte skierowała do nieba gorącą dziękczynną modlitwę. Wiedziała już, że Słowo Boga nie zawodzi. Anioł Pana przyniósł jej ocalenie.

W doświadczeniu Suzanne zasadniczą rolę również odgrywa podróż autobusem, a także pewna studentka. Pogoda tego dnia była typowa dla stanu Minnesota, było mroźno i padał śnieg. Siedmioletnia córka Suzanne, Jennifer (nie są to ich prawdziwe imiona), musiała spotkać się z lekarzem z centrum Minneapolis. Suzanne nigdy nie lubiła jeździć samochodem, gdy było ślisko, a jako że ostatnio spadło sporo śniegu, zdecydowała się tym razem pojechać autobusami.

- Trochę się bałam, więc pomodliłam się, bym trafiła na miejsce - opowiada. - Córka też była

zdenerwowana i nie chciała pójść do innego lekarza. Było zimno - i chciałam już mieć ten dzień za sobą.

Gdy Suzanne i Jennifer dostały się na przystanek autobusowy, stała tam już jedna pasażerka, wesół dziewczyna w wieku około osiemnastu lat. Suzanne uśmiechnęła się do niej i zapytała:

- Czy przypadkowo nie jedziesz do centrum?

- Tak, jadę na ćwiczenia na Uniwersytet Minnesota - odpowiedziała. Suzanne sądziła, że uniwersytet znajduje się w zupełnie innej części miasta, lecz jej wycucie kierunku pozostawiało sporo do życzenia.

- Pochodzę z małego miasteczka na południe stąd - tłumaczyła dziewczyna. - Do przystanku podwiozła mnie dziś przyjaciółka.

Suzanne ujęło przyjazne nastawienie dziewczyny. Zauważyła, że jej ubranie jest bardzo ubogie.

- Miała ciężki, starodawny płaszcz i pamiętam, jak pomyślałam, że życzę jej, by pewnego dnia dostała dobrą pracę i mogła sobie kupić jakieś porządne rzeczy - wspomina Suzanne. -

Powiedziałam jej o naszej podróży i moich obawach, jak dostaniemy się na miejsce.

Bez wahania dziewczyna wytłumaczyła im rozkład jazdy -kiedy mają się przesiąść i że jeden przystanek wcześniej trzeba nacisnąć guzik.

- Właściwie jadę niedaleko stamtąd. Dlaczego nie miałabym trochę zboczyć i pomóc wam odnaleźć właściwy budynek? - dodała.

- Nie mogę się na to zgodzić - zaprotestowała Suzanne - nie jest ci to przecież po drodze.

Wydawało jej się, że uniwersytet wcale nie leży w tym kierunku.

- Nie ma problemu - zapewniała ją dziewczyna.

Przyjechał autobus, po czym wszystkie trzy wsiadły i przyjemnie rozmawiały sobie w drodze do centrum. Suzanne poczuła się o wiele spokojniej i nie miała już takich wyrzutów, że przystała na tę pomoc. Z pewnością sama postąpiłaby tak samo w stosunku do nieznanego w potrzebie, a więc nie wydawało się to znów takie niezwykle. Miała jednak dużo szczęścia, że spotkała tak czarującą osobę.

Wsiadły na odpowiednim przystanku i poszły w kierunku Nicollet Mall. Suzanne знаła adres budynku, do którego się udawała, ale trudno było zidentyfikować numery domów. Nieświadomie minęły cel ich podróży i już przechodziły na drugą stronę, gdy Suzanne zdała sobie sprawę, że mieszczące się tam budynki są za małe by znajdowała się w nich przychodnia. Suzanne obejrzała się do tyłu.

- Spójrz - powiedziała. - Właśnie minęliśmy dom. To tam -widzisz numer na bocznej ścianie?

Dziewczyna roześmiała się.

- Oczywiście!

Suzanne i Jennifer odwróciły się i poszły w stronę przychodni, podczas gdy ich towarzyska poszła dalej w tym samym kierunku. Minęła sekunda lub dwie, gdy Suzanne zdała sobie sprawę, że dziewczyna je opuściła. Odwróciła się, by jej podziękować.

Ruch był nieduży, a na ulicy z powodu zimna było niewielu przechodniów, lecz ich wesół przyjaciółka zniknęła.

- Po raz ostatni widziałam ją - wspomina Suzanne - gdy podniosła rękę w pożegnalnym geście, jakby wiedziała już, że dotarliśmy z Jennifer na miejsce.

Później Suzanne dowiedziała się, że Uniwersytet stanu Minnesota nie znajduje się w centrum Minneapolis. Studenci nie udają się tam tą drogą, którą jechała Suzanne.

Ich "studentka" najwyraźniej zmierzała zupełnie gdzie indziej.

### 39. Niczym dotknięcie Boga

"Anioły z pewnością pojawiały się w moim życiu w widzialnej postaci - odkąd tylko sięgam pamięcią - napisała do mnie Frań Hamilton. - Nauczyłam się rozpoznawać dzięki szczególnemu uczuciu. Nie jest to euforia, uniesienie czy bicie serca. Jest to poczucie bezpieczeństwa i spokoju. Jest to pogodzenie się ze światem. Jest to niczym dotknięcie Boga".

Frań przeżyła kilka przygód z udziałem aniołów. Pewnego razu uczestniczyła w porannej Mszy



świętej wraz z klasą synka. Oznajmiono, że jedno z dzieci przystąpi do Komunii po raz pierwszy. Msza rozpoczęła się i wszystko przebiegało normalnie. Potem, mniej więcej w połowie nabożeństwa, Frań ujrzała światła napływające do sanktuarium ze wszystkich stron.

- Wyglądały jak małe, niesamowicie jasne kuleczki - mówi Frań. - Było ich bardzo dużo i tworzyły blask tak intensywny, że musiałam zamknąć oczy. Najwyraźniej nikt inny w kościele ich nie zauważył, ale wierzyłam, że są to święte istoty, które przybyły, by uczestniczyć w Pierwszej Komunii tego dziecka.

Jasność nie ustawała, gdy Frań wraz z innymi członkami zgromadzenia podeszła do ołtarza. Światła tańczyły, iskrzyły się i stopniowo łączyły, tworząc tak oślepiający blask, że Frań powtórnie była zmuszona zamknąć oczy. Przyjąwszy Komunię, znalazła się z powrotem w ławce - nie pamięta, jak tam się dostała. Gdy po odmówieniu modlitwy, otworzyła oczy, światło już zniknęło.

Frań nie zna dalszych losów tego dziecka, które dziś jest już dorosłą osobą, ale jest pewna, że musiał to być ktoś szczególny i że kiedyś dowie się, dlaczego tak wiele aniołów uczestniczyło w jego Pierwszej Komunii.

Pewnej nocy Frań jechała samochodem na południe wraz z mężem, Bobem. Wracali do domu w Columbus, w stanie Ohio, gdy nagle zorientowali się, że złapali gumę. Ich zapasowe koło też już było przebite.

- Mąż zdecydował, że jakoś spróbujemy dojechać do autostrady, a tam znajdziemy całonocną stację benzynową - tłumaczy Frań. - Powoli toczyliśmy się, a ja zaczęłam się modlić do mego anioła stróża. Im dalej jechaliśmy, tym bardziej oczywiste stawało się, że w pobliżu nigdzie nie ma żadnej stacji. Modliłam się coraz goręcej, aż dotarliśmy na parking małego sklepu spożywczego i tam pod latarniami zatrzymaliśmy się. Uspokoiliłam się i poczułam, że nie muszę już kontynuować modlitwy. W ciągu kilku chwil podjechał do nas mały, zagraniczny samochód i wysiadła z niego atrakcyjna kobieta.

- Miała ponad dwadzieścia lat, była wysoka, szczupła i miała długie, brązowe włosy - opowiada Frań. - Wydawała się niezwykle opanowana i spokojna.

- Jakież problemy? - zapytała przez okno. - Czy mogę pomóc?

- Złapaliśmy gumę - odpowiedział Bob.

- Mogę was podwieźć do Grove City, to około pięć kilometrów stąd - zaproponowała. - Jest tam całonocna stacja benzynowa.

- Wspaniale! - odpowiedział Bob.

Frań postanowiła, że poczeka w aucie. Nie denerwowała się, że zostanie sama. Stopniowo zaczęła zastanawiać się nad tym wszystkim. Dlaczego młoda kobieta miałaby się zatrzymywać w tak odludnym miejscu, aby pomóc dwóm obcym osobom? I ta niezwykła aura bezpieczeństwa i spokoju, która ją otaczała... Frań też ogarnął typowy spokój, który odczuwała, gdy błogosławiły ją znajdujące się w pobliżu anioły.

Wkrótce przyjechał Bob z zapasem. Zaczął wymieniać koło, a kobieta pożegnała się i odjechała.

- Czy powiedziała, jak się nazywa? - spytała męża Frań w drodze do domu.

- Powiedziała, że jest żoną szefa restauracji Rax w Grove City - odpowiedział Bob. - Jutro z samego rana pojedę do restauracji i podziękuję jej.

- Nie znajdziesz jej tam - powiedziała Frań. - Nie jest żoną żadnego szefa - ani nikogo innego. Jest aniołem.

- Chryste Panie! - zaśmiał się Bob.

Następnego dnia pojechał do restauracji. Wkrótce zdziwiony wrócił.

- Właściciel nie jest żonaty - powiedział. - Kiedy mu ją opisałem i opowiedziałem, jak nam pomogła, popatrzył na mnie, jakbym postradał zmysły.

Bob i Frań nigdy już nie mieli okazji, aby podziękować ich wybawczyni. Frań jednak wierzy, że ta młoda dama wie, jak bardzo sajej wdzięczni.

#### 40. Chłopiec, który utonął

Był kwiecień 1981 roku. Rodzina Hardy z Palestine, w stanie Teksas, odwiedzała kuzynów w

Houston. Na tyłach domu, w którym mieszkali, znajdował się basen i każdy ostrzegał trzyletniego synka państwa Hardy, Jasona, iż wolno mu bawić się tylko z przodu budynku, z dala od basenu. Jednak pewnego dnia Sue Hardy zauważyła, że jej synka nie ma tam, gdzie powinien być. Natychmiast pobiegła do basenu, lecz jego powierzchnia była gładka.

- Pomyślałam, że Jason nie mógł wpaść do środka, gdyż wówczas unosiłby się na powierzchni wody - opowiada Sue. - Nie wiedziałam jeszcze wówczas, że topielcy opadają na dno.

Sue pobiegła z powrotem na frontowe podwórko, a stamtąd na ulicę. Jej niepokój wzrastał z każdą chwilą.

W końcu, kierowana instynktem, wróciła wraz z siostrzenicą do basenu - i tym razem Sue dojrzała coś na dnie. Siostrzenica wskoczyła do wody i wyciągnęła Jasona na powierzchnię.

- Gdy podała mi nieżywe dziecko, mój świat nagle się zawalił. - Nie było czuć pulsu ani bicia serca chłopca, stał się już siny.

Sue trzymając kurczowo wiotkie ciało, krzyczała z bólu. Potem zaczęła się modlić.

Rodzina wezwwała medyków leczących alternatywnymi sposobami, a Sue udała się na górę do swego pokoju.

- Zadzwoiłam do kapłana kościoła w Palestine - mówi - i powiedziałam mu, że natychmiast potrzebuję cudu. Serce Jasona nie biło już od około godziny, ale wiedziałam, że Bóg może uczynić cokolwiek uzna za stosowne.

Po telefonie Sue położyła się na podłodze sypialni i modliła się.

- Jezu, Jezu - to wszystko, co miała siłę wypowiedzieć. Kilka minut później przyszła jedna z córek Sue i powiedziała, że medycy sprawili, iż serce Jasona znów bije.

- Natychmiast poczułam spokój - wspomina Sue - urodziłam Jasona w wieku czterdziestu jeden lat, gdy troje mych dzieci było już prawie dorosłych. Jakoś wiedziałam, że Bóg nie po to dał mi to późne błogosławieństwo, aby teraz mi go zabrać.

Herman Hospital przysłał helikopter, aby zabrać Jasona na oddział intensywnej terapii. Gdy Sue dotarła tam, lekarze nie dawali jej dużej nadziei.

- Powiedzieli, że w mózgu pozbawionym tlenu przez sześć minut zachodzą nieodwracalne zmiany - tłumaczy.

Jason, gdy dotarł do szpitala, znajdował się w stanie śmierci klinicznej i lekarze orzekli, że jeśli przeżyje, to będzie sparaliżowany, a jego mózg będzie poważnie uszkodzony.

- Nie. Zobaczycie - powiedziała im Sue. - Jason o własnych siłach wyjdzie z tego szpitala.

Lekarze spojrzeli na siebie. Z pewnością matka tego małego chłopca jeszcze nie pojęła, co się właściwie stało. Zdecydowali, że nie będą jej więcej mówić o strasznych konsekwencjach wypadku.

Jason, w stanie śpiączki, został podłączony do maszyn podtrzymujących życie. Piątej nocy wywiązało się zapalenie płuc i personel szpitalny przeczuwał, że to już jest koniec. Sue pamiętna spokoju, który odczuła w sypialni, zadzwoniła do kapłanów kościoła w Houston i poprosiła, by odwiedzili jej syna. Uczynili to i udzielili mu Sakramentu Chorych, podczas gdy Sue czekała z rodziną na korytarzu.

- Pani Hardy? - jeden ze kapłanów podszedł do drzwi. - Pani synek porusza oczami.

Trzylatek właśnie zmoczył się do łóżka. Jego mózg najwyraźniej budził się!

Jason nie tylko wyszedł ze szpitala w dwadzieścia dni później, ale wkrótce też zaczął mówić.

Siedem miesięcy po tym strasznym wypadku, lekarze orzekli, że jest zdrowy. Dziś jest aktywnym, przystojnym chłopcem, całkowicie normalnym pod każdym względem. Sue codziennie dziękuje Bogu za ten zapierający dech w piersiach cud! A być może również za pewną dodatkową opiekę...

Jason w wieku trzech lat był za mały, by opowiedzieć, jak podszedł do basenu i jak to się stało, że wpadł do środka. Z biegiem lat Sue zorientowała się, że dziecko nie pamięta nic więcej ponad to, co opowiedziano mu o całym wydarzeniu oraz o hospitalizacji. Jednakże, pewnego wieczora, kiedy miał sześć lub siedem lat, gdy oglądał telewizję, na ekranie pojawił się basen.

- Tam pod wodą było ciemno - powiedział nagle Jason. Sue zamarła. Czyżby coś z tego pamiętał?

- Opowiedz mi o tym - powiedziała.

- Było ciemno - powtórzył chłopiec - ale był przy mnie anioł.

- Anioł?

- Uhm. Był tam i dlatego się nie bałem.

I to już wszystko, co Jason powiedział o tym cudownym ocaleniu. Ale dla jego rodziny jest to wystarczająco wiele.

#### 41. Opiekun pośród drzew

Święty Jan Bosco, jak mówi tradycja, często spotykał się z wrogością ze strony różnych zbirów, którym nie było na rękę, że święty służył ubogim. W końcu w niebezpiecznych okolicach zaczął mu towarzyszyć groźnie wyglądający pies. Gdy Jan spokojnie docierał na miejsce, pies znikał. Być może anioł stróż nie zawsze przyjmuje ludzką postać...

Barbara Johnson ukończyła kurs pielęgniarstwa w Royal Adelaide Hospital w Australii. Przez sześć miesięcy pracowała w Melbourne, a potem pojechała do Sydney, gdzie uczęszczała na kurs położnych w St. Margarefs Hospital.

Na przedmieściach Sydney mieszkał brat Barbary wraz z żoną i gdy młoda pielęgniarka dostała pierwszy wolny dzień, natychmiast udała się pociągiem, by złożyć im wizytę. Spędzili razem uroczy dzień i około dziewiątej wieczorem Barbara postanowiła wrócić.

- Czułam się dumna - przyznaje. - Później dobrze poznałam komunikację miejską, ale wówczas była to moja pierwsza podróż za miasto. Nie miałam jednak kłopotów z drogą powrotną i wysiadłam na właściwym przystanku.

Pełna wiary we własne siły poszła wzdłuż oświetlonej ulicy i zdecydowała, że pójdzie na skrót przez park. Nie bała się stawiając pierwsze kroki.

- Chodziłam nocą po mieście i wiedziałam, że jeśli trzyma się zwawe tempo, bez pośpiechu, patrzący na ciebie ludzie pomyślą, że się nie boisz.

Barbara zdecydowanie weszła na ścieżkę i już po chwili zauważyła, że w parku jest niezwykle ciemno, a Oxford Street - wraz ze szpitalem - znajdują się o wiele dalej, niż sądziła.

Nikogo nie było w parku, a przynajmniej nikogo nie było widać. Jednak miała uczucie, że ktoś ją obserwuje. Od czasu do czasu w cieniu widziała ogniki, jakby palących się papierosów. Jej serce zaczęło mocno walić. Czy nie groziło jej jakieś niebezpieczeństwo? Gdyby ktoś ją chwycił i wciągnął w krzaki, niewiele mogłaby uczynić w samoobronie. Gdyby jednak zaczęła biec, mogłaby się zgubić w ciemności, upaść i zranic.

Postanowiła, że pójdzie dalej. Przyspieszyła kroku, wpatrując się w odległe światła ulicy, która oznaczała bezpieczeństwo...

Była mniej więcej w połowie drogi, gdy usłyszała, że po prawej stronie coś się porusza. O, nie! Jakby nie było tego dość, ujrzała ogromnego, białego owczarka alzackiego.

- Sama rasa wzbudza strach, gdyż właśnie tych psów używa policja - mówi Barbara. - Znane są jako wyjątkowo groźne.

Przerażona rozejrzała się w poszukiwaniu właściciela psa, ale park był zupełnie wyludniony. Cóż powinna uczynić, jeśli pies ją atakuje? Barbara widziała już siebie ociekającą krwią na ziemi, bezbronną wobec ataków ze strony ludzi i zwierząt. Jej serce biło coraz szybciej.

Dziwne, ale wydawało się, że pies wcale nie ma wobec niej wrogich zamiarów. Po prostu biegł za nią truchtem, jakby do niej należał. Barbara zwolniła, w nadziei, że ta włochata bestia wyprzedzi ją, ale pies wówczas też zwolnił. Potem zatrzymała się.

- Idź sobie - próbowała delikatnie go odgonić. - No, idź! Ale pies też się zatrzymał, stał w miejscu jak przymurowany

i spoglądał na nią. Jego stosunek do niej wcale się nie zmienił, nie był ani rozdrażniony ani przymilny. Po prostu był przy jej boku, jak posłuszny strażnik.

Barbara nie widziała innego wyjścia, jak iść dalej i właśnie to uczyniła, powstrzymując się od biegu, gdy dochodziła już do przyjaznych świateł Oxford Street. Pies wciąż stał przy niej, gdy patrzyła na ulicę sprawdzając, czy jadą samochody. Czy miał zamiar dalej pójść za nią?

Gdy schodziła z krawężnika, jeszcze raz obejrzała się. Psa już tam nie było.

Barbara z uczuciem ulgi pospieszyła do szpitala i zrobiła sobie filiżankę kawy.

- Wyglądasz na wyczerpaną - powiedziała jedna z pielęgniarek.  
- Przeszłam przez coś paskudnego - tłumaczyła Barbara. -Poszłam na skróty przez park...  
- Poszłaś nocą przez park? - przerwała inna pielęgniarka. -Tak, jesteś nowa, a więc nic nie wiesz. W tym parku popełniono wiele zbrodni!

Pielęgniarki, zdumione faktem, że nie bała się pójść tak źle oświetloną drogą, opowiadały jej jedną makabryczną historię za drugą. Barbara z konsternacją pomyślała o jarzących się w ciemności papierosach. Mogło jej się dużo przydarzyć! Bóg musiał czuwać nad nią...

- i nagle poczułam obecność anioła stróża. Zrozumiałam, że ten pies był mój - mówi Barbara. -Nie było innego wytłumaczenia jego przybycia, zachowania i nagłego zniknięcia. Czułam się wdzięczna, że Bóg tak osobiście zadbał o mnie i że jest On zawsze gotów chronić mnie, nawet przed własną głupotą.

Barbara ostatecznie podjęła pracę w Nowej Gwinei, gdzie wyszła za mąż za Amerykanina. Potem pojechała z nim do Wisconsin, gdzie obecnie mieszka z rodziną. Nigdy więcej nie spotkała swego anioła, ale nazwała go Guiseppe i czuje z nim więź, która przetrwała przez te wszystkie lata.

#### 42. Cisi protektorzy

Impuls, intuicja-tak, czasami z pewnością, tak. Lecz następujące historie sugerują, że w rachubę wchodzi tu też coś bardziej specyficznego.

Frank, biznesmen, często bywał w podróżach służbowych poza domem, dokąd wracał tylko na soboty. Wielokrotnie posyłał swego anioła stróża, aby czuwał nad rodziną podczas jego nieobecności.

Pewnego piątkowego popołudnia, około piątej, Frank miał przytłaczające uczucie, że w domu dzieje się coś złego. Aniele stróżu, udaj się do mej rodziny i chroń ją - pomodlił się. Lęk natychmiast ustąpił.

Następnego dnia Frank wrócił do domu.

- Co słyhać? - zapytał żonę, wciąż pamiętny złowieszczonego przeczucia.

- Och, Frank, nieomal wydarzyła się tragedia - wybuchnęła żona.

Na chwilę spuściła z oczu ich czteroletniego synka, Timmy'ego, gdy chłopczyk wybiegł na ulicę. W tej samej chwili ujrzała pędzący po jezdni samochód -jechał prosto na synka. Przerażona kobieta pojęła, że jest za późno, by czemukolwiek zaradzić.

Auto było około dziewięciu metrów od dziecka, gdy kierowca zaczął hamować tak gwałtownie, że pojazd wykonał dwa pełne obroty wokół własnej osi i zatrzymał się tuż przed Timmy'm. Chłopiec zmarł z przerażenia. Kierowca, zamiast dać upust złości, wyskoczył z samochodu, krzycząc:

- To cud! Cud, że zdołałem zatrzymać się na czas!

- O której to się stało? - zapytał wstrząśnięty Frank.

- Wczoraj, o piątej.

Siostra Marta doświadczyła czegoś bardzo podobnego. Miała nocny dyżur w szpitalu i musiała zejść po lekarstwa do chłodni w piwnicy. Gdy poszukiwała czegoś na półkach, nagle zatrzasnęły się za nią drzwi.

- Och, nie! - wyszeptała przestraszona. Chłodnia nie miała od wewnątrz klamki, a więc nie istniała żadna możliwość wyjścia stamtąd.

O tak późnej godzinie wołanie o pomoc nie miało żadnego sensu. Marta zaczęła błagać o pomoc anioły.

- Byłam zmartwiona, ponieważ pacjenci na mym oddziale pozostali bez opieki - opowiada dziś. -

Grożące mi niebezpieczeństwo - zamrożenie na śmierć -jeszcze nie przyszło mi na myśl.

Minęła tylko chwila, gdy siostra Marta usłyszała coś po drugiej stronie drzwi. Zanim zdążyła zawołać, klamka poruszyła się i drzwi stanęły otworem. Ujrzała jedną z pielęgniarek.

Zdumione kobiety wpatrywały się w siebie. Siostra Marta była zaskoczona, że jej modlitwa została tak szybko wysłuchana. Lecz jej koleżanka była wręcz oszołomiona.

- Poszłam spać - tłumaczyła - ale miałam uczucie, że muszę zejść do piwnicy i sprawdzić, czy wszystko jest tam w porządku.

Najpierw próbowała zignorować ten impuls, lecz nie ustępował i w końcu poddała się.

- Na samym końcu obchodu otworzyłam drzwi do chłodni -powiedziała. - Nie miałam pojęcia, że ktoś może tam być zamknięty.

Andrew Smith polował w lesie, w mało znanej części Jefferson County, w stanie Missouri, około trzydziestu pięciu mil na południe od St. Louis. Towarzyszył mu przyjaciel, Joe (nie są to ich prawdziwe imiona). Był szary, mroźny, jesienny dzień.

Andrew jest człowiekiem, który dużo przebywa na świeżym powietrzu i jest doskonale obeznany z zasadami bezpieczeństwa. Nigdy beztriosko nie obchodzi się z bronią ani nikomu na to nie pozwala. Wcześniej nie polował z Joe, choć nie raz byli już razem na rybach.

- Jest kilka zasad w obchodzeniu się z bronią palną- tłumaczy Andrew. - Broń nigdy nie może być wycelowana w coś innego niż w cel, do którego zamierzasz strzelać. Gdy dwóch myśliwych idzie obok siebie z zawieszoną bronią, lufy zawsze muszą być skierowane w innym kierunku niż towarzysz. Gdy się chodzi z załadowaną bronią, takie środki bezpieczeństwa mają zapobiec przypadkowemu wystrzałowi. Nigdy nie trzyma się palca na spuście. Podczas polowania należy cały czas być czujnym i świadomym pozycji kolegów.

Te zasady były drugą naturą Andrew i, jak podejrzewał, również jego kolegi.

Mężczyźni polowali na granicy małych poletek i gęstego lasu, a potem wracali wyboistą drogą. Andrew siedł po prawej stronie Joe z prawidłowo przyzymaną strzelbą, skierowaną w innym kierunku.

- To chyba właśnie głęboko zakorzeniona świadomość zasad bezpieczeństwa wzmogła mą czujność, kiedy Joe nieco zmienił pozycję - wspomina Andrew. - Zerknąłem na prawo i zauważyłem, że strzelba Joe jest skierowana w złą stronę, a wylot celuje w moją głowę. Miałem zamiar poprosić go, by przewiesił strzelbę. W normalnych okolicznościach, właśnie tak bym postąpił.

Lecz nagle Andrew usłyszał wewnętrzny głos. Nie był to żaden znajomy głos, ale od razu zrozumiał, że nie jest to coś słyszalnego, gdyż Joe nie zareagował na dźwięk. A jednak był głośny i wyraźny - jakby wryty w jego świadomości - oraz jakby mówiący znajdował się po jego lewej stronie.

I być może właśnie tak było. Mówił:

- Andrew! Zrób dwa szybkie kroki do przodu!

Andrew zazwyczaj nie reaguje na rozkazy innych bez uprzednich pytań. Lecz tym razem posłuchał natychmiast. Robił właśnie drugi krok, gdy strzelba Joe'ego wystrzeliła dokładnie w to miejsce, gdzie przed chwilą znajdowała się jego głowa.

Mężczyźni spojrzeli na siebie.

- Co się stało? - zapytał wstrząśnięty Andrew.

- Nie wiem - kręcił głową przerażony Joe.

- Nie miałeś zabezpieczonej broni.

- Myślałem, że mam. Ale na pewno nie miałem palca na spuście.

- Musiałeś mieć. Dlaczego strzelba była skierowana w moją stronę?

Joe nie potrafił na to odpowiedzieć. Był wstrząśnięty i zawstydzony tym, co wydawało się zaniedbaniem trzech podstawowych zasad bezpieczeństwa. Jak coś takiego mogło się wydarzyć? Koledzy nigdy nie znaleźli satysfakcjonujących odpowiedzi.

- Wiele razy uświadamiałem sobie, że jestem w niebezpieczeństwie - zastanawia się Andrew. - Czasami nie zdołałem zareagować wystarczająco szybko i odnosiłem pewne obrażenia. Ale nigdy nic nie wskazywało na to, że jestem zwolniony od konsekwencji własnej beztrioski czy zaniedbań. Ale czy był to tylko przypadek, że właśnie ten jeden raz w życiu poczułem rozkaz, że mam się usunąć?

Zwykle Andrew potrafi znaleźć naturalne wytłumaczenie niezwykłych wydarzeń. Ale ten przypadek przekracza granice zbiegu okoliczności. Andrew wyciągnął wniosek, że była to bezpośrednia interwencja jego anioła stróża.

W żadnym z wyżej opisanych epizodów, którymi podzielono się ze mną, nikt nie zauważył niczego szczególnego.

- Byłoby trudno - a nawet niemożliwe - "dowieść", że wchodziło tam w grę coś nadprzyrodzonego - napisał ktoś. -A więc czy wierzę, że byłem chroniony? Tak, po tysiącokroć, tak!

### 43. Milczący krąg

Viola Rockett zawsze była odpowiedzialną osobą, która ukończyła szkołę średnią w Charleston, w stanie Mississippi, po trzech latach nauki. Miłość i małżeństwo w wieku dziewiętnastu lat na pewno było pewnym wyzwaniem, ale stawiała czoła nowym obowiązkom z typową dla niej dojrzałością i zdrowym rozsądkiem.

-Nigdy nie bałam się bez powodu ani nie byłam podejrzliwa - tłumaczy. - Poznałam Boga, gdy miałam trzynaście lat i odtąd pokładałam w nim nieugiętą wiarę.

Jednak życie z młodym mężem, A.J., nie było łatwe. W tej części stanu, gdzie mieszkali, niełatwo było o pracę. W międzyczasie urodziły się im dwie małe córeczki, jeszcze bardziej nadwężając domowy budżet.

Gdy Viola miała dwadzieścia pięć lat, postanowili wyprowadzić się do Mathiston, małego miasteczka z kilkoma sklepami i pocztą. A.J., aby utrzymać rodzinę, naprawiał i sprzedawał używane samochody. Wynajmowali stary zakład, pełen rozbitych samochodów, narzędzi i śmieci - łatwo było się tam włamać, gdyby tylko było tam coś wartościowego.

- Dwie ściany budynku pokrywały od podłogi do sufitu szyby zasłonięte roletami. Jak w salonach sprzedaży - opisuje Viola. W kuchni wisiała jedyna żarówka, którą włączało się poprzez pociągnięcie sznurka - to właśnie w tym pomieszczeniu mieszkała rodzina.

Viola nigdy wcześniej nie doświadczyła takiej izolacji. A.J. przez kilka nocy w tygodniu przebywał poza domem, kupując i sprzedając auta, a ona zostawała sama bez telefonu, rodziny i przyjaciół.

Viola próbowała być dzielna, ale nocą w domu było szczególnie strasznie. Nawet gdy rolety były zasunięte, czuła się bezbronna widząc te duże okna. Wszyscy w mieście wiedzieli, że nocą jest sama. Co miałyby uczynić, gdyby ktoś się włamał? W jaki sposób miała bronić córeczek i siebie? Pewnej nocy, gdy były same, Violę obudził nieuzasadniony lęk. Nie śnił jej się żaden koszmar. Pozornie nie było racjonalnej przyczyny tego przerażenia, które wręcz ją dławilo. Czuła jednak, że gdzieś blisko czai się jakieś niebezpieczeństwo.

- Tak się bałam, że aż wierzyłam, że w pokoju jest ktoś jeszcze - mówi - i wiedziałam, że muszę znaleźć odwagę, by wyjść z łóżka, podejść do lampy, odnaleźć sznurek i zapalić światło.

Ten kto przeżył atak strachu wie, jak trudno było jej się poruszyć. Jej serce waliło, ale jakoś udało jej się dojść do lampy. Kiedy zapaliła światło, wyglądało, że wszystko jest w porządku. Ich ubogi pokój wydawał się taki jak zawsze.

Ale zamiast ulgi, znów poczuła falę tego samego przerażenia. Viola była przekonana, że niebezpieczeństwo czyha tuż za zasłoniętymi oknami, tak blisko, że może je niemal dotknąć. Gdyby wybiegła na zewnątrz po pomoc, wpadłaby dokładnie na to coś. Ale jeśli zostałaby wewnątrz, istniała mała szansa, że intruz nie wtargnie do środka tego ledwie stojącego budynku. Nie wiedząc, co począć, Viola upadła na kolana.

- Boże, pomóż nam - krzyknęła. - Dziękuję Ci za miłość i troskę. Proszę zaopiekuj się nami i teraz. Spojrzała w górę. Nagle, choć rolety były spuszczone, ujrzała, jak się rozsuwają. Na zewnątrz każdej z dwunastu tafli szkła, zobaczyła opadającą olbrzymią postać opuszczającą skrzydła.

-Nie było to jak we śnie lub w zwolnionym tempie. Wszystko było normalne - mówi. - Prócz tego, że były to anioły.

Spoglądały na zewnątrz, stojąc tyłem do Violi. Te cudowne istoty były tak wysokie, że ich głowy sięgały ponad okna i nie mogła dojrzeć ich twarzy. Ale widziała opadające wzdłuż ciała skrzydła, gdy każda z tych istot zajmowała swój posterunek. Gromada niebiańskich strażników, zesłana na jej błaganie. Jakże Bóg musi ją kochać! Wszystko to było niewiarygodne.

Trwało to tylko kilka minut. Gdy osłupiała Viola przenosiła wzrok z jednego na drugiego, rolety znów stały się widoczne i zasłoniły okna. Viola i jej córki pozostały same w pokoju.

Viola nigdy nie dowiedziała się, co owej nocy groziło jej i córkom. Ale nie pamięta, by w ciągu tych trzydziestu kilku lat, które minęły od tamtego dnia, kiedykolwiek się bała.

- Bóg dał mi łaskę ujrzeć, że nigdy nas nie opuszcza - mówi Viola. Ten dar był dla niej wsparciem przez całe życie.

#### 44. Uśmiechnięte dziecko

Gretchen i jej mąż, Fred, mieli za sobą długie lata szczęśliwego małżeństwa. Lecz Fred zmarł. Choć Gretchen miała syna i czworo wnucząt, którzy bardzo ją kochali, to jednak nie potrafiła otrząsnąć się po tej ogromnej stracie.

Podczas pierwszych kilku miesięcy pogrążona była w smutku i nie była w stanie płakać. Ale gdy minął początkowy szok, wydawało się, że płacz stał się jedyną jej czynnością.

- Zaczynałam bać się spotkań z kimkolwiek - wspomina - gdyż obawiałam się, że w połowie zwyczajnej rozmowy nagle wybuchnę szlocham.

Ludzie byli bardzo uprzejmi, lecz Gretchen nie potrzebowała współczucia i nie chciała też, by jej smutek sprawiał innym przykrość.

Tamtej niedzieli udała się samotnie do kościoła i wybrała pustą ławkę. Nie widziała żadnych znajomych twarzy, co przyniosło jej ulgę. Gdyby dopadł ją typowy ból, mogłaby nie zauważona wymknąć się.

Usiadła w ławce i od razu zaczęła myśleć o Fredzie, a jej duszę przenikały fale pustki i żalu.

- Z trudem panowałam nad sobą - mówi.

Nie było jej łatwo znosić tę nieustającą żalobę. Czy kiedyś to się skończy? Już miała się rozplakać...

Nagle do ławki podszedł mały chłopczyk, który usiadł obok Gretchen. Dojrzała go przez łzy. Miał jasnobrązowe włosy, był schludnie ubrany w brązowy garniturek i miał około sześciu lat.

Przyjaźnie spoglądał na nią, uśmiechając się, jakby ją znał.

Było w tym coś szczególnego. Dzieci w ich parafii rzadko same przychodzą do kościoła, tym bardziej o tak wczesnej porze. Gdzie jest jego rodzina? Jeszcze dziwniejszy był fakt, że dziecko wzięło do czytania modlitewnik, wciąż przybliżając się do Gretchen.

- Był coraz bliżej mnie. Czytał, spoglądał na mnie, napotykał mój wzrok i cały promieniał uśmiechem. Jego zachowanie uzmysłowiło mi, że jest tam, aby dotrzymać mi towarzystwa. Cóż za rozkoszne dziecko!

Gdy chłopczyk tulił się do Gretchen, zaczęło dziać się coś dziwnego. Czowała, że jest jej coraz lżej na sercu. W jakiś sposób, choć nie wierzyła, że coś takiego jest jeszcze możliwe, zaczęła się czuć szczęśliwa. Było to tylko ulotne uczucie, jak krótki pocałunek, ale czuła to.

Mogła znów być szczęśliwa. Wiedziała to, bez cienia wątpliwości. "Czas na żalobę, czas na tańce..." Gretchen nadal była pogrążona w żalobie, ale miłość i słodycz w postawie tego małego chłopca dały jej do zrozumienia, że gorzkie czasy mają się ku końcowi.

Lecz kim było to dziecko? Gretchen spojrzała na niego i chłopiec ponownie uśmiechnął się do niej w ten intymny, przejmujący sposób. Musi go znać... jeśli nie, to dlaczego zachowuje się w ten sposób? Oczywiście. Jest on prawdopodobnie synem jej młodych sąsiadów, którzy świadomi żaloby samotnie siedzącej Gretchen, wysłali synka, aby dotrzymał jej towarzystwa. Chciała podziękować im za troskliwość. Postanowiła uważnie patrzeć, gdzie dziecko uda się po Mszy.

Gdy nabożeństwo dobiegło końca, Gretchen i chłopiec opuścili ławkę i skierowali się do drzwi. Dokoła byli ludzie, lecz nie było dużego tłoku. Chłopiec znajdował się tuż obok Gretchen.

- Jak masz na imię? - zapytała go. - Czy znam twoją mamę? Ale zamiast odpowiedzi spojrział na nią i uśmiechnął się po

raz ostatni. Gdy Gretchen rozejrzała się po ludziach, wypatrując kogoś, kto by poszukiwał chłopczyka, dziecko zniknęło. Był tam - i potem po prostu już go nie było. Gretchen nie widziała, by wychodził. Kiedy spojrzała w dół, miejsce, gdzie stał, było już puste.

- Szukałam go, aż wszyscy ludzie wyszli z kościoła. Nigdy go już nie zobaczyłam ani też nie spotkałam nikogo, kto by go znał lub przysłał do mnie.

Ale począwszy od tamtej niedzieli, Gretchen nigdy już nie czuła się samotna. Stopniowo docierała do niej prawda - że zwykłe dziecko, choćby nie wiadomo jak czarujące, nie byłoby w stanie podnieść jej na duchu w tak tajemniczy i ujmujący sposób. Tamto dziecko musiał przysłać Ktoś,

kto rozumiał jej cierpienie i dotarł do niej, by ją pocieszyć i uzdrowić.

#### 45. Chłopiec w niebieskim garniturze

Michael Sullivan z Howard Beach, Nowy Jork, jest autorem *Joy to My Youth*, jeszcze nie publikowanych wspomnień opisujących szczęśliwe, chłopięce czasy w latach dwudziestych. Gdy usłyszał o mej pracy, wspaniałomyślnie zaproponował, bym opowiedziała i podzieliła się z czytelnikami tym oto doświadczeniem z jego książki:

W dniu bierzmowania, w 1925 roku, Michael obudził się z gorączką i mdłościami. Nie mógł jednak opuścić tego ważnego wydarzenia! Parafia św. Bartłomieja w Elmhurst należała do diecezji brooklyńskiej i biskup udzielał tu sakramentu bierzmowania tylko raz na cztery lata. Gdyby Michael został w domu, mógłby przystąpić do sakramentu dopiero w wieku czternastu lat. Ojciec Michaela niechętnie przystał na to, by syn poszedł do kościoła. Starsza siostra pomogła mu się ubrać i zaprowadziła go na miejsce. Sama jednak nie mogła tam zostać, gdyż tak wiele dzieci miało być bierzmowanych, że nie pozwolono, by do kościoła wchodzili członkowie rodzin lub znajomi.

Michael stanął w rzędzie obok innych, powoli wszedł do kościoła i zajął swoje miejsce w ławce, tak jak wcześniej ćwiczone na próbach. Biskup w białych szatach liturgicznych i ogromnej, złotej infule siedział na specjalnym krześle przed ołtarzem, w otoczeniu księży. Był to imponujący widok. Zaczęły grać organy. Chłopcy z ławki Michaela wstali i udali się w kierunku ołtarza.

- Cieszyłem się, że mam do przejścia nieduży odcinek -mówi - gdyż drżały mi kolana.

Biskup delikatnie dotknął policzka Michaela i wypowiedział słowa sakramentu. Potem Michael wrócił do ławki i uklęknął tak, jak mu kazano. Ale wszystko go bolało... a do ołtarza wciąż zmierzało tak wielu chłopców... Wydawało się, że światła świec się zamazują, i postać biskupa też zdawała się rozpląwać... Michael zemdlał i upadł.

Gdy odzyskał przytomność, siedział na dębowym krześle w zakrystii, w małym pomieszczeniu za ołtarzem. Ksiądz, który wymachiwał mu przed nosem solami orzeźwiającymi, spojrzał z ulgą.

- Teraz jest już wszystko dobrze - powiedział. - Posiedź tu i odpocznij chwilę.

Otwarto okno i zakrystię owiał kwietniowy wietrzyk. Kapłan wrócił na Mszę, zostawiając Michaela z kościelnym, który go tam przyniósł.

- Czy czujesz się już lepiej? - zapytał po pewnym czasie kościelny.

Michael pokiwał twierdząco głową:

- Chyba tak.

-Nie musisz czekać do zakończenia ceremonii - powiedział. - Czy sądzisz, że zdołasz dojść do domu?

Michael wierzył, że jest w stanie tego dokonać. Cicho wyszedł bocznymi drzwiami i ostrożnie poszedł ulicą, a potem ścieżką przecinającą pustą parcelę. Dobrze znał tę drogę - każdego dnia chodził tędy do szkoły.

Ale dziś ścieżka wydawała się długą, krętą drogą. Każdy krok był wysiłkiem i Michaela znów zaczęło boleć całe ciało, tak samo, jak wtedy, gdy usiłował klęczeć w kościele.

- Przypomniałem sobie nauki siostry, że podczas sakramentu bierzmowania wchodzi w nas Duch Święty i daje nam siłę - mówi Michael. - Ta myśl działała uspokajająco i pomogła mi przemierzyć połowę drogi. Potem jednak zdałem sobie sprawę, że nie dam rady dojść do końca ścieżki.

Odwrócił się i obejrzał do tyłu w nadziei, że ceremonia w kościele już się skończyła i zaraz nadejdą jego koledzy, którzy go tu znajdą. Ale nikogo dokoła nie było. Poczł zawroty głowy i słabość, właśnie takąsamąjak przed omdleniem. Zdesperowany rozejrzał się za jakimś kamieniem, na którym mógłby usiąść lub kawałkiem czystej trawy.

Właśnie wtedy - choć nikogo nie było w polu widzenia - tuż obok pojawił się chłopiec w niebieskim garniturze. Był starszy i wyższy od Michaela i miał przyjazny wyraz twarzy. Michael ucieszył się, że go spotkał.

- Byłeś właśnie u bierzmowania? - zapytał.

-Nie - odpowiedział z uśmiechem przybysz. Wydawało się, że emanuje od niego siła i nudności



Michaela ustąpiły. Chłopiec zaczął iść ścieżką i Michael automatycznie podążył za nim. Teraz droga nie wydawała się już taka długa.

Chłopiec żywo opowiadał i przedyskutowali wiele tematów.

- Wciąż szumiało mi w głowie i nie potrafiłem go rozpoznać, lecz on bez wątplenia znał mnie i wszystko o mnie wiedział - mówi Michael. - Wiedział, że mama nie żyje, a tato jest wspaniałym człowiekiem. Znał moje siostry.

Gdy przeszli przez parcelę i wyszli na Lamont Avenue, Michael opowiedział mu o wielkim wydarzeniu swego życia. Tato zabrał go na drugi mecz rozgrywek baseballowych. Babę Ruth miał doskonale strzały, a Yankees pobili Giants, cztery do dwóch. Chłopiec słuchał i wydawało się, że wie o tym wszystkim. Wiedział, że na początku rzucał John McGraw i znał też inne szczegóły. Słońce świeciło poprzez gałęzie klonów, całe pokryte małymi listkami. Coś, co było w tym słońcu, wiosennych drzewach i ciepłym towarzystwie chłopca sprawiło, że Michael z każdym krokiem czuł się silniejszy. Doszli do rogu ulicy.

- Mieszkasz w następnym domu - powiedział chłopiec, spoglądając na biały budynek w oddali.

- Zgadza się - odparł Michael, po raz pierwszy przypatrując się twarzy kolegi. Oczy chłopca błyszczały. Przeszedł na drugą stronę ulicy, odwrócił się, uśmiechnął i pomachał ręką. Gdy tak machał, jego ciało otaczała błyszcząca poświata.

Drogą nadjechał samochód dostawczy. Michael czekał, aż przejedzie, by móc również pomachać do towarzysza. Pojazd odjechał, ale w polu widzenia nigdzie nie było chłopca w niebieskim garniturze.

Michael pobiegł do domu i nie odważył się nikomu opowiedzieć o swym koledze. Przez następne dni szukał go w sąsiedztwie, ale nigdy już nie spotkał tego chłopca.

Wiedział, że już go nie zobaczy. W każdym razie, nie w tym życiu.

#### 46. Nieznajomi w potrzebie

Michelle Bove jest delikatną, wrażliwą kobietą, która zawsze była nieco bojaźliwa. Wraz z mężem i trojgiem dzieci mieszka w eleganckiej dzielnicy Manhattan Beach na Brooklynie, w Nowym Jorku. Ich dom, położony niedaleko plaży, znajduje się w miejscu gdzie rzadko spotyka się ludzi potrzebujących pomocy.

Pewnego zimowego wieczora, gdy Michelle wracała do domu, zaczęła się modlić o to, by potrafiła przewyciężyć swe lęki. Jednak nie spodziewała się, że jej błaganie zostanie tak szybko wysłuchane! Gdy już podjeżdżała pod dom, zauważyła, że na środku jezdni stoją jacyś ludzie. Zaczęła się już bać, gdyż nieznajomi blokowali drogę. Wsiadła jednak i zapytała, czego chcą. Starszy, elegancko ubrany mężczyzna, który z pewnością nie wyglądał na ulicznika poprosił Michelle, by pomogła towarzyszącej mu kobiecie, która miała około trzydziestu lat.

- O co chodzi? - zapytała ją Michelle.

- Potrzebuję noclegu - odpowiedziała cicho nieznajoma. Była bardzo nędznie ubrana, ale wydawała się inteligentna. I miała najpiękniejsze błękitne oczy, jakie Michelle kiedykolwiek widziała.

Michelle zawahała się chwilę, po czym odwróciła się do mężczyzny. Lecz już go tam nie było! Nie słyszała, by odchodził lub pożegnał się i choć rozejrzała się po ulicy, to nie pozostało po nim ani śladu.

Pierwszą reakcją Michelle na tę przedziwną sytuację, była chęć ucieczki i skrycia się w zaciszu domowym. Jednak wewnętrzny głos powstrzymywał ją przed tym. Czyż nie modliła się właśnie o odwagę? Usłyszała, jak mówi do błękitnookiej kobiety:

- Dlaczego nie pójdzie pani ze mną? Kobieta przyjęła zaproszenie.

Najpierw Michelle zadzwoniła do okolicznych moteli, lecz nie było w nich żadnych wolnych miejsc. Potem zatelefonowała do pobliskich kościołów, ale i tam nikt nie mógł jej pomóc. Była coraz bardziej zdenerwowana. Jej mąż, który już spał, gdy przyjechała, teraz obudził się i zażądał, by odesłała gdzieś tę kobietę.

- Uważa on, że jestem zbyt ufna i stanowią łatwy cel - tłumaczy Michelle.

Mąż był zaniepokojony, że przyprowadziła do domu kogoś obcego, być może narażając dzieci i

teraz chciał, by coś z tym zrobiła. Rozdrażniony wrócił do łóżka, zakładając, że Michelle spełni jego życzenie.

Dom jednak był duży i Michelle zaprowadziła nieznaną do gościnnego pokoju w piwnicy, przygotowała dla niej jedzenie i poślanie. Kobieta dotąd milczała i dopiero nieporozumienie Michelle z mężem, spowodowały u niej reakcję.

- Ja też mam kłopoty z mężem - powiedziała.

- Czy ma pani dzieci? - zapytała Michelle.

- Tak, dwoje.

- Dlaczego więc jest tu pani sama? Jak się pani znalazła w tej sytuacji?

Gość zareagował jednak wymijająco na te pytania. Wydawało się, że jest w niebezpieczeństwie, ucieka przed czymś i obawy Michelle jeszcze bardziej wzrosły. A jeśli ta kobieta ma wobec jej rodziny jakieś wrogie zamiary? A może mężczyzna, który zniknął na ulicy, jest jej towarzyszem i zamierza ich obrabować? Co się stanie, jeżeli jej mąż odkryje, że Michelle przenocowała gościa w domu? Modliła się, czytała Biblię i czuwała.

Zaczęło świtać i Michelle spakowała trochę jedzenia, trochę ciepłych ubrań oraz spisała adresy schronisk, z którymi wcześniej nie mogła się skontaktować. Potem obudziła gościa.

- Musi pani pójść, zanim obudzi się mój mąż - powiedziała. - Nie mogę pani nigdzie odwieźć, gdyż niedługo będę musiała zająć się dziećmi.

- Jak pani na imię? - zapytała ją nieznaną. Michelle przedstawiła się i podała jej paczkę.

- Dziękuję, Michelle - powiedziała kobieta i uśmiechnęła się. Wyglądała o wiele zdrowiej, a jej błękitne oczy błyszczały się.

-Nigdy nie zapomnę twej dobroci.

- Uważaj na siebie.

Michelle otworzyła tylne drzwi i stanęła przy oknie, by zobaczyć, jak nieznaną wychodzi na podjazd, gdyż było to jedyne wyjście z ich podwórka. Michelle wiedziała, że nie poczuje się prawdziwie bezpieczna, dopóki nie zobaczy tej kobiety wychodzącej przez furtkę.

Czekała... czekała... lecz ona nigdy się nie pojawiła. Podobnie, jak towarzyszący jej na początku mężczyzna, po prostu zniknęła.

Michelle nie dowiedziała się, dlaczego ów człowiek oraz ta młoda kobieta stanęli przed jej domem i, pomimo jej obaw, poprosili ją o pomoc. Ale też od tamtego dnia nigdy już się tak nie bała.

Mając w pamięci Michelle, spójrzmy na podobną historię, która jednak miała inne zakończenie.

Mieszkanka Michigan, Helen Griffith, wraz z innymi członkami zgromadzenia kościelnego, w ramach nauczania szkolnego organizowała dzień biblijny. Przy wejściu stała grupa ośmiu lub dziewięciu kobiet oraz młodzież.

- Wszyscy byliśmy zajęci swymi obowiązkami, zbieraniem pieniędzy, materiałów. Śmiałyśmy się, jedliśmy, byliśmy bardzo, bardzo zajęci - wspomina Helen.

Nagle do budynku weszła blada kobieta i z wahaniem zbliżyła się do grupy stojącej przy drzwiach.

- Przepraszam - powiedziała, niemal szeptem. Wyglądała na wyczerpaną. - Czy mogłybyście, panie, pożyczyć mi trochę pieniędzy na benzynę?

Wy tłumaczyła, że musi dostać się do miasta oddalonego o sto dwadzieścia kilometrów. Bez wątpliwości była bardzo słaba i Helen zauważyła, iż nieznaną spodziewa się dziecka.

Ktoś szybko podał jej krzesło. Wszyscy udali się na bok, by omówić sprawę. Helen miała przy sobie tylko trochę drobnych, ale zasugerowała, że mogą przeznaczyć na ten cel pewną sumę ze szkolnego funduszu lub zebrać pieniądze między sobą.

Lecz jedna z kobiet sprzeciwiła się temu.

- Dlaczego, Helen, mamy pomagać takim ludziom? - powiedziała stanowczo. - Chodzą od kościoła do kościoła i grają na ludzkich uczuciach. Ode mnie ona nic nie dostanie!

Inne kobiety zaczęły potakująco kiwać głowami, przystając na tę decyzję.

- Może wyślemy ją do kościelnego przytułku? - zasugerowała któraś. - Jest taki jeden niedaleko stąd - może oni jej pomogą.

Twarz tej młodej kobiety zapadła się, gdy zakomunikowano jej negatywną odpowiedź. Wstała i podeszła do drzwi. W tej samej chwili Helen zaczęło dokuczać sumienie. Wyszła więc za nią, by

dać to, co miała w portfelu.

- Ale już tam jej nie było - opowiada Helen. - Żadnego samochodu, żadnej kobiety... Wysłałam natychmiast po niej, a na pewno nie szła szybko, no i nie zauważyłam żadnego samochodu. Po prostu zniknęła.

Po dziś dzień Helen zastanawia się, czyjej grupie kościelnej nie złożył czasem wizyty anioł, poddając ich testowi na dobroć.

- Przyszła i cicho poprosiła o wsparcie - a my, tak zajęci mówieniem o miłości i dobroci, zapomnieliśmy wprowadzić te zasady w życie - mówi. - Zachowaliśmy się, jak hipokryci i pragnę, bym mogła kiedyś naprawić ten błąd.

Dlaczego anioł miałby pojawiać się nam jako człowiek potrzebujący pomocy? Z pewnością te niebiańskie istoty nie mają niedobrych mężów, dzieci ani żadnych zmartwień! Być może stają się słabe przez wzgląd na nas, aby zaoferować nam szansę, byśmy mogli zaufać, zaproponować i dać.

#### 47. Anioły i policjanci

W 1977 roku Steven Rogers był rekrutem w oddziałach policji w Nutley, w stanie New Jersey. Jako partnera przydzielono mu Phila. Phil był nie tylko starszy i mądrzejszy, ale był także chrześcijaninem. Dla impulsywnego i czasami buntowniczego Steva, Phil stał się wzorem od naśladowania. Co dzień, zanim zaczęli pracę, mężczyźni mieli w zwyczaju odmawiać modlitwę lub czytać fragment Biblii - był to często Psalm 91, ten w którym oddajemy się opiece Bożej i prosimy anioły o pomoc w razie niebezpieczeństwa.

Mieszkańcy Nutley borykali się z problemem, który stawał się coraz poważniejszy. Tereny rekreacyjne miasta były bowiem okupowane przez młodocianych, pijących, narkotyzujących się i niszczących mienie społeczne. Policja wiedziała, gdzie młodzież się zbiera, ale gdy robiono nalot, większość zawsze gdzieś im się wymykała, tak że nie mogli ich znaleźć. Najwyraźniej mieli gdzieś kryjówkę - ale gdzie? Żaden z policjantów nie był w stanie jej odnaleźć.

Pewnego dnia Steve i Phil dostali zadanie, które mieli wykonać w cywilnych ubraniach. Kazano im się ubrać podobnie jak te dzieciaki, by odkryć ich kryjówkę oraz źródło narkotyków. Nocą partnerzy zaczęli się w odosobnionej części lasu i obserwowali młodych ludzi bijących się ze sobą, przeklinających i niszczących co popadnie.

- To co ujrzałem, napawało niesmakiem - opowiada Steve. - Zdałem sobie sprawę, że nie chodzi tu o dzieciaki, które trochę się "zabawiają", lecz o głęboko uzależnionych ludzi, którzy nie panują nad sobą. Wielu wzywało Charles'a Mansona lub zachowywało się obscenicznie. Jeśli taka postawa rozpowszechniłaby się, mogliby zagrozić całemu miastu.

Głównym źródłem narkotyków, jak się wydawało, był młody mężczyzna, którego policjanci nazwali Mr. Big, gdyż najwyraźniej miał duży wpływ na grupę.

Następnego dnia Steve i Phil udali się na miejsce spotkań młodzieży, pomodlili się o pomoc i zaczęli przeszukiwać je centymetr po centymetrze. Wkrótce natrafili na wydeptaną ścieżkę pokrytą gałązkami. Ścieżka prowadziła do umiejętnie ukrytej jaskini. Wewnątrz policjanci natrafili na pigułki, alkohol, materiały pornograficzne i marihuanę. To tu tylu młodych ludzi chroniło się przed policją. Tej nocy, zdecydowali, zrobili nalot na jaskinię.

Przed pracą poprosili o dodatkowe wsparcie, ale odpowiedziano im, że są zdani na własne siły.

Jakże dwóch policjantów miało sobie poradzić z bandą agresywnych dzieciaków? Znowu odmówili Psalm 91. Potem powoli podeszli do zgromadzonych koło nasypu wyrostków. Zauważyli, że był z nimi Mr. Big.

-Najpierw chcieliśmy ująć właśnie jego, gdyż czuliśmy, że dzieciaki przestaną broić, jeśli jego nie będzie z nimi - tłumaczy Steve.

Ale gdy zbliżali się, rozpoznała ich jedna z dziewczyn.

- Gliny! - krzyknęła.

Tłum rozpierzchł się. Steve i Phil pobiegli za dziewczyną, złapali ją i wezwali pomoc. Teraz, wiedzieli, większość z nich jest już ukryta w jaskini. Choć banda miała nad nimi tak dużą przewagę liczebną, to jednak odnaleźli ścieżkę i odważnie weszli do kryjówki.

-Nie ruszać się! - zawołał Steve i w jaskini nikt nawet nie drgnął. Steve przyjrzał im się. Było ich co najmniej dwudziestu. I mieli Mr. Biga!

Phil podszedł do niego i poprosił o paczkę, którą trzymał. Młody człowiek posłusznie podał mu pakunek pełen pigułek. Steve zebrał inne dowody, przeczytał młodym ich prawa, a potem stanął osłupiały, patrząc na potulnych wyrostków, którzy z łatwością mogli obezwładnić dwóch policjantów. Dlaczego nie zaczęli walki?

Gdy nadjechał policyjny radiowóz i wyprowadzono więźniów z jaskini, Steve zwrócił się do Mr. Biga:

- Dlaczego ani ty, ani inni nie spróbowaliście nas zaatakować, gdy weszliśmy do środka?

- Myślisz, że oszalałem, czy co? - odparł Mr. Big. - Co najmniej dwudziestu facetów w niebieskich uniformach, a my mielibyśmy być tak głupi i walczyć z nimi albo uciekać?

- Dwudziestu? Przecież było nas tylko dwóch.

- Co? - Mr. Big zapytał kogoś innego ze złapanych. - Belinda, ilu gliniarzy weszło do jaskini?

Belinda wzruszyła ramionami:

- Co najmniej dwudziestu pięciu.

Dopiero wtedy Steve przypomniał sobie słowa, które z taką wiarą wypowiadał wraz z Philem: "W nocy nie ulęknieš się strachu. .. bo swoim aniołom dał rozkaz o tobie".

W ciągu dziewięciu miesięcy, gdy Steve i Phil byli oddelegowani do tej specjalnej służby, zaaresztowali 250 osób - więcej niż ich departament w ciągu całego roku. Kryjówki narkomanów i wandali zostały zniszczone, a okolice Nutley zaczęły się świetnie rozwijać. Gdy ktokolwiek gratulował policjantom ich osiągnięć, wszystkie zasługi przypisywali Jezusowi, który chronił ich i pomagał im rozwiązywać zagadki.

Jezus... i specjalny oddział w niebieskich uniformach.

#### 48. Gospodyni z nieba

Matka Raymonda Herzinga, Mag, bawarska imigrantka, osiedliła się w Lancaster, w stanie Pensylwania, tu wyszła za mąż i urodziła troje dzieci. Dwoje starszych zmarło w wieku około dwudziestu lat. Najmłodszy syn, Raymond, w 1938 został księdzem. Kiedy zmarł jego ojciec, matka została sama bez żadnych wnucząt lub innej rodziny, która mogłaby się nią zaopiekować. Raymond był sekretarzem biskupa w Buffalo, w stanie Nowy Jork, i było mu coraz trudniej zajmować się starzejącą się matką. Podróżował regularnie pomiędzy Buffalo a Lancaster, ale nie nadążał za potrzebami Mag. Gdy nie był razem z matką, niepokoił się o nią.

Raymond zdecydował, że najmie kobietę, która by mieszkała z Mag. Niestety matka stawiała się coraz bardziej kapryśna i żadna z najętych kobiet nie została z nią na dłużej - Mag nieustannie je zwalniała.

- Ta źle gotuje, tamta nie prowadzi domu, tak jak powinna... żadna nie pasuje - powiedział komuś z rodziny sfrustrowany Raymond. Spędzał z matką coraz więcej czasu, zaniedbując obowiązki w Buffalo.

W końcu Raymond pomodlił się:

- Jeśli chcesz, Boże, bym pracował dla ciebie w Buffalo, musisz mi pomóc z mamą!

Wkrótce potem, gdy Raymond przebywał w domu, do drzwi zapukała kobieta w średnim wieku. Była schludnie ubrana i miała miły wyraz twarzy.

- Słyszałam, że szuka ksiądz kogoś do opieki nad matką -powiedziała.

- Zgadza się - odpowiedział Raymond, otwierając szerzej drzwi. - Czy wejdzie pani i porozmawiamy? - od razu przypadła mu do gustu. Był w niej jakiś spokój i dobroć.

- Chętnie zostanę tu około roku - powiedziała.

Rok! Raymond nie mógł uwierzyć w Bożą łaskawość.

- Cudownie, oczywiście, jeśli matka panią polubi - tłumaczył Raymond. - Może ona być... no... trochę trudna.

Kobieta uśmiechnęła się.

Raymond pośpiesznie opisał jej zakres obowiązków i zapłatę.

- Jak pani ma na imię? - spytał. - Na kogo mam wypisać czek?  
- Och... - zaśmiała się cicho. - Możecie mnie nazywać Aniołem. A co do zapłaty... może najpierw poczekamy, czy spodobał się pana matce?  
Tak, zgodził się Raymond, to byłoby wyzwanie. Jeśli chciała najpierw wy badać grunt, nie można było jej za to ganić. Z umiarkowanym optymizmem wrócił do Buffalo.  
Ich Anioł dowiedział, że jest osobą bezcenną. Mag od razu ją zaakceptowała i doskonale się porozumiewały. Raymond zakładał, że tę kobietę przysłał zapewne ktoś z sąsiedztwa, ale z czasem dowiedział się, że nikt z sąsiadów nie spotkał jej wcześniej. Nieznajoma z powściągliwością mówiła o swym pochodzeniu, nigdy nie wspominając o tym, jak to się stało, że zapukała do ich drzwi. Być może powinien był ją zapytać o referencje. Ale Mag tak bardzo ją lubiła.  
Od czasu do czasu Raymond podejmował temat zapłaty gospodyni, lecz ona zawsze przerywała mu i odkładała tę kwestię na potem.  
- Nie potrzebuję teraz tych pieniędzy - mówiła. - Uzgodnimy to, gdy pana matka nie będzie mnie już potrzebowała.  
Wydawało się to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Raymond zarządzał Biurem Życia Rodzinnego w Buffalo i pochłaniały go nowe obowiązki. Tak długo, jak matka była bezpieczna i zadowolona, nie miał powodu, by naciskać na opiekunkę w jakiegokolwiek sprawie!  
Minęło około roku i Mag Herzing zmarła.  
- Myślę, że nie pójdę na pogrzeb - powiedziała gospodyni tamtego ranka. - Posprzątam tu trochę. Raymond zgodził się. Ale gdy wrócił do domu, wydawało się, że jest tam dziwnie pusto.  
- Aniele - zawołał, rozglądając się pustych pokojach - czy jesteś tu?  
Jednak gospodyni nigdzie już nie było, a jej rzeczy zniknęły. Raymond nie zapłacił jej ani razu! I mieszkała tu, tak jak to przewidziała, jeden rok...  
Ich Anioł zniknął równie cicho, jak przybył. Ale aż do dnia swojej śmierci, w 1969 roku, Monsignor Raymond Herzing zawsze uważał ją za odpowiedź na swą modlitwę.

#### 49. Wybór Leonor

Ta książka nie byłaby kompletna, gdybyśmy nie dołączyli do niej doświadczenia osoby bliskiej śmierci, która spotkała autentycznego anioła.  
W wieku osiemnastu lat Leonor Reyes wyszła za mąż za starszego od niej tylko o rok Davida. W miesiąc po ślubie David został powołany do armii i był już w Wietnamie, gdy Leonor zaczęła mieć kłopoty ze zdrowiem. Miała na szyi guza, który wydawał się złośliwy.  
W lutym 1969 roku, kiedy David przebywał w Wietnamie piąty miesiąc, jego młoda żona poddała się operacji usunięcia narośli. W trakcie zabiegu wydało się jej, że wymyka się spod narkozy.  
- Nagle zaczęłam się podnosić tak, jakbym siadała - pisze Leonor. - Widziałam tę część sali operacyjnej, która znajdowała się za moimi stopami; widziałam swoje ciało leżące na stole, z otwartą szyją i odchyłoną głową... Potem znalazłam się w miejscu całkowicie wypełnionym światłem. Wydawało się, że inni są wokół mnie, a ktoś po mej lewej stronie powiedział: "Nie rozglądaj się i nie odwracaj do tyłu".  
Leonor była posłuszna tym słowom. Stopniowo zaczęła sobie zdawać sprawę, że otaczające ją istoty są aniołami.  
- Spotkasz się z kimś bardzo ważnym dla ciebie - powiedział ktoś po lewej stronie. - Nie bój się. Będiesz bardzo szczęśliwa. On spodziewa się ciebie - Leonor spojrzała w dół i zobaczyła coś, co wyglądało jak białe chmury, choć nie widziała własnych stóp.  
Czy jestem w drodze do Boga? - dziwiła się. Czuła się zawstydzona własną marnością, lecz jednocześnie była podekscytowana. Stawała się coraz bardziej radosna.  
Leonor i jej niebiańscy towarzysze zatrzymali się nad brzegiem pięknej rzeki, otoczonej zielonymi łąkami. Anioły zaczęły się cieszyć, a Leonor ujrzała ubraną na biało postać spacerującą w oddali pośród drzew. To był Jezus! Chciała do niego podbiec, lecz dzieliła ich rzeka. Jezus podszedł do niej po powierzchni wody, a ją wypełniła miłość i zdziwienie.  
- Wiem, że byłeś zmęczona, chora i niespokojna - powiedział najłagodniejszym głosem, jaki

kiedykolwiek słyszała. -Czy chciałabyś teraz być ze mną?

- O, tak! - sięgnęła po jego dłoń i zatrzymała się. - Ale., co z moim mężem? Moją matką? Jeśli umrę, tak bardzo ich zranię. Jeśli mąż dowie się o tym, może mu się coś stać. - Leonor chciała się ruszyć i zostać na zawsze z Jezusem, lecz coś powstrzymało ją od tego.

Mężczyzna w bieli wydawał się zadowolony z jej troski.

- Jeśli tego pragniesz, możesz teraz ujrzeć swego męża. Możesz przyjść do mnie sama lub też możecie przyjść oboje. Lecz jeśli chcesz, żadne z was nie przyjdzie teraz. Zależy to tylko od ciebie. Jakże Leonor mogła zobaczyć Davida? Czyż nie był w Wietnamie, po drugiej stronie kuli ziemskiej? Ale pamiętała, że Bóg potrafi wszystko uczynić i odwróciła się. Dwa anioły przebyły z nią bardzo długą drogę w czystym świetle.

- I znaleźliśmy się tam, stojąc za drzewem. Jeden z aniołów wyjrzał. "Widzisz?" - powiedział do mnie. "Tam jest".

Leonor wychyliła zza drzewa głowę, tak jak uczynił to anioł, i ujrzała Davida leżącego obok kolegi w bunkrze na szczycie wzgórza. Walczyli z Vietkongiem.

- Pamiętaj - powiedział drugi anioł - musisz wybierać. Leonor pomyślała, jak cudownie byłoby dla Davida i dla niej

opuścić ten trudny świat i pozostać na zawsze z Bogiem. Ale pomyślała też o ich matkach. Jeśli śmierć Leonor byłaby dla nich ogromną stratą, to cóż by się stało gdyby odeszli oboje? Być może, gdyby ich zabrakło, ich rodzice zwątpiliby w dobroć Bożą. Leonor nie chciała, by do tego doszło.

- Szybko - ponaglały anioły.

- Nie - krzyknęła Leonor. - Nie, nie możemy tak zranić rodziców.

W tej samej chwili zobaczyła rękę, niemal niewidoczną, podnoszącą upadający tuż obok Davida granat. David był bezpieczny.

Teraz Leonor w otoczeniu wielu aniołów zaczęła pospiesznie dążyć poprzez jasne światło. Była coraz bardziej zmęczona i anioły podtrzymywały ją.

- Musimy się spieszyć, jeśli wciąż chcesz wrócić - mówiły. W tej samej chwili Leonor poczuła przepływającą przez jej ciało energię.

- Leonor, obudź się, obudź... - ktoś wołał japo imieniu.

- Jestem - powiedziała. - Jestem - zobaczyła dwie nachylające się nad nią pielęgniarki, rozmawiające ze sobą, ale nie słyszała, co mówią.

- Jestem tu - powiedziała głośniej i obie spojrzały na nią ze zdziwieniem.

- Zamierzaliśmy już się poddać - miękko powiedziała jedna z nich.

Narośl Leonor rzeczywiście była złośliwa. Lekarz usunął jej całą tarczycę i choć Leonor miała potem pewne kłopoty ze zdrowiem, to nigdy nie pojawiły się żadne oznaki raka.

Co ważniejsze dla młodej mężatki, jej mąż powrócił z Wietnamu cały i zdrowy. Po latach Leonor zapytała go, czy był kiedyś w bunkrze na wzgórzu wraz z innym żołnierzem, gdy podczas walki upadł koło nich granat.

- Tylko raz - odpowiedział David. - To był niewypał. Ależ mieliśmy wtedy szczęście!

## 50. Dzień, w którym ujrzeliśmy anioły

Najlepszym sposobem podsumowania tej książki będzie chyba przytoczenie opowieści dr S. Ralpa Harlowa, który podzielił się swym doświadczeniem z czytelnikami magazynu Guideposts:

Nie było to podczas świąt Bożego Narodzenia ani nawet zimą, lecz wydarzyło się pięknego wiosennego poranka, gdy spacerowałem wraz z żoną pośród zieleniących się brzoź i klonów niedaleko Ballardvale, w stanie Massachusetts. Wydarzenie to rzuciło w mym życiu nowe światło na stare opowieści o aniołach.

Teraz jestem świadomy, że historie o takich jak to osobistych przeżyciach są równie przekonujące, jak zdrowy rozsądek i uczciwość przekazujących je osób. Cóż mogę o sobie powiedzieć? Że uzyskałem stopień magistra na Harvardzie i Uniwersytecie Columbia oraz, że jestem doktorem filozofii Teologicznego Seminarium w Hartford? Że nigdy nie miałem halucynacji? Że składałem świadectwa w sądach, które potwierdzali sędziowie i ława przysięgłych?

Wszystko to prawda, ale wciąż wątpię, czy ilość listów uwierzytelniających może wpłynąć na fakt, że inni ludzie nam uwierzą czy też nie. A więc po prostu opowiem tę historię.

Ta mała ścieżka, którą szedłem z Marion tamtego majowego poranka, ugięła się pod naszymi nogami, a my trzymaliśmy się za ręce i zachwycaliśmy życiem, idąc wzdłuż cudnego strumyka. Był maj i w Smith College, gdzie byłem profesorem, trwały przygotowania do egzaminów, a więc byłem w stanie wyrwać się na kilka dni i odwiedzić rodziców Marion.

Na wsi często udawaliśmy się na spacer, a szczególnie lubiliśmy je wiosną po ciężkiej zimie, gdy pola i lasy rozpromieniały się i cichły, a ziemia tryskała nowym życiem. Tego dnia byliśmy wyjątkowo szczęśliwi i spokojni; trochę rozmawialiśmy, robiąc duże przerwy pomiędzy zdaniem. Potem dobiegł nas z tyłu odgłos przyciszonych głosów. Powiedziałem do Marion:

- Mamy dziś w lesie towarzystwo.

Marion kiwnęła potakująco głową i obejrzała się. Nic nie zobaczyliśmy, lecz głosy były coraz bliżej i wiedzieliśmy, że nieznajomi wkrótce nas wyprzedzą. Potem zrozumieliśmy, że głosy nie tylko dobiegały z tyłu, ale też z góry, a więc spojrzeliśmy w tamtym kierunku.

Jakże mam opisać to, co poczułem? Czy można mówić o fali uniesienia, która nas przeniknęła? Czy można opisać to zjawisko z obiektywną dokładnością i nie stracić wiarygodności?

Okolo trzech stóp nad nami, nieco na lewo, leciała grupa precudnych istot jaśniejących duchowym pięknem. Zatrzymaliśmy się i patrzyliśmy, a one nas minęły. Było to sześć pięknych kobiet ubranych w powłóczyste, białe szaty. Pochłonięte były żywą rozmową. Nawet jeśli były świadome naszej obecności, to nie dały żadnego znaku. Idealnie widzieliśmy ich twarze, a jedna z nich, nieco starsza od pozostałych, była wyjątkowo piękna. Miała ciemne włosy, zebrane w to, co dziś nazywamy końskim ogonem, choć nie potrafię powiedzieć, czy były spięte z tyłu głowy. Z przejściem mówiła coś do młodszego anioła, który odwrócony do nas plecami, patrzył w twarz mówiącej kobiety.

Ani Marion, ani ja, nie potrafiliśmy zrozumieć słów, choć głosy były wyraźnie słyszalne. Dźwięk ten przypominał sytuację, gdy patrzymy z domu na grupę osób rozmawiających na zewnątrz, lecz nie słyszymy ich, gdyż drzwi i okna są pozamykane. Przeleciały obok, a ich pełen wdzięku ruch wydawał się naturalny, tak łagodny i spokojny jak sam poranek. Gdy wyminęły nas, ich rozmowa stawała się coraz cichsza, aż zupełnie zamarła. Staliśmy w miejscu porażeni, wciąż trzymając się za ręce i wciąż mając przed oczami ten widok. Delikatnie rzecz ujmując, byliśmy zdziwieni. Potem spojrzeliśmy na siebie, zastanawiając się, czy widzieliśmy to samo.

Przy ścieżce leżała złamana brzoza. Usiadłem na pniu i powiedziałem:

- Marion, co widziałaś? Powiedz mi dokładnie, ze wszystkimi szczegółami. I powiedz, co słyszałaś. Wiedziała do czego zmierzam - chciałem sprawdzić własne oczy i uszy oraz przekonać się, czy czasem nie padłem ofiarą halucynacji lub wyobraźni. Jej sprawozdanie dokładnie odpowiadało temu, o czym powiadomiły mnie moje zmysły.

Opowiedziałem tę historię z taką samą wiernością oraz uszanowaniem prawdy i dokładności, jakbym stał przed sądem. Ale i tak wiem, jak niewiarygodnie to wszystko brzmi.

Dodam tylko, że wywarło to głęboki wpływ na nasze życie. .. Uświadomiliśmy sobie z Marion, że wokół nas znajdują się niebiańskie zastępy, a nasze życie wypełniła cudowna nadzieja.

Philip Brooks, biskup Kościoła episkopalnego, potrafił określić tę nadzieję o wiele piękniej niż ja: "To jest to, czego powinieneś się mocno trzymać - współistnienie niewidzialnych światów. Bez wątplenia dobrze jest, że są one niewidzialne. Wymaga to wyższej percepcji, którą nazywamy "wiarą". Ale któż może powiedzieć, że nie nadejdzie czas, gdy nawet dla tych, co żyją tu, na tej ziemi, niewidzialne światy nie będą już niewidzialne?"

Przeżycie z Ballardvale, które uzupełniło moją chrześcijańską wiarę daje mi nie tylko poczucie pewności co do przyszłości, ale również przeczucie przygody.

## 51. Inny początek

W naszej kulturze ludzie nie lubią, by mówiono o aniołach we współczesnym świecie. Gdy mamy coś wytłumaczyć, mówimy o "zdarzeniach naturalnych". Ale gdy nie potrafimy tego wyjaśnić,

wzdrygamy się przed użyciem określenia "nadprzyrodzony". Jednak iluż z nas, w chwilach największego strachu, bólu lub oszołomienia usłyszało szept, poczuło na ramieniu niewidzialną dłoń lub uzyskało pomoc od nieznanego, który był taki jak my... lecz w jakiś sposób był inny? W chwilach, gdy czuliśmy się opuszczeni i samotni, iluż spotkało kogoś tajemniczego, kto dał nam odwagę i siłę na dalsze życie?

Dlaczego koniecznie musimy tłumaczyć takie zdarzenia? Dlaczego kochający Bóg, osobiście interesujący się swymi dziećmi, nie miałby przysłać aniołów i ludzi, aby wykonali Jego zadania? Bo cóż takiego robią anioły? Przynoszą nam dobre wiadomości. Otwierają nam oczy na cuda, na przepiękne możliwości, na poszczególnych ludzi, na to, że Bóg jest pośród nas. Unoszą nasze serca i dają nam skrzydła.

My też możemy czynić to między sobą.

Anioły służą nam. Siedzą przy nas w ciszy, gdy jesteśmy pogrążeni w żałobie. Dają nam możliwości zamiany cierpienia na zdrowie i nadzieję. Zachęcają do nowego podejścia, świeżego spojrzenia.

My też możemy czynić to między sobą.

- Jest jeden kłopot z aniołami pracującymi w pełnym wymiarze godzin; są one całkowicie nieprzewidywalne i nie możemy po nie posłać - przypomina nam Lee Ballard, człowiek, którego odwiedził Pug-Pug. - Dlatego tak istotne są anioły pracujące na pół etatu. Takie anioły, jak ty czyja. Niewielu spośród nas potrafi rozpoznać niebiańską istotę w życiu doczesnym (choć jestem pewna, że każdy z nas zetknął się z nią). Ale wszyscy możemy być dla siebie nawzajem aniołami. Możemy z własnego wyboru być posłuszni temu wewnętrznemu zmieszaniu, cichemu szepcowi, który mówi: - Idź. Zapytaj. Spróbuj. Bądź odpowiedzią na czyjeś błaganie. Masz rolę do odegrania. Miej wiarę. Możemy zaryzykować, że On naprawdę tam jest, czuwający, troskliwy, ufający, że będziemy się kochać i przyjmować miłość. Ten świat stanie się wówczas lepszy. A anioły, gdziekolwiek są, będą wówczas tańczyć.

## Posłowie

Nadal jestem zainteresowana kontaktem z osobami, które są przekonane, iż spotkały się z aniołem. Jeśli zechcecie podzielić się swymi przeżyciami, proszę napiszcie do mnie na adres P.O. Box 1694, Arlington Heights, IL 60006.

Joan Wester Anderson

## Przypisy

1. F. S. Smythe: Camp Six, An Account of the 1933 Mount Eve-rest Expedition, s. 262. Hodder and Stroughton, Ltd., Londyn 1937.
2. Raymond Woolsey: Joy in theMorning. Review and Herald Publishing, Waszyngton, D.C. 1978, s. 182.
3. Charles and Frances Hunter: Angels on Assignment. Hunter Books, Kingwood, TX 1979, s. 183.
4. Gorrie ten Boom: AprisonerandYet'... Evangelical Publishers, Toronto, Kanada 1947, s. 10.
5. Gorrie ten Boom: The HidingPlace. Bantam Books, Nowy Jork 1981, s. 202-203.
6. Gordon Lindsay: Ministry of Angels. Ghrist for the Nations, Dal-las 1974, s. 26.
7. Dawn Adrian Adams, doktor filozofii: "Rain", Guideposts, lipiec 1991, s. 38.
8. Betty Malz: Angels Watching OverMe. Ghosen Books, Old Tap-pan, NJ 1986.Przedmkowane za zgodą.
9. Lee Ballard: "The Flutter of Wings", magazyn Dallas, maj 1986. Streszczone i przedrukowane za zgodą.

216

Anielskie drogi

10. W. Doyle Gulligan: wyd. Deuotion to the Ho/y Angels. Lumen Christi Press, Houston 1990, s.



101.

11. Malcolm Muggeridge: *Something Beautiful for God*. Ballantine Books, Nowy Jork 1971, s. 41.
12. Z "I Too Saw an Angel" Raymonda Edmana, wydane w *Bulletin, of Wheaton College*, grudzień 1959. Opisane za zgodą.
13. Hope Price: "He Will Send Angels", *Fate*, maj 1961. Przedrukowane za zgodą.
14. Billy Graham: *Angels: God's Secret Agents*. Doubleday, Nowy Jork 1975, s. 2-3.
15. Gulligan: *Devotion*, s. 98.
16. Corrie ten Boom: *Marching Orders for the End Battle*. Christian Literature Crusade, Fort Waszyngton, PA 1969, s. 89-90.
17. Graham:
18. W. A. Spicer: *Stories of Providential Deliverance*. Review & Herald Publishing, Waszyngton 1936, s. 33.
19. Basilea Schlink: *The Unseen World of Angels and Demons*. Chosen Books, Old Tappan, NJ 1986, s. 137.
20. Zaczepnięte z anegdot oraz z *Send Me Your Guardian Angel* Alessio Parente. Noteworthy Co., Amsterdam, NY 1983. Dalsze informacje o Padre Pio można uzyskać w National Center for Padre Pio, R.D. 1, Box 134 (Old Rt. 100), Barto, PA 19504.
21. Opowiedziane za zgodą pastora LaVerne Tuckera, dyrektora The Quiet Hour, ogólnoswiatowej misji z główną kwaterą w Redlands, CA.
22. Sierżant Steven Rogers, stojący na czele 777th Precinct (P.O Box 72, Dayton, NJ 08810), organizacji jednoczącej policjantów i ich rodziny.

#### Bibliografia i dodatkowe lektury

- Adler Mortimer J.: *The Angels and Us*. Macmillan, Nowy Jork 1982. Angelica Matka Mary: *Sons of Light*. Klasztor Naszej Pani od Aniołów, Birmingham, AL 1976.
- Burnham Sophy: *A Book of Angels*. Ballantine Books, Nowy Jork 1990. Gilmore Don G.: *Angels, Angels Everywhere*. Paragon House, Nowy Jork 1988. Godwin Malcolm: *Angels, an Endangered Species*. Simon & Schuster, Nowy Jork 1990. Graham Billy: *Angels: God's Secret Agents*. Doubleday, Nowy Jork 1975. Gulligan W. Doyle: wyd. *Devotion to the Holy Angels*. Lumen Christi Press, Houston 1990. Hunter Charles i Frances: *Angels on Assignment*. Hunter Books, Kingwood, TX 1979. Lindsay Gordon: *Ministry of Angels*. Christ for the Nations, Dallas 1974. MacDonald Hope: *When Angels Appear*. Zondervan, Grand Rapids, MI 1982.
- Mac Gregor Geddes: *Angels, Ministers of Grace*. Paragon House, Nowy Jork 1988. Malz Betty: *Angels Watching Over Me*. Chosen Books, Nowy Jork 1986.
- Muggeridge Malcolm: *Something Beautiful for God*. Ballantine Books, Nowy Jork 1971. Parente Alessio: *Send Me Your Guardian Angel*. Noteworthy, Amsterdam, NY 1983. Paretti Frank: *Through the Present Darkness*. Crossway Books, Westchester, IL 1986. *Piercing the Darkness*. Crossway Books, Westchester IL 1990.
- Ronner John: *Do you Have a Guardian Angel?* Mamre Press, Indianapolis, FL 1985.
- Schlink Basilea: *The Unseen World of Angels and Demons*. Chosen Books, Old Tappan, NJ 1986. ten Boom Corrie: *A Prisoner, and Yet...* Evangelical Publishers, Toronto, Kanada 1947. *Marching Orders for the End Battle*. Christian Literature Crusade, Fort Waszyngton, PA 1969. *The Hiding Place*. Bantam Books, Nowy Jork 1981.
- Woolsey Raymond: *Joy in the Morning*. Review and Herald Publishing, Waszyngton 1978.

O autorce

JOAN WESTER ANDERSON, pisarka, wykładowca i nauczycielka rozpoczęła pisarską karierę w 1973 serią humorystycznych artykułów rodzinnych wydanych w lokalnych gazetach oraz w magazynach dla rodziców. Od tego momentu jej prace, obejmujące ponad tysiąc artykułów, ukazywały się w całym kraju, między innymi w *Ladie's Home Journal*, *Family Circle*, *McCall's*, *Modern Bride*, *Christian Science Monitor* i *American Baby*. Opublikowane książki Joan Wester Anderson to *Love, Lollipops and Laundry* oraz *Stop the World- Our Gerbils Are Loose!*, obie zostały napisane wspólnie z przyjaciółką; *The Best of Both Worlds*, *A Guide to Homebased Careers*; *Dear World, Don't Spin So Fast*; a także *Teen is a Four-Letter Word*. W 1979 roku pani Anderson rozpoczęła karierę publiczną w odpowiedzi na popularność wywołanej wystąpieniami w lokalnych mediach. Jest również profesorem w Harper Junior College w Palatine, w stanie Illinois, gdzie prowadzi kurs pisarstwa. Wraz z mężem mieszka w Arlington Heights, Illinois. Są rodzicami czworga dorosłych dzieci.

Nakładem wydawnictwa

Sp. z ao.

Joan Carroll Cruz "Cuda Eucharystyczne"

Opisy 36 słynnych Cudów Eucharystycznych. Hostie krwawiące, unoszące się w powietrzu i wiele innych. Bogato ilustrowana.

Joan Carrol Cruz "Niezniszczalni"

Relacja o świętych Kościoła, których ciała nie uległy rozkładowi po śmierci i często do dzisiejszego dnia stanowią świadectwo niezwykłej woli Bożej.

W książce na przykładzie ponad stu przypadków, opisane są ponadto inne niezwykle zjawiska towarzyszące tym fenomenom. Bogato ilustrowana.

Malachi Martin "Zakładnicy diabła"

Wstrząsający obraz zmagania egzorcystów z uosobionym złem. Psychologiczne portrety osób opętanych i ich wybawców - katolickich kapłanów. Przypadki wobec których współczesna medycyna opuściła ręce. Wszystko w formie udokumentowanych relacji.

Malachi Martin "Jezuici"

Kontrowersyjny obraz Towarzystwa Jezusowego widziany oczami jednego z najbliższych współpracowników papieża Jana XXIII. Wojna o władzę pomiędzy zakonem i Watykanem.

Paul O'Sullivan OP "Wszystko o aniołach"

To pełna uroku książka dla młodzieży i dorosłych, duchownych i świeckich. Ukazuje jak anioły towarzyszyły ludziom w przeszłości i jak nadal nam pomagają.

Jean Ladame "Uprzywilejowani Świadkowie Eucharystii"

Opisano 58 przypadków osób będących świadkami cudownych wydarzeń eucharystycznych. Kiedy uczestniczą w Mszy Świętej, przyjmują Komunię Świętą, lub adorują Najświętszy Sakrament, dzieją się niezwykłe nadzwyczajne.

Anselm Moynihan OP "Obecność Boga"

To małe dzieło napisane w 1948 roku oparło się próbie czasu. Obecne wydanie przedłuża życie tej książki, nigdy nie ustającej w swym cichym i głębokim działaniu uświadamiającym nam Obecność, o której powinniśmy zawsze pamiętać.

Martin von Cochem OSFC "Cztery sprawy ostateczne: śmierć, sąd, piekło, niebo."

Człowiek dziesiętej cywilizacji jest w jakiś sposób niewrażliwy na "sprawy ostateczne" - powiedział, w książce *Przekroczyć próg nadziei*, Jan Paweł II. Mamy nadzieję że ta książka przynajmniej w części zmieni tę sytuację.

René Laurentin "Współczesne objawienia NMP"

Panorama współczesnych objawień. Próba odpowiedzi na pytania: Jak rozpoznać prawdziwe objawienia i co Najświętsza Maryja Panna chce nam powiedzieć? Zawiera fotografie.

C. Bernard Ruffin "Apostołowie po Kalwarii"

Autor przedstawia losy apostołów po Wniebowstąpieniu ich nauczyciela Jezusa Chrystusa. Pieczołowicie i cierpliwie wykorzystując skrawki informacji znalezione w dziełach takich uczonych i kronikarzy, jak Papias, Euzebiusz, Ireneusz, Klemens z Aleksandrii, św. Jan Chryzostom. Odtwarza i kreśli żywoty wszystkich osób z kręgu najbliższych uczniów Chrystusa.

Desmond O'Grady "Zwycięstwo krzyża"

Jak to się stało, że członkowie czegoś, co wydawało się zacofaną sektą żydowską, stali się wpływowymi obywatelami, należącymi do poważanego w Cesarstwie Rzymskim ugrupowania?

Teiji Yasuda OSV "AKITA"

Niezwykłe objawienia NMP na wzgórzu Yuza-wadai, będące potwierdzeniem i kontynuacją wydarzeń w Fatimie. Zawiera fotografie. Jedyne polskie wydanie posiadające Imprimatur i Nihil Obstat Kurii Metropolitalnej w Gdańsku

Ann Bali

"Współcześni święci. Żywoty i oblicza." (t. 1/2) Książka przedstawiająca postaci współczesnych świętych. W tym z pasją napisanym dziele przemierzamy wraz z jego bohaterami kontynenty i wydarzenia ostatnich wieków: prześladowania chrześcijan, rewolucje, wojny.

Jim Shaw & Tom McKenney "Śmiertelna pułapka"

Wolnomularstwo przedstawione przez jednego z czołowych przywódców organizacji. Opisy ceremonii i wtajemniczeń. Jim Shaw będąc na szczycie masońskiej góry zrozumiał, że jest ofiarą w śmiertelnej pułapce.

Wojciech Turek, Jarosław Zalesiński "Złote rogi czapki z piór"

Wybór publicystyki politycznej z lat 1986-1993. Wypowiedzi polityków, o których ich autorzy często chcieliby zapomnieć.

Patricia Treece "Ciała uświęcone"

Rezultat jedenastoletnich badań nad zjawiskami: lewitacji, bilokacji, nadnaturalnej energii (w tym inedia, czyli zdolność do życia przez wiele lat bez jedzenia i picia), niezwykłego blasku i aromatu.

Wojciech Wasiutyński

"Patrząc z Ameryki

czyli faxem z Nowego Jorku"

Wybór felietonów z lat 1989 - 1991, wybitnego publicysty i autora wielu książek, Wojciecha Wasiutynskiego, polityka obozu narodowego (ze wstępem S. Kisielewskiego).

Albert J. Hebert "Przywróceniu życiu"

Około czterystu przypadków wskrzeszeń, począwszy od tych opisanych w Starym i Nowym Testamencie po czasy współczesne, wśród których nie zabrakło miejsca dla polskich świętych i polskich miast. Bogato ilustrowana.

Rawley Myers "Nawrócenie na katolicyzm"

Przebyli długą drogę od ateizmu, judaizmu, anglikanizmu czy innych formacji protestanckich, by spotkać się z Bogiem w Kościele Katolickim. Co nimi powodowało? Co przeżywali? Jak traktowali ich znajomi? O tym wszystkim opowiadają członkowie intelektualnej elity Zachodu.

Yves Moreau "Czym uzasadniasz swoją wiarę?"

Ta niewielka książeczka pozwala nam przemyśleć, po raz kolejny, najważniejsze dla katolika pytania: Dlaczego wierzę? Kim jest Jezus Chrystus? Dlaczego Msza święta? Dlaczego Maryja? oraz wiele innych, na które powinniśmy zawsze znać odpowiedź, by przed sobą i innymi, w każdej sytuacji potrafiliśmy uzasadnić własną wiarę.

Leon Cristiani "Znaki obecności szatana we współczesnym świecie"

Opętanie, jego natura, przyczyny i leczenie; działalność szatana w Lourdes; przypadki opętania ludzi i państw XIX i XX w.; magia w dzisiejszym świecie. To tylko niektóre z tematów poruszonych przez autora w tej niezwykłej książce.

Wojciech Wasiutyński "Prawą stroną labiryntu"

Zbiór, w przeważającej większości dotychczas niepublikowanych, wspomnień, dzienników i artykułów, zmarłego w 1995 r. polityka i publicysty, tworzących barwną panoramę polityczną XX wieku.

Mark Twain "Joanna d'Arc"

Mark Twain przez dwanaście lat studiował francuskie i angielskie źródła, próbując jak najlepiej poznać fakty z życia Joanny d'Arc i jej otoczenia. Czuł, że w jej osobie napotkał cechy bohaterów swoich wcześniejszych, fikcyjnych książek: uczciwość, prostotę, poczucie sprawiedliwości, wielkoduszność. [...] dlatego pokochał ją... i pokochał też książkę, którą o niej napisał. Do końca życia uważał ją za największe swoje osiągnięcie.

'\

Amedee Brunot "Miriam - Mała Arabka"

Duch Święty, którego żarliwie miłowała, uczynił ją skarbnicą niezwykłych darów - stanów ekstazy, stygmatów, umiejętności czytania w sercach, zdolności proroczych, le-witacji i bilokacji.

Charles Mortiraer Carty "Padre Pio - stygmatyk"

Nie publikowana w Polsce opowieść, o najbardziej chyba znanym, świątobliwym zakonniku. Mamy nadzieję, że wniesie ona coś nowego i znajdzie miejsce wśród bogatej już bibliografii przedstawiającej tego niezwykłego człowieka.

Jim Bishop "Dzień w którym umarł Chrystus"

Jim Bishop, autor przeszło tuzina książek, zapoczątkował nowy kierunek publicystyki, polegający na drobiazgowym odtwarzaniu dni ważnych dla dziejów świata, czemu dał wyraz także w swojej książce.

Andrzej Kowalczyk "Europa jakiej nie znasz"

Książka jest niezwyklej przewodnikiem po współczesnej Europie. Jego autor prowadzi czytelnika po najtrudniejszych, najbardziej kontrowersyjnych i najciekawszych zarazem problemach, którymi żyje dziś Europa. Mowa tu o aborcji, eutanazji, homoseksualizmie, ruchu New Age, powołaniach kapłańskich, celibacie, nowych ruchach religijnych, dobroczynności, małżeństwie, "Solidarności", ale też o sposobie pogłębiania życia religijnego.

W. Doyle Gilligan "Nabożeństwo w intencji dusz czyśćcowych"

Książka mówi o odpustach, a także o doktrynie kościoła - przeszłej, terażniejszej i zawsze obowiązującej - wskazując jak nauki te można zastosować w intencji dusz czyśćcowych. Uwzględniono w niej modlitwy i sposobności, dzięki którym można zyskać odpust zupełny i ofiarować go za tych, których kochamy, a którzy odeszli przed nami ze znakiem pokoju. W celu pełniejszego zrozumienia istoty odpustów przytoczono Konstytucję Apostolską.

W. Doyle Gilligan "Nabożeństwo do aniołów"

To skromna książeczka, ale pełna głębokiego zrozumienia kwestii aniołów. Po pierwszym czytaniu można już rozmawiać z aniołami. Ale nie powinno się poprzestać jedynie na jej przeczytaniu. Nadano jej postać modlitewnika, a ten, kto często będzie z niej korzystał, zaprzyjaźni się z aniołami.

Gene Antonio "AIDS - obłęd i rzeczywistość"

Kolejna książka G. Antonio na temat AIDS. Autor nie tylko potwierdza wszystkie wnioski ze swojej wcześniejszej książki AIDS-zmowa milczenia, ale wspiera je wynikami najnowszych badań. G. Antonio ostrzega przed niefrasobliwością, z jaką traktuje się AIDS w niektórych liberalnych środowiskach.

Joan C. Cruz "Cudowne wizerunki Naszego Pana"

Tom pokrewny Cudownym wizerunkom NMP, a zarazem jedna z najbardziej sugestywnych książek o kulcie naszego Zbawiciela. Książka zawiera ponad sto biało-czarnych i 16 kolorowych ilustracji.

Zbigniew Gach "Poczet kanonizowanych świętych polskich"

Pierwsza publikacja przedstawiająca w obszerny i popularny sposób sylwetki świętych związanych z historią ziem polskich, od św. Wojciecha (t 997), do Jana z Dukli (t 1484), którego kanonizowano w roku 1997.

Włodzimierz Bednarski "W obronie wiary"

Książka kompetentnie przygotowuje do dialogu ze Świadcami Jehowy oraz uczy zrozumienia

dogmatów katolickich i ich obrony przed atakami sekt, czy braci odłączonych z kościołów chrześcijańskich.

O. Stefan M. Manelli "Jezus Eucharystyczny Miłością"

Książka ukazuje, jak wiele dokonać się może za sprawą Eucharystii. Ilustruje jej cudowne działanie w życiu dziesiątków świętych, opisuje jej cudowną przemianę w Ciało, mającą miejsce we włoskim miasteczku Lanciano. Zawiera też teksty modlitw związanych z Eucharystią. Posiada Imprimatur.

Paul O'Sullivan OP

"Duch Święty - nasz największy przyjaciel"

Autor w przystępnych słowach przypomina naukę Kościoła i ukazuje moc Ducha Świętego.

Opisuje przypadki wielkich i maluczkich, którzy doznali Jego łask. Uczy nas też, że nie wolno zapominać o Nim w modlitwie i podsuwa słowa w jakich powinniśmy to czynić. To niewielkie rozmiarami dzieło jest więc pasjonującą lekturą i bardzo potrzebnym modlitewnikiem.

Paul O'Sullivan OP "Jak uniknąć czyśćca"

W książeczce tej, ojciec O'Sullivan, dostarcza wspaniałych i prostych wskazań, umożliwiających ominięcie czyśćca i osiągnięcie nieba tuż po śmierci. Pokazuje w jaki sposób zyskać jak najwięcej w tym życiu i jednocześnie zapewnić sobie najlepszą nagrodę w królestwie niebieskim.

F.X. Schouppe SJ "Czyściec"

Katolicka nauka o Czyścicu oparta na trzech źródłach: dogmatycznej doktrynie Kościoła, objaśnieniach tejże doktryny podanych przez Doktorów Kościoła i, wreszcie, na wizji i objawieniach stanowiących potwierdzenie tych nauk. Napisana przystępnym dla wszystkich językiem.

W. Doyle Gilligan

"Nabożeństwo do Najświętszego Serca Jezusowego"

Rys historyczny nabożeństwa, jego rola w życiorysach świętych, modlitwy i litanie do NSJ oraz fragmenty encykliki Piusa XII Haurietis aquas, czyli poręczny modlitewnik i garść wiedzy, które mogą przyczynić się do wzbogacenia życia duchowego, bliższego kontaktu z Chrystusem i wyjednać nam dar łaski i błogosławieństw.

F.X. Schouppe SJ "Piekło"

Katolicka nauka o piekle ilustrowana przykładami z życia świętych Kościoła.

Michael H. Brown "Po życiu"

Co następuje po śmierci? Jak będziemy sądzeni? Jak jesteśmy do tego przygotowani? Co przypomina niebo, piekło i czyściec? Na podstawie katolickiej literatury i wywiadów z osobami, które doświadczyły niezwykłych, związanych ze śmiercią przeżyć, autor stara się opisać wydarzenia, jakie następują po śmierci

Joan Carroll Cruz "Cudowne wizerunki NMP"

Autorka Cudów Eucharystycznych i Niezniszczalnych podejmuje niezwykle wyzwanie.

Przedmiotem jej badań stały się wizerunki Matki Bożej, tak rzeźby jak i obrazy, znane na świecie ze swych niezwykłych łask. Z kronikarską dokładnością odtwarza cudowne wydarzenia, mające miejsce w różnych zakątkach świata, których źródłem stała się Nasza Pani. Bogato ilustrowana.

Francoise Bouchard "O cudownym pośrednictwie NMP"

Doprawdy, nie można się oprzeć urokowi tych opowiadań, niedługich, dowcipnych i pełnych życia: w każdej z tych "małych" historii Maryja przekazuje swym dzieciom oznaki wyruszającej czułości.

Wojciech Wasiutyński "Dzieła Wybrane 1.1 i t. II"

Ekskluzywne, dwutomowe opracowanie twórczości wybitnego publicysty emigracyjnego. Zbiór książek, esejów i artykułów w błyskotliwy sposób opisujących rzeczywistość polityczną i społeczną przedwojennego i powojennego świata

Tadeusz Bielecki

"W szkole Dmowskiego. Szkice i wspomnienia"

Pierwsze krajowe wydanie wspomnień najwybitniejszego od śmierci Romana Dmowskiego przywódcy ruchu narodowego, a przez wiele lat jego osobistego sekretarza. Nie są to jednak tylko wspomnienia, to także próba przybliżenia wydarzeń z życia największego polityka polskiego XX

wieku. Przez strony książki przewijają się wybitni polscy pisarze, wielcy politycy zachodnich mocarstw i odradzającej się Polski, widzimy Dmowskiego w oczach dziennikarzy i współpracowników. Bielecki przybliży nieco tego polityka i człowieka, który tyle namiętności budził i budzi zarówno wśród politycznych przeciwników, jak i politycznych spadkobierców,